BRULION KAZIMIERSKI

SCHYŁEK LATA 2015 ISBN 978-83-938773-5-5 NR 11

DANUTA WIERZBICKA

Fot. Adam Michalak

Pod dwoma księżycami, szkło, akryl

BRULION KAZIMIERSKI

WYDAJE
TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ MIASTA KAZIMIERZA DOLNEGO
SCHYŁEK LATA 2015

REDAKCJA
TADEUSZ MICHALAK
JOANNA ZAMOROWSKA

SKŁAD KOMPUTEROWY
KINGA MAZUR

SZATA GRAFICZNA
TADEUSZ MICHALAK

WSPÓŁPRACA, KOREKTA
WOJCIECH KISS-ORSKI
BARTŁOMIEJ PNIEWSKI

ADRES
KAZIMIERZ DOLNY 24-120
UL. MAŁACHOWSKIEGO 5B
SKR. POCZ. 27

TEL. REDAKCJI
501 022 781, 603 163 343

WSPÓŁWYDAWCA
DRUK / STUDIO GRAFICZNE

multipress drukarnia studio

MULTIPRESS
G. WODECKI, D.WODECKA s.c.
20-150 Lublin • ul. Ceramiczna 7b
tel. 81 742 75 30 • 81 740 31 32
e-mail: info@multipress.com.pl
www.multipress.com.pl

Redakcja gwarantuje zwrot powierzonych materiałów. Zastrzega sobie prawo dokonywania formalnych zmian w tekstach.

DANUTA WIERZBICKA *Nalewka z tarniny*
plaksi, akryl

OD REDAKCJI 2

DO REDAKCJI 3

ARTYKUŁ

ANNA MILLER Fachowiec, mistrz i aktor. Kreacja wizerunku artysty na przykładzie Tadeusza Pruszkowskiego 4

ARTUR ZIONTEK Palindromy Pana Johna. Notatki na marginesie lektury 39

KONFRANTERNIA

WALDEMAR ODOROWSKI Konfraternia w Izraelu 7

KAZIMIERZ

KONRAD KUCZA-KUCZYŃSKI Nowe w starym Kazimierzu 8

TADEUSZ MICHALAK Spichlerz Wawrzyńca Górskiego 15

TADEUSZ MICHALAK Kamień 44

LUDMIŁA SZCZEPKOWSKA Alfabet Miłki 52

GALERIA – DANUTA WIERZBICKA

BEATA KISS-ORSKA Jakby zgasło światło 18

WANDA KONOPIŃSKA-MICHALAK Danusia i filozofia 21

EWA WOLNA Letnie południe 22

TADEUSZ PAŁKA Danusia 24

EWA ZARZYCKA Kazimierski kosmos Danuty Wierzbickiej 28

WSPOMNIENIA

WŁODZIMIERZ KARCZMARZYK Zapamiętane obrazy 32

JERZY KUNA Wspomnienia z ulicy 49

RECENZJA

KATARZYNA GRZYWKA-KOLAGO Monika A. Oleksa: Samotność ma twoje imię 54

KAZIMIERZACY

KAZIMIERA SENKOWSKA Pieczęć z napisem Kazimierz Dolny 56

PROZA

TADEUSZ PAŁKA Dzieciństwo Zygmusia 63

WIERSZE

LESZEK DŁUGOSZ Dawno nie było mnie w Kazimierzu... 69

RYSZARD CHOJECKI Pojadę do Kazimierza i inne wiersze 70

SYLWETKI

WALDEMAR SIEMIŃSKI, EWA LESZCZYŃSKA-PIETRZYK Wspomnienie o doktorze Leszczyńskim 72

Szanowni Państwo,

po długotrwałym i nad miarę ślamazarnym remoncie, w tym roku zamek został wreszcie otwarty dla zwiedzających. Niestety, jest to kolejna miejska inwestycja, z której trudno być w pełni zadowolonym. I nie chodzi tu o drobiazgi takie jak naiwnie zaprojektowane poręcze przy schodach, czy wysypanie dziedzińca niepraktycznym, oślepiającym bielą tłuczniem.

Podczas prac dopuszczono się niestety wielu błędów, które dziwią przy takim, wydawałoby się znakomitym, nadzorze konserwatorskim. Po pierwsze, przyjęto koncepcję nadmurowywania, przemurowywania i domurowywania wszystkiego, czego się da.

Archiwalne fotografie pokazują zamek malowniczo związany z otaczającą go zielenią, a mury są mocno przyszczerbione, fragmentami ledwo wystające z ziemi. Rozumiejąc, że jednym z zabiegów przy konserwacji ruiny trwałej jest uczytelnienie, nie mogę zgodzić się na to co zrobiono z szacownymi szczątkami. Gdzie się tylko dało wprowadzano nowe fragmenty ścian, przekraczając granice prawdopodobieństwa. Jest to zabieg sprzeczny nie tylko z doktryną konserwatorską, ale i ze zdrowym rozsądkiem. W ten sposób zamek wypełnił się murami, których nigdy nie było. Najlepiej widać to na elewacji wejściowej, tej z bramą. Nie wiadomo na jakiej podstawie doklejono trzy przypory. Doklejono je do muru, w którym zachowały się otwory po rusztowaniach, czyli tak zwane otwory maczulcowe. Świadczy to o tym, że nigdy nie było w tych miejscach przypór. W ten sposób zniszczono autentyczne, jeszcze średniowieczne lico muru. Ktoś może powiedzieć, że to mało ważny szczegół i można by przyznać mu rację, gdyby nie to, że może właśnie dlatego zabrakło pieniędzy na toalety, kasy, ławki, ogrodzenie, czyli na to, co mieści się w programie udostępnienia ruiny trwałej dla zwiedzających. Co gorsza działo się to w obecności speców od konserwacji, utytułowanych i wydawać by się mogło doświadczonych. Bezpowrotnie zniszczono przesklepienie otworu wejściowego na basztę, dekoracyjne pasy gotyckiej cegły, czy wiele autentycznych murów. Za to wymurowano na dziedzińcu niedorzeczne schodki, wmurowano w basztę cegły i założono pod pretekstem wprowadzenia wątpliwych stężeń dźwigary stalowe, które tak sobie beztrosko rdzewieją. Szkoda, że tak się stało i to w dodatku za ogromne pieniądze. Ale nic dziwnego, skoro stać było wykonawcę na budowanie dachu, który zwiała pierwsza wichura czy na stawianie w tych samych miejscach na zamku po trzy czy cztery razy rusztowań. Ale i to okazało się za mało, skoro uzupełnienia daszków na przyporach zamku robiono metodą alpinistyczną, czyli wieszając murarzy na linach. Ponieważ moja codzienna droga do miasteczka przechodzi przez teren, gdzie na pięć sezonów rozłożyła się budowa, to napatrzyłem się na to, jak przebiegały prace. Dziwię się, że inwestor, czyli miasto nie poradził sobie z wykonawcą, który twierdził, że roboty przy zamku i baszcie były trudniejsze niż wykonywana równolegle, ale w krótszym czasie restauracja Fary, Kościoła św. Anny, Organistówki, Wozowni, Domku Kościelnego i Starej Plebanii.

Część galeryjną Brulionu poświęcamy tym razem niedawno zmarłej Danusi Wierzbickiej. Pomysł umieszczenia jej prac w kolejnym wydaniu przyszedł nam do głowy dużo wcześniej, jeszcze gdy nic nie zapowiadało tego tragicznego wydarzenia. Niestety, choroba była szybsza. Pozostaje żal, że nie zdążyło się Jej powiedzieć: Danusiu, jesteś znakomita. Jesteś wielką artystką i wyjątkową osobą. Świat jest tak zrobiony, że najlepiej widać puste miejsca. Gdy wypełnia je czyjaś osobowość, wydaje się to naturalne i oczywiste. Po niedawnym odejściu Danusi pozostało wiele tych pustych miejsc.

Piętnaście lat temu, polskie środowisko historyków sztuki poniosło wielka stratę. Niespodziewanie zmarł Mieczysław Kurzątkowski. Był to historyk o olbrzymim potencjale naukowym, twórczy i odkrywczy. Przez wiele lat był Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków. Później związał się z Muzeum Wsi Lubelskiej, którego był dyrektorem. Jest autorem „Małego słownika ochrony zabytków", zajmował się też, jako pierwszy historyk sztuki, dawnymi samochodami. Jeżeli chodzi o Kazimierz, to jako konserwator wojewódzki otaczał miasto wyjątkowa opieką. Możemy mu zawdzięczać ustanowienie miejscowego konserwatora, zmianę planu zagospodarowania oraz podniesienie rangi kazimierskiego muzeum.

Dla mnie Mieczysław Kurzątkowski był autorytetem, z którego wiedzy i doświadczenia wielokrotnie korzystałem. Pamiętam długie rozmowy przy znakomicie zaparzonej przez niego herbacie. Pamiętam wskazówki, których udzielał do moich artykułów o konserwacji zabytków, pamiętam Jego wypowiedzi na temat złożonych problemów polskiej architektury. Dotyczyły one i historii i współczesności.

Jako pierwszy zajął się osobą i dziełem Jana Koszczyc-Witkiewicza, a zamieszczony w „Kazimierskim" numerze Kameny artykuł o tym wspaniałym, związanym z Kazimierzem architekcie, jest dużo dojrzalszym i solidniejszym podsumowanie jego twórczości, niż napisana później przez pewną panią, książka. Pamiętając o tym wszystkim i mając we wdzięcznej pamięci osobę Mieczysława Kurzątkowskiego, chciałem przypomnieć Jego poprzez wydrukowanie w Brulionie zamieszczonego w nieistniejącej dzisiaj Kamenie jego artykułu o Janie Koszczyc-Witkiewiczu. Ponieważ Brulion Kazimierski nie jest pismem dochodowym, a sprzedaż wystarcza na pokrycie około 60% nakładów na druk i ponieważ nie płacimy honorariów autorskich ani wynagrodzeń zespołowi redakcyjnemu, myślałem nie znając dokładnie prawa autorskiego, że nie musimy uzyskiwać zgody na przedruk, zwłaszcza, że Kamena nie istnieje.

W związku z przedrukiem artykułu Mieczysława Kurzątkowskiego i zgodnie z życzeniami zawartymi w liście do redakcji Brulionu Kazimierskiego od córki nieżyjącego autora, pani Urszuli Kurzątkowskiej, stwierdzam, że zostały naruszone prawa majątkowe i osobiste autora artykułu, oraz że zamieszczone pod nim ilustracje wraz z podpisami pochodzą od redakcji. Sądziłem, że umieszczając je pod informacją o przedruku, wskazuję na ich autonomiczność.

Serdecznie przepraszając panią Urszulę Kurzątkowską pragnę stwierdzić, że zamieszczając artykuł Jej Ojca o Janie Koszczyc-Witkiewiczu redakcja nie kierowała się ani chęcią zysku, bo cała praca nad Brulionem (nie licząc drukarni, której zlecamy druk), jest pracą społeczną, służącą naszemu miasteczku, ani nie chcieliśmy w żaden sposób uchybić pamięci Jej Ojca, który zapisał się w mojej jako wybitna osobowość i jak nieskromnie sądzę, mi przychylna.

Pamiętając wielką mądrość Mieczysława Kurzątkowskiego i umiejętność szerokiego widzenia spraw, mam nadzieję, że mi wybaczył.

Tadeusz Michalak

Do Towarzystwa Przyjaciół Miasta Kazimierza Dolnego. Do redakcji Brulionu kazimierskiego.

Odnoszę się z opóźnieniem, ponieważ dopiero kilka dni temu mogłam osobiście przeczytać wywiad p. Joanny Zamorowskiej z Czesławem Iberszerem. Prostuję w swoim i części rodziny imieniu kilka faktów dotyczących Jana Iberszera, który był ojcem mojej matki, a moim dziadkiem.

Jan Iberszer urodził się w Warszawie, ojciec Jana, mój pradziadek pochodził z Alzacji, matka Jana była Polką związana z rodziną Ziarnickich, stąd po tragicznej śmierci obojga rodziców, którzy za życia prowadzili zajazd w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu, znalazł się u rodziny matki w Kazimierzu Dolnym. Jan Iberszer ożenił się z Walerią Oroń. Z rodziną Czubińskich związał się Czesław Iberszer żeniąc się z Anną (Anielą?) Czubińską.

Dane te bardzo łatwo sprawdzić w księgach archiwalnych parafii w Kazimierzu Dolnym ponieważ Jan Iberszer i jego syn Czesław zawierali związki małżeńskie właśnie w Kazimierzu Dolnym. Jan Iberszer zakładając rodzinę kupił dom, tzn. kamienice Białą przy ul. Senatorskiej 17 i należąca do domu kuźnię.

Jan Iberszer posiadał duży majątek ziemski, kuźnia spełniała swoją rolę, ale cały splendor sztuki kowalskiej należy się zięciowi Jan Iberszera Janowi Bortowi – to on był mistrzem kowalstwa...

Będąc przez kilkadziesiąt lat uczestnikiem życia rodziny Iberszerów, znając historie życia swojego dziadki Jana Iberszera, widząc w publikacji tak wiele przekłamań poczułam się w obowiązku przynajmniej częściowo do ich sprostowania.

Pozdrawiam, Jaga Bronowska

Kraków, Solany 7, *maj 2014 roku*

Pocztówka z lat 20-tych

List do m-sta Kazimierza!

Znów – jak co roku – w Kazimierzu,
Wiosna, wśród kwiatów elegancji.
Jesteś mój miły zawsze świeży
I odrobinę masz z Prowansji.
Tu czas pomyśleć mam, ochłonąć,
Nawet na marzeń znaleźć chwilę.
Wtopić się w klimat, w nieskończoność
I tylko tyle... i aż tyle.
Troski znikają gdzieś niebawem.
Zostaję chyba w zgiełku miasta.
A tu w tygodniu pachnie cisza
Przyjemnie w uszach się rozrasta.
Tu, ptasich słucham opowieści
Pogonię wzrokiem za motylem,
A zieleń! W głowie się nie mieści,
Że jest tej zieloności tyle.
Powoli trochę normalnieję
W twym jakby normalniejszym świecie
Znów wierzę w dobro, szlachetnieję
I znów zachwycam się jak dziecię.
Może tutejszy klimat sprzyja?
Możeś mnie rynkiem zauroczył?
Może zasługa to niczyja?
A może jednak – „genius loci"?
Tak, czy inaczej – tchu nabieram,
Zmęczone nogi stawiam raźniej.
To tylko tyle... i aż tyle
Mój Kazimierzu Twej przyjaźni.
Ach jakżem ja tę przyjaźń cenię
Więc jestem wierna Ci co roku
W majowym blasku zachwycenia
Lub gdy jesienny przyjdzie spokój.

Twoja 93-letnia wielbicielka

Halina Cieszkowska

Anna Miller

FACHOWIEC, MISTRZ I AKTOR
KREACJA WIZERUNKU ARTYSTY NA PRZYKŁADZIE TADEUSZA PRUSZKOWSKIEGO

Profesor Pruszkowski z miłośnika przekształca się obecnie niemal w fachowca tak pisała „Muza X"[1] 1926, nr 1, s.15 o nietuzinkowym wykładowcy, następnie rektorze warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, malarzu, współzałożycielu ugrupowań takich jak Bractwo św. Łukasza. W tej pracy chciałabym spróbować odtworzyć wizerunek Tadeusza Pruszkowskiego pokazując jak sam go kreował oraz jak był odbierany przez innych członków międzywojennej inteligencji. Analizując tę kreację posłużę się trzema kategoriami: fachowca,mistrza i aktora, które, wydaje mi się, najtrafniej ją charakteryzują.

Kreację wizerunku Tadeusza Pruszkowskiego jako artysty tworzyła w pierwszej kolejności jego rzucająca się w oczy powierzchowność. Możemy ją śledzić poprzez zachowane fotografie, zarówno grupowe (profesor wśród swoich uczniów czy wykładowców) jak i indywidualnie (portretewe) oraz autoportrety malarskie. Obserwując je można odgadnąć skąd brały się jego liczne pseudonimy nadawane przez przyjaciół – Grubas, Teddy (jako zamerykanizowne zdrobnienie od imienia, ale też nazwa pluszowego misia) czy Prusz. Po samych już przezwiskach widać, że profesor wzbudzał zaufanie i serdeczność, a jego przydomki w pieszczotliwy sposób odnosiły się do jego wyrazistej powierzchowności. Pruszkowski był bowiem postawnym mężczyzną, z widoczną tuszą. Chodził ubrany w długie płaszcze, wysokie wiązane buty i fantazyjny kapelusz czy czapkę „pilotkę". Taki ubiór maskował niektóre niedostatki postaci (np. łysinę), a inne (np. tuszę) uwypuklał. Być może Pruszkowski wychodził z założenia, że i tak jest widoczny, to niech w takim razie wyróżnia się przynajmniej oryginalnie. Ta kreacja była przetworzeniem elementów ówczesnej mody np. wysokich butów oficerek noszonych przez wojskowych, którym artysta nadawał własny charakter poprzez dodanie oryginalnego wykończenia (sznurowadła). Elementy z różnych estetyk łączył w barwny wizerunek, który podkreślał jego witalność, męskość i kult zdrowia.

Warto tu bowiem wspomnieć, że Pruszkowski oprócz pasji malarskiej i pedagogicznej miał rozliczne zainteresowania artystyczno-sportowe. Zgodnie z międzywojennym zamiłowaniem do kształtowania tężyzny fizycznej uprawiał zapasy, wioślarstwo, lekkoatletykę, strzelectwo. Był współzałożycielem Aeroklubu Warszawskiego, przewodniczącym Rady Aeroklubu w Polsce, pisywał chętnie czytane felietony w „Skrzydlatej Polsce", a przestrzeń powietrzną przemierzał własną awionetką. Wśród przyjaciół znany był jako amator śpiewu i gry na bałałajce oraz gitarze. Jego barwny wizerunek uzupełniają liczne rekwizyty. Ponoć nigdy nie rozstawał się z „Traktatem o malarstwie" Leonarda da Vinci. Z portretów i zdjęć możemy wnioskować, że również z papierosem czy fajką. Natomiast po jego domu w Kazimierzu Dolnym miał przechadzać się kogut o znamiennym imieniu Makbet[2].

Swoją artystyczną osobowość Pruszkowski zamanifestował także budując oryginalną willę na kazimierskich wzgórzach. Warto zwrócić uwagę już na samo jej umiejscowienie. Kazimierz Dolnym był tradycyjnym miejscem wędrówek krajoznawczych. Od czasów Zygmunta Vogla powstawały malownicze pejzaże jego okolic. Jednak za założyciela kazimierskiej kolonii artystycznej uważa się właśnie Tadeusza Pruszkowskiego. Od 1923 r., czyli pierwszego pleneru uczniów pracowni profesora, malarze stali się nieodłącznym elementem kazimierskiego krajobrazu osiedlając się tu często na stałe. Willa projektu wykładowcy Politechniki Warszawskiej Lecha Niemojewskiego została przyjęta z dużą nieufnością. Musimy wziąć pod uwagę, że wzgórze, na którym stoi było wtedy znacznie mnie obrośnięte roślinnością, gdyż wypasano tam zwierzęta. Co więcej zapalony lotnik kazał je wyrównać tak by móc zrobić tam lądowisko dla swojej awionetki. Zatem modernistyczna bryła budynku, choć wykonana z lokalnego wapienia, była bardzo widoczna. Przeciwnicy „Zamku Pruszkowskiego" zwracali również uwagę na sąsiedztwo zabudowań z czasów Kazimierza Wielkiego, a ustawienie w tym kontekście domu poczytywano Pruszkowskiemu za megalomanię. Samą formą dom był manifestem postawy artysty, którą dobrze wyraża maksyma Bloku Zawodowych Artystów Plastyków, do których należał – „Sztuka wszędzie". Sztukę umieścił w przestrzeni miasteczka sprowadzając tam warszawskich plastyków, swoje zainteresowanie dawną sztuką włoską zamanifestował formą willi podmiejskiej, a sam jej kształt pozwalał na wszechstronne jej praktykowanie. Na ostatnim podwyższonym i dobrze oświetlonym piętrze mieściła się obszerna pracownia, w której można było wykonywać nawet wielkoformatowe dzieła, bowiem okienko z fasady po-

[1] „Muza X" 1926, nr 1, s.15, za: J. Stacewicz-Podlipska, *Szczęśliwy filmowiec, czyli „Edison" znad Wisły*, „Kwartalnik filmowy", nr 71-72, jesień-zima 2010, s. 293

[2] Wszystkie informacje dotyczące zainteresowań Tadeusza Pruszkowskiego podaję za J. Stacewicz-Podlipska, *Tamże*, s. 291-292.

zwalało na ich transport na zewnątrz. Na niższych piętrach natomiast poza przestrzeniami typowo domowymi, intymnymi były spore pokoje dla gości, w których organizowano spotkania towarzyskie i dyskusje o współczesnym kształcie sztuki narodowej, której Pruszkowski był gorącym zwolennikiem.

Trzeba powiedzieć, że tak jak przestrzennie definiował swoją pozycję w oparciu o autorytety, a zarazem w pewnej opozycji do nich, tak też określał siebie jako artystę. Odcinał się wyraźnie od modernistycznej koncepcji artysty-kapłana i hasła „sztuki dla sztuki". Uważał, że sztuka powinna być narzędziem edukacji estetycznej społeczeństwa, szczególnie w odrodzonej II Rzeczpospolitej. W swoich pismach[3] propagował „wielką popularną sztukę", jak zatytułował jeden ze swoich artykułów[4]. Był przekonany, że za sprawą sztuki przedstawiającej, tematycznej, realistycznej, odwołującej się do konwencji wypracowanych przez dawnych mistrzów, a realizowanej w ramach potrzeb propagandowych nowego państwa można dotrzeć do społeczeństwa. Tym samym sprzeciwiał się izolacji twórcy tak charakterystycznej dla młodopolskiej bohemy. Choć publikował artykuły komentujące problematykę i bieżące wydarzenia na gruncie plastyki to unikał manifestów, które były dla niego wyrazem bierności, bezowocnych „kawiarnianych dyskusji". Co ciekawe, ta niechęć dla wyrażania swoich racji artystycznych była charakterystyczna dla całego środowiska „pruszkowiaków", którzy zakładając ugrupowania zrzeszające kolejne roczniki absolwentów pracowni profesora stronili od manifestów ideologiczno-estetycznych.

Pruszkowski odcinał się również od romantycznej koncepcji artysty-geniusza. Podstawa tej koncepcji – prymat talentu nad warsztatem- została przez niego zdyskredytowana. Sprzeciwiał się brakowi wyraźnych kryteriów, które zbywano kultem indywidualnego geniuszu twórcy. Apelował o gruntowne wykształcenie we wszystkich dziedzinach, które zapewnić miało artyście zatrudnienie. Dowartościowywał pracę na zamówienie, tak pogardzaną przez romantyków. Uważał, że zdolności jego uczniów trzeba tak kształcić, by *gdziekolwiek się znajdą, mogli utrzymać się na powierzchni życia i nie potrzebowali liczyć na łaskawość i protekcję ludzką*[5]. Taka postawa wydaje się być tym bardziej sensowna, że projekty, które wykonywano musiały nadawać się do realizacji. Bowiem, trzeba pamiętać, że środowisko warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych kładło nacisk na tzw. sztukę stosowaną. Nie uczono tu, jak tradycyjnie w Krakowie, jedynie rysunku, malarstwa, i rzeźby, ale wszelkich technik rzemiosła artystycznego – tkactwa, obróbki drewna etc. Do myślenia o dziele sztuki jako całościowym wyzwaniu realizacyjnym przygotowywała prowadzona przez Wojciecha Jastrzębowskiego Pracownia Kompozycji Brył i Płaszczyzn. Artyści podpatrywali również tradycyjne ludowe techniki na warsztatach współprowadzonych przez rzemieślników.

I chyba najbliżej tej właśnie koncepcji artysty jako gruntownie wykształconego rzemieślnika pozycjonował siebie Pruszkowski. Jak już wspomniałam dowartościował warsztat, co więcej przyczynił się do odroczenia tradycyjnych technik artystycznych takich jak tempera, olej czy fresk. Co ciekawe przywrócił też, w dostosowanym do XX-wiecznych potrzeb kształcie, średniowieczną organizację cechową. Założone w 1925 r. Bractwo św. Łukasza, jedno z ugrupowań absolwentów pracowni „Prusza" już samą nazwą akcentowało te analogie. Posiadało też własną regułę opartą przede wszystkim na wspólnocie koleżeńskiej, nie będącą w żadnej mierze manifestem stylistycznym. By stać się członkiem Bractwa trzeba natomiast przejść teatralizowany rytuał wyzwolin z pracowni mistrza, by móc wkroczyć na samodzielną drogę twórczą. Tutaj ujawnia się właśnie kategoria Mistrza, o której wspominałam we wstępie. Pruszkowski jako Mistrz Bractwa opiekował się uczniami nie tylko w czasie nauki akademickiej. Dbał o nich także po ukończeniu kształcenia wskazując ciekawe konkursy czy zamówienia państwowe, czy zapraszając do współpracy przy większych projektach. Sam swoją działalność określał jako „twórczość wychowawczą". Jego nietypowa pracownia była raczej wspólnotą idei niż stylistyki. Luźne godziny zajęć, wspólne coroczne plenery w Kazimierzu Dolnym sprzyjały koleżeńskiej atmosferze. Jako mistrz nie zachęcał do naśladownictwa własnej twórczości wskazując raczej na geniuszy malarstwa włoskiego i holenderskiego XVII wieku, którzy byli mu szczególnie bliscy. Uczniowie we wspomnieniach często podkreślają, że nie narzucał żadnego konkretnego sposobu malowania, jedynie pragnąc, by malowali dobrze. *Profesor Pruszkowski był wspaniałym kolegą, wspaniałym przyjacielem i wspaniałym pedagogiem. On miał jakieś specjalne chwyty naprowadzenia nas, żebyśmy uwierzyli, że my jesteśmy geniusze. Inaczej to byłoby gorzej.. I każdy robił jak najlepiej, starał się jak najwięcej, a on nas chwalił i chwalił, a myśmy rośli jak na drożdżach*[6] mówiła Teresa Roszkowska, ulubiona uczennica profesora, członkini „Szkoły Warszawskiej". Pruszkowski opiekował się swoimi wychowankami niczym ojciec, tym bardziej, że własnych dzieci nie miał.

Tym samym po raz kolejny wracamy do wątku warsztatu artysty w wizerunku Tadeusza Pruszkowskiego. Wspomniałam, że chyba najbliżej byłoby mu do średniowiecznej koncepcji rzemieślnika. Jak podkreśla w swojej pracy Agnieszka Chmielewska[7] w środowisku warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych funkcjonowało wyraźne rozróżnienie rzemieślników i artystów-plastyków. Ci pierwsi niekiedy uczyli drugich specyfiki wykonywanej pracy, jednak nie mieli wyższego wykształcenia. Krótko mówiąc nie należeli do inteligencji, której specjalizacja fachowa była szczególnie pożądana w międzywojennej Polsce. Jako alternatywę dla koncepcji artysty-rzemieślnika Chmielewska wprowadza zatem kategorię artysty-fachowca, której przykładem ma

[3] Wydano je w zbiorze: *Tadeusz Pruszkowski. Wybór pism*, Zeszyty Naukowe Akademii Sztuk Pięknych, zeszyt 4/26/1989, oprac, Irena Bal, Warszawa 1989.

[4] T. Pruszkowski, *O wielką popularną sztukę,* w: *Tamże*, s.18-26.

[5] Tadeusz Pruszkowski, za: S. Ciechomski, *Dziesięciolecie Bractwa św. Łukasza,* „Plastyka" 1938, nr 2-3, s.48.

[6] Cyt. za: J. Stacewicz-Podlipska , *Szczęśliwy filmowiec, czyli „Edison" znad Wisły*, „Kwartalnik filmowy", nr 71-72, jesień-zima 2010, s. 292.

[7] A. Chmielewska, *Artysta-fachowiec jako wzór absolwenta warszawskiej ASP w okresie międzwojennym*, w: *Polskie szkolnictwo artystyczne . Dzieje-teoria-praktyka*, Materiały LIII ogólnopolskie sesji naukowej Stowarzyszenia Historyków Sztuki, Warszawa 14-16 października 2004, pod. red. Marii Poprzęckiej, Warszawa 2005, s. 213-222.

być m.in. Tadeusz Pruszkowski. Jego rozległa wiedza i zdolności techniczne, a także zaangażowanie w współtworzenie sztuki popularnej wpisuje go również w krąg artystów „państwowotwórczych”[8]. Taki model artysty, opozycyjny zarówno wobec zdystansowanego modernisty jak i romantycznego geniusza, nie stroni od zamówień państwowych, które są najlepszym sprawdzianem jego umiejętności, ale też urzeczywistnieniem postulatów artystycznych. Nic więc zatem dziwnego, że środowisko Pruszkowskiego, wywodzące się z dawnych legionistów, szeroko korzystało z mecenatu państwowego. Najbardziej spektakularną tego typu realizacją był cykl obrazów prezentujących historię Polski na siedmiu monumentalnych płótnach przygotowany przez członków Bractwa św. Łukasza na Wystawę Światową w Nowym Yorku w 1939 r.[9] Cykl ten powstawał pod kuratelą Mistrza, artysty-fachowca w specjalnie przystosowanej do takich zamówień pracowni na ostatnim piętrze kazimierskiej willi Pruszkowskiego.

W tej samej przestrzeni umieszczona była akcja debiutanckiego i jedynego filmu, którego scenarzystą i operatorem był wszechstronny plastyk. W 1926 r. w kazimierskiej scenerii rozegrała się akcja „Szczęśliwego wisielca, czyli Kalifornii w Polsce”. Amator zaczął zgłębiać tajniki sztuki filmowej chcąc i na tym polu zostać fachowcem. W tym kontekście chciałam przywołać trzecią kategorię, którą wyznaczyłam we wstępie. Kreacja siebie jako artysty, ale też całego środowiska specyficznej cyganerii wokół Pruszkowskiego ma wiele znamion teatralnej maskarady. Opisując wspomniany film miasteczko pojawia się jako scenografia, ale też aktor na równi z bohaterami filmu, uczestnikami letniego pleneru wybranymi autorytarnie przez Mistrza. W tym kontekście warto wspomnieć pracowniane wyzwoliny, ale też otrzęsiny, szopki bożonarodzeniowe czy coroczne bale maskowe. Chyba najtrafniej ten aspekt środowiska „pruszkowiaków” opisała Maria Kuncewiczowa: *Formalnie pretekstem letnich sesji akademickich w Kazimierzu było malowanie w plenerze, ale główną czynność stanowiła cygańska comedia dell'arte w stylu witalisów zakochanych w obiektywnym rzemiośle i urodzie życia. Młodzi malarze wraz ze swoim ulubionym Pruszem tyleż malowali, co pływali, żeglowali, przebierali się za pasterzy i dzikusów, klasyczne amantki, rozbójników i duchy(...)”.* Co ciekawe ulubienica Mistrza Teresa Roszkowska, główna aktorka debiutu filmowego Mistrza, autorka najciekawszych kostiumów podkreślających jej oryginalną urodę, została scenografem teatralnym.

Tadeusza Pruszkowskiego jako mistrza, fachowca i aktora można by spróbować pokazać na tle mitów biografiki artystycznej. Podkreślając jego dwuklasowe tylko wykształcenie, które znosiło dystans, mogłoby wpisywać go w kliszę artysty niewykształconego, który własną pracą dochodzi do osiągnięć w sztuce. Dyskusje z kapistami o wyższość tematu nad zagadnieniami czysto malarskimi, głównie w prasie międzywojennej byłyby kontynuacją wielowiekowej tradycji współzawodnictwa artystycznego. Zaangażowanie w tworzenie ikonografii II Rzeczpospolitej poprzez relację z Józefem Piłsudskim mogłoby obrazować tradycję motywu artysta-władca. Kategoria mistrza mieści w sobie wiele wątków- stosunek mistrz-uczniowie, czy mistrz a dawni mistrzowie. W kontekście bezdzietności Pruszkowskiego jego dzieło malarskie, ale też pedagogiczne mogłoby być widziane jako metaforyczne „dziecko twórcy”. Natomiast wojenna śmierć Pruszkowskiego w niewyjaśnionych okolicznościach zabranego przez nazistów ze swojego warszawskiego mieszkania przy ul. Lwowskiej wpisywałaby się XX-wieczną redakcję motywu niezawinionej, tajemniczej śmierci artysty.

W tej pracy chciałam zaproponować, według mnie, bardzo trafne kategorie, które mogą pomóc uchwycić kreację wizerunku artysty według Tadeusza Pruszkowskiego. Ta wizja siebie konstruowana była na każdej płaszczyźnie życia twórcy. Doborem ubioru do swojej powierzchowności, umiejscowieniem i kształtem swojego domostwa w Kazimierzu Dolnym, pasjami, sposobem kształcenia studentów, a wreszcie patrzeniem na rolę artysty w międzywojennej Polsce przedstawił bardzo ciekawą propozycję, która niestety nie miała kontynuacji. Postawa ta była pełna energii, zaangażowania, co często podkreślali studenci. Przeciwnicy krytykowali go za „wstecznictwo” artystyczne i uleganie naciskowi aparatu państwowego. Barwna maskarada, którą uprawiał Pruszkowski była pochodną młodopolskiej bohemy z dużą dawką dystansu i autoironii. Mistrz kreacją siebie i otoczenia zmniejszał dystans właściwy geniuszowi zachowując jednak autorytet poprzez nacisk na kryteria oceny sztuki i troskę o los wychowanków. Kreował przestrzeń wspólnoty wartości, a nie jedynie poglądów estetycznych. Taka postawa oparta na fachowych zdolnościach artystycznych, wynikająca z potrzeb codziennej praktyki misji społecznej artysty pedagoga z domieszką autoironii jest niezwykle zdrową alternatywą dla indywidualistycznego kultu geniusza.

Bibliografia

Chmielewska A., *Artysta-fachowiec jako wzór absolwenta warszawskiej ASP w okresie międzwojennym*, w: *Polskie szkolnictwo artystyczne . Dzieje-teoria-praktyka*, Materiały LIII ogólnopolskie sesji naukowej Stowarzyszenia Historyków Sztuki, Warszawa 14-16 października 2004, pod. red. Marii Poprzęckiej, Warszawa 2005, s. 213-222.

Chmielewska A., *W służbie państwa, społeczeństwa i narodu : „państwowotwórczy” artyści plastycy w II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2006.

Odorowski W., *Kolonia artystyczna w Kazimierzu Dolnym XIX-XXI wiek*, Kazimierz Dolny 2005.

Odorowski W., *Wydawać się może, że wiemy już wszystko*, „Brulion Kazimierski”, nr 7 (wiosna-lato 2006), s. 4-5.

Śladami mistrza. Pisali o Pruszu, „Brulion Kazimierski”, nr 7 (wiosna-lato 2006), s. 6-8.

Rutkowski S., *Tadeusz Pruszkowski,* „Brulion Kazimierski”, nr 7 (wiosna-lato 2006), s.9-12.

Stacewicz-Podlipska J., *Szczęśliwy filmowiec, czyli „Edison” znad Wisły*, „Kwartalnik filmowy”, nr 71-72, jesień-zima 2010, s. 291-305.

Tadeusz Pruszkowski. Wybór pism, Zeszyty Naukowe Akademii Sztuk Pięknych, zeszyt 4/26/1989, oprac, Irena Bal, Warszawa 1989.

„Wiadomości Literackie”, nr 2, 01.1939 (numer specjalny poświęcony Kazimierzowi Dolnemu).

Wójcik R., *Historia Polski w siedmiu odsłonach, O malowanych w Kazimierzu obrazach eksponowanych na Światowej Wystawie w Nowym Jorku w 1939 r.,* „Brulion Kazimierski”, nr 1 (wiosna-lato 2001), s.16-21

Łukaszowcy N.Y. 1939, , reż. Michał Dudziewicz, Polska, 2005, 48 min

[8] Chmielewska A., *W służbie państwa, społeczeństwa i narodu : „państwowotwórczy” artyści plastycy w II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2006.

[9] R. Wójcik, *Historia Polski w siedmiu odsłonach, O malowanych w Kazimierzu obrazach eksponowanych na Światowej Wystawie w Nowym Jorku w 1939 r.,* „Brulion Kazimierski”, nr 1 (wiosna-lato 2001), s.16-21.

Waldemar Odorowski

KONFRATERNIA W IZRAELU

Rzecz się dopełniła – 20 czerwca 2015 r., w Galerii Domu Michalaków otwarta została wystawa „Kolory Piątej Ewangelii". Pielgrzymka – plener Kazimierskiej Konfraterni Sztuki do Ziemi Świętej. Wystawa dopełniła ową rzecz, bo i tak można to nazwać, którą był wyjazd do Izraela w listopadzie 2014r., grupy 18. członków Kazimierskiej Konfraterni Sztuki na zaproszenie Ojca Nikodema, reprezentującego franciszkański Komisariat Ziemi Świętej w Polsce. Tak najkrócej można powiedzieć o oficjalnej stronie tego przedsięwzięcia. To tylko etykieta, pod którą kryje się znacznie więcej, przede wszystkim pytań: jak to mogło się stać? Jak przebiegało? Co zobaczyli? Czego doświadczyli uczestnicy tego wyjazdu? Jakie są jego rezultaty, przecież nie tylko obrazy, choć na wystawie zawisło ich ponad sto. I wreszcie, jak ocenić całe przedsięwzięcie. Oczywiście, od razu można by powiedzieć, że to wydarzenie historyczne, choćby dlatego, że nigdy wcześniej w Kazimierzu coś takiego się nie zdarzyło. Ale patos i nadęcie nie są tu potrzebne, trudno jednak nie zgodzić się, że wydarzenie było niezwyczajne.

Ojciec Nikodem, inicjator tego wyjazdu mówił, że nigdy wcześniej tak dużej grupy malarzy po Ziemi Świętej nie prowadził, a jeździ tam z pielgrzymkami od niemal 30. lat. Wspominał też, że próbował namówić na taki wyjazd innych malarzy, choćby z Krakowa, ale mu się to nie udało. Wprawdzie nie powiedział tego wprost, ale można było wyczuć, że spotkał się nie tyle z niechęcią, co brakiem zdecydowania, mającym w tle nieumiejętność działania wspólnego, jakieś wzajemne animozje, także niemoc organizacyjną. W przypadku Konfraterni niczego takiego nie było, choć w czerwcu 2014 r., Ojciec Nikodem złożył nam propozycję wyjazdu do Ziemi Świętej, postawił warunki, na jakich ten wyjazd mógł dojść do skutku, a na dodatek opowiedział co mogliśmy zobaczyć, gdzie się znaleźć… zapanowała ogólna konsternacja. Propozycja była wspaniała, warunki niewiarygodnie korzystne. Aż trudno było uwierzyć. Wszystko potoczyło się jak Ojciec Nikodem zapowiedział. Dlaczego jednak z tą propozycją zwrócił się do nas, do Konfraterni, do Kazimierza?

Poznaliśmy się kilka lat temu, były plany wspólnych działań, Ojciec Nikodem widział w Konfraterni szansę pomocy w propagowaniu poprzez sztukę jego idei Kazimierza, jako polskiego Nazaretu. Byliśmy temu przychylni, ale nikt nie spodziewał się, że rezultat będzie taki.

Sama pielgrzymka do Ziemi Świętej, którą nazwaliśmy pielgrzymką artystyczną, to nieustanny każdego dnia ciąg olśnień, zachwyceń, ogromnej rozpiętości wrażeń. I nieustanna serdeczna opiekuńczość Ojca Nikodema, który dbał o nas w sposób budzący wzruszenie. Przejechaliśmy kawał Izraela od morza do morza (Śródziemnego i Martwego) z Jerozolimą, Betlejem, Nazaretem, jeziorem Galilejskim, nadmorskimi Jaffą, Hajfą i Akko, górskim Safed. Wszystkie najważniejsze sanktuaria, wszystkie najpiękniejsze zabytki, niezwykłości natury jak Morze Martwe i pustynia Judzka. Każdy dzień przebiegał bardzo intensywnie, ale bez zmęczenia. Wrażeń z tego pobytu nie da się ująć w paru słowach. Więcej mogą powiedzieć obrazy powstałe z inspiracji Ziemi Świętej. Ale przede wszystkim zostaje satysfakcja z uczestnictwa w czymś tak nadzwyczajnym. Rzecz się dokonała…, ale nie zamknęła, także przez to, że wystawa będzie krążyła nie tylko po Polsce. A siła wrażeń pozostanie w nas jeszcze bardzo długo.

Uczestnicy wyjazdu

Marek Andała
Marta Andała
Anna Borkowska
Włodzimierz Dąbkowski
Roman Gruszecki
Ilona Iwańska
Jacek Jarosz
Halina Kołodziejska
Jacek Kwiatkowski
Bartłomiej Michałowski
Sławomir Mikawoz
Agnieszka Mitura
Leszek Niewiadomski
Jolanta Opolska
Mariusz Płoszaj–Mazurek
Krystyna Rudzka–Przychoda
Dorota Święcicka-Odorowska
Waldemar Odorowski

Konrad Kucza-Kuczyński

NOWE W STARYM KAZIMIERZU

WIDOK SYTUACJA

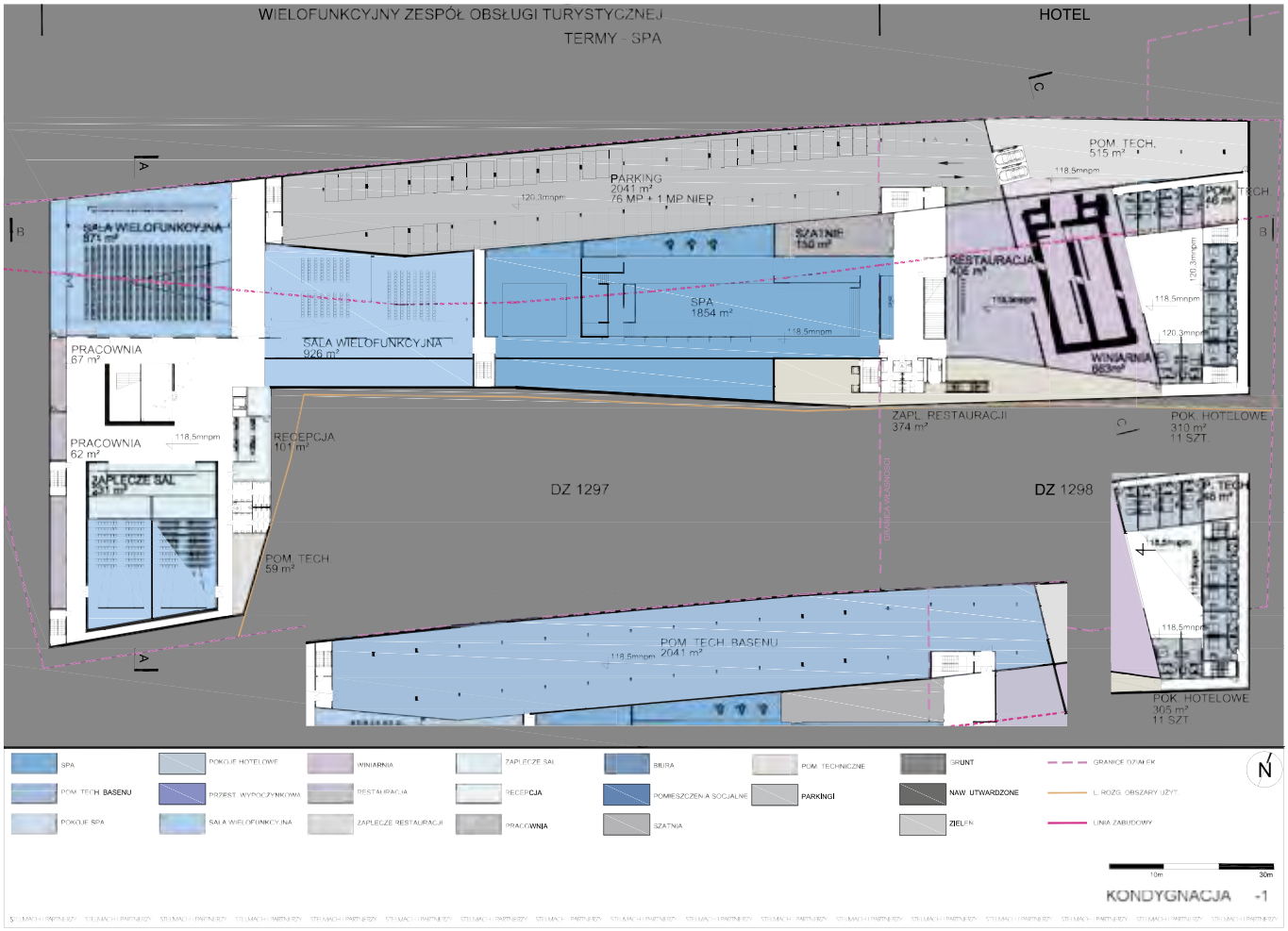

Kazimierz Dolny niezbyt chętnie przyjmuje w swoim unikalnym urodą pejzażu nową współczesną architekturę. To wiemy i dlatego uciekamy w łatwe, chociaż często fałszywe historyzmy i stylizacje, oczywiście te bezpieczne, „kazimierskie". Stąd ilość nowego języka architektonicznego jest tu niewielka. Każdy nowy przybysz jest bacznie obserwowany. Wygląda na to, że będzie jednak kolejna okazja do dyskusji i oceny. Po nielicznych zrealizowanych próbach nowej architektury ostatniego ćwierćwiecza z wysokiej półki: domu Kuryłowiczów, pawilonie sanitarnym nad Wisłą, niekończącej się rozbudowie Faktorii Angielskiej, czas na kolejne doświadczenie.

Miejscem nowej architektury ma być lokalizacja wzdłuż Krakowskiej: od rejonu dawnego spichlerza „Pod Bożą Męką" do wąwozu

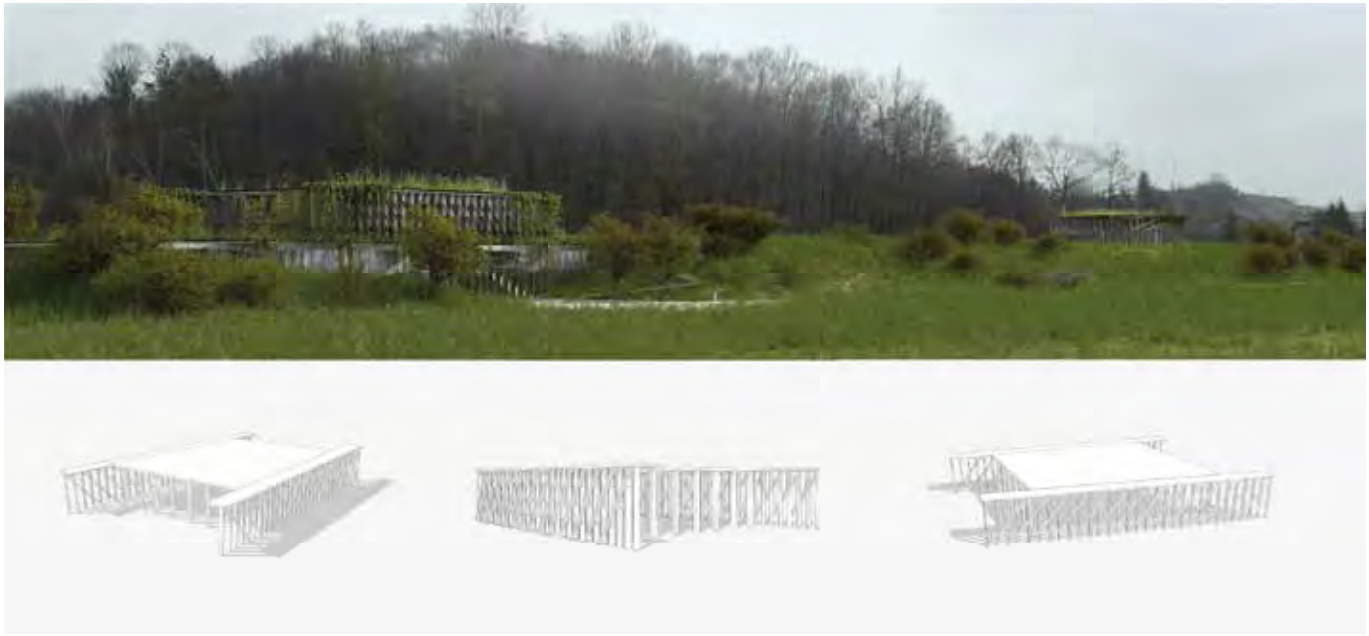

WIDOK KONSTRUKCJA ALTANY 1 WERSJA 2

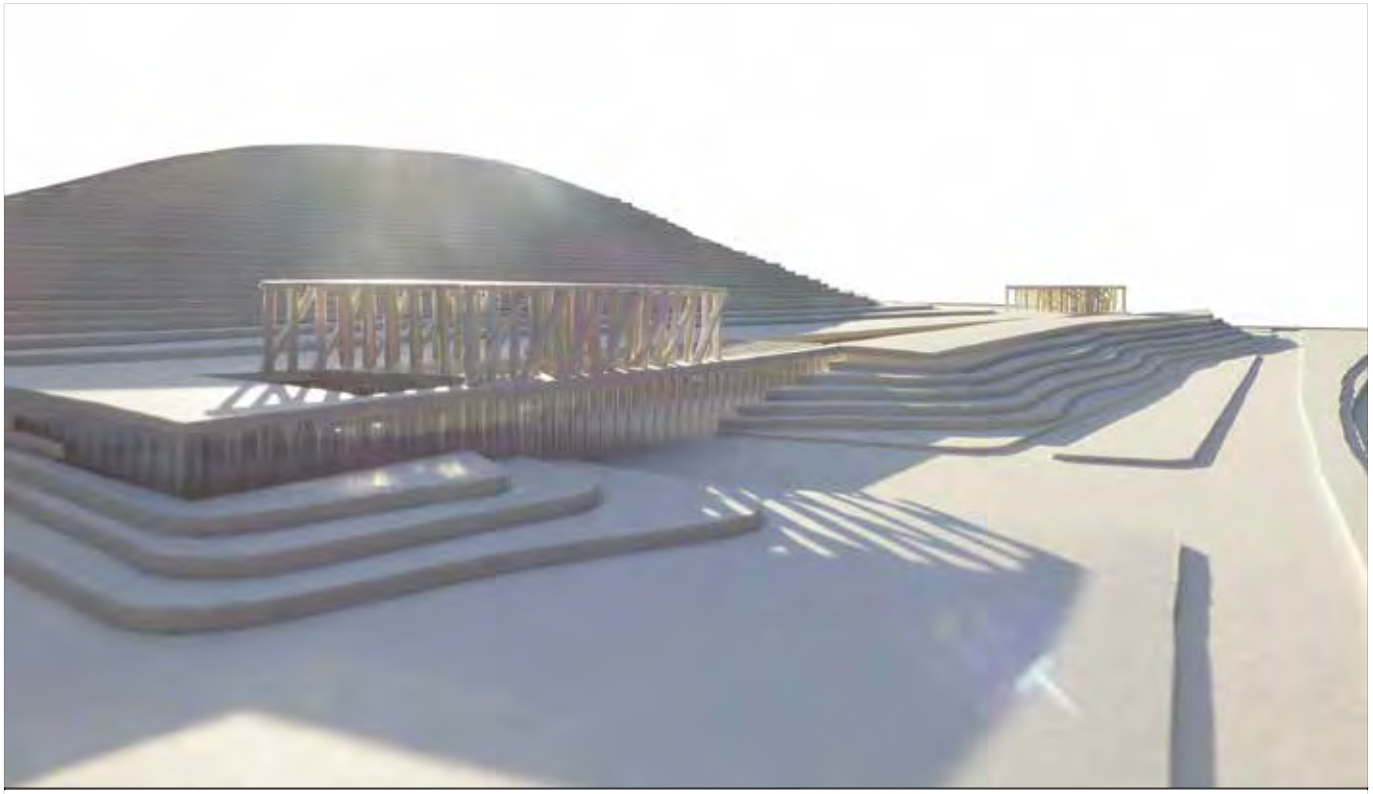

ZDJĘCIE MAKIETY ROBOCZEJ - WIDOK OD STRONY POŁUDNIOWEJ

poprzedzającego kamieniołom. Czyli w jednym z najbardziej czułych miejsc kazimierskich: przedpola chronionego kazimierskiego kamieniołomu i otwartej na Wisłę i Janowiec przestronnej przestrzeni; gdy znikną resztki nieczynnego i rozpadającego się, komunalnego zaplecza. Znalazł się odważny, w dodatku lubelski inwestor, który w tym trudnym z racji ograniczeń konserwatorskich i krajobrazowych miejscu, chce zbudować *„Ośrodek Usług Turystycznych. Wielofunkcyjny Zespół: „Centrum Turystyki, Sportu i Rekreacji w Kazimierzu Dolnym”*.

Każda próba „nowego” w tak wartościowej przestrzeni i z ograniczeniami, staje się wyzwaniem dla twórcy i sprawdzianem jego sprawności. W przypadku miejsca w strefie kultowego, ostatniego w szeregu kazimierskiego spichlerza, nie ma obawy o umiejętności i filozofię twórczą wybranego przez inwestora architekta. To Bolesław Stelmach, założyciel w 1985 roku w Lublinie pracowni architektonicznej STELMACH I PARTNERZY Biuro architektoniczne. Stelmach należy do czołówki współczesnych architektów polskich. Po znanych realizacjach lubelskich i nałęczowskich, zrealizował w wyniku

ANALIZA WIDOKOWA. WIDOK Z PÓŁNOCNO-WSCHODNIEJ STRONY UL. KRAKOWSKIEJ WERSJA 2

wygranych konkursów wybitne dzieła polskiej architektury: Centrum Chopinowskie w Warszawie w 2004 r. i rewaloryzację zespołu Parku w Żelazowej Woli wraz z obiektami obsługi turystów w 2005 r. Po wygranym w 2001 r. konkursie na rozbudowę zespołu Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej, zrealizował dotychczas tylko nieliczne, ale również zauważalne swoją jakością obiekty. Aktualnie realizuje po konkursie w 2009 r. na „Przebudowę <Teatru w budowie>, „Centrum Spotkania Kultur w Lublinie". Wysoka jakość tych dzieł dała Stelmachowi najwyższe wyróżnienie środowiska polskich architektów: Honorową Nagrodę Stowarzyszenia Architektów Polskich w 2010 r., a w 2011 r. otrzymał w Tokio nagrodę Międzynarodowej Unii Architektów UIA. Same nagrody nie dają gwarancji dobrego „dodawania nowego do starego", szczególnie w naszym trudnym Kazimierzu, ale fakt twórczych metod Stelmacha opartych z jednej strony o minimalistyczny, spokojny język architektury, a z drugiej o dobre wpisywanie się w zastaną przestrzeń, rokują i tutaj dobry efekt.

Rozmawiam z Bolkiem Stelmachem – absolwentem krakowskiego Wydziału Architektury i doktorem tegoż – na temat jego kazimierskiej

realizacji. Rozmawiam w Warszawie, w kawiarni przed warszawskim Wydziałem Architektury. To z rąk absolwentów i profesorów tej warszawskiej uczelni pochodziły dotychczasowe próby nowej architektury Kazimierza. Przed wojną budował tu willę dla Pruszkowskiego profesor Lech Niemojewski i znakomitą, skromną pocztę profesor Romuald Gutt. Powojenne dzieło profesora Bohdana Lacherta budziło wiele kontrowersji, chociaż teraz po odnowieniu lepiej je akceptujemy. Uzupełniał tradycyjną zabudowę miasteczka związany z nim rodzinnie profesor Henryk Dąbrowski, a profesor Lech Kłosiewicz dokończył ostatnio muzealny narożnik nad Grodarzem. Warszawski Wydział kończyli kazimierscy architekci: Tadeusz Michalak, Olga i Waldemar Doraczyńscy. Profesorami WA są Ewa i – był niestety – Stefan Kuryłowicz z ich domem na Szkolnej. Pawilon nad Wisłą z 2012 r. też jest dziełem młodych absolwentów naszej szkoły: Piotra Musiałowskiego

ANALIZA WIDOKOWA WISŁA – SKARPA JANOWIECKA WERSJA 2

WIDOK KONSTRUKCJA ALTANY 2

i mego dyplomanta Łukasza Przybyłowicza. I niżej podpisany, również absolwent i profesor warszawskiej szkoły, próbuje nie tylko zamieszkać, ale i też „dodawać" w Kazimierzu…

Miało być o Stelmachu, ale prowokuje zderzenie jego projektowanego nowego dzieła z „warszawskimi" realizacjami.

Słucham więc relacji o ideach i rozwiązaniach jego kazimierskiego dzieła – bo takim pewnie będzie – w oparciu o zaakceptowaną już przez władze konserwatorskie koncepcję.

Pierwsze pytania i obawy z racji cennego krajobrazu kazimierskiego, dotyczą relacji skali programowanego tu obiektu właśnie do monumentalnej i przyjaznej równocześnie zielonej skarpy. Odpowiedź autorska jest zdecydowana, kategoryczna: *„Miejsce skłania do przyjęcia strategii projektowej ukrycia dużej kubatury obiektu o powierzchni około 16 000 m² pod terenem"*. Koncepcja idzie konsekwentnie w tym kierunku: większość kubatury dwóch kondygnacji Centrum jest zagłębiona, wkopana w ziemię, przekryta zielonymi dachami, a jedynie w dwóch miejscach: nad rejonem dawnego spichlerza „Pod Bożą Męką" oraz na zakończeniu, przed wąwozem, akcenty architektoniczne nad terenem, zgodnie zresztą z zapisem Miejscowego Planu Zagospodarowania Terenu są *„w lekkiej, powszechnie stosowanej technologii konstrukcji drewnianej"*. Stelmach tę ideę zapisał celnie i krótko w opisie koncepcji: *„Kamienna /w skarpie/ i drewniana /na skarpie/"*. I również zgodnie już ze swoim minimalistycznym widzeniem architektury, Centrum kształtuje w oparciu o rygor tylko czterech materiałów: *„beton – kamień – drewno – szkło"*. To już widać w koncepcyjnym zapisie obiektu. Konsekwencją krajobrazowego formowania Centrum jest podejście do „piątej elewacji", tutaj tak ważnej z racji autentycznego spojrzenia z korony skarpy. Ale Stelmach idzie dalej, nie tylko

WNĘTRZE WINIARNIA

WNĘTRZE HALL GŁÓWNY

w sferze widoku: *„Na zielonych dachach projektuje się endemiczną niską roślinność tożsamą z rosnącą obok i obecnie na terenie. Teren / dachów/ będzie zagospodarowany jako otwarty, ogólnodostępny ogród krajobrazowy, kontynuujący zastany krajobraz. Jednym z jego elementów będą zespoły drzew owocowych – pozostałości sadów”*. Może to będzie ekwiwalent bolesnego przeżycia przez nas wycięcia ostatnio malowniczych jabłoni przy Krakowskiej, vis a vis „Murki”… I dalej Stelmach: *„Na południowym zboczu planuje się winnicę z lokalnymi szczepami winnej latorośli (np. „Chardonnay Północy – szczep Solaris”)*. To, jak przyznaje Stelmach, pomysł samego inwestora, pasjonata zakładania winnic i produkowania lokalnego wina. To kolejna próba powrotu do średniowiecznej jeszcze, pięknej tradycji tych ziem.

Jak pod tymi zielonymi dachami rozmieszczony został program Centrum? Dojazd od Krakowskiej i wejście wyznacza główny hall wejściowy z recepcją akcentowaną widocznymi pod szkłem lub wychodzącymi nad posadzkę efektownymi odkrywkami fundamentów spichlerza. Jest to również wejście do programu hotelu z 60 pokojami i do zespołu SPA dłuższego pobytu z 78 pokojami. Jak są doświetlone te pokoje, skoro większość kubatury jest zagłębiona? Oczywiście dzięki otwarciu na podłużne, równoległe do Krakowskiej długie wewnętrzne patio. Zespół Centrum kończy strefa z wielofunkcyjną salą widowiskową na 500 miejsc – według zapowiedzi filmowców – szansa na całoroczną aktywność tego środowiska, a nie tylko w festiwalowym okresie „Dwóch Brzegów”. Akcentem nad terenem w tym miejscu jest jedynie ażurowa, drewniana loggietta – forma letniej kawiarni z efektownymi już z tego miejsca widokami na Wisłę i Janowiec.

Taka jest ta fascynująca wizja fragmentu „nowego” Kazimierza: wizja dobrego architekta i odważnego inwestora. Jeśli sprawdzą się w realizacji wizualizacje z koncepcji – i te jeszcze nie zapisane, ale tkwiące jak zawsze w tej wczesnej fazie w głowie twórcy – Kazimierz wzbogaci się o nieznany dotychczas efekt architektury „niewidzialnej”, jak u Calvino. „Niewidzialnej”, ale zapamiętywalnej. A tego zawsze szukamy w natłoku architektury, którą widać, a której nie chcemy, szczególnie w Kazimierzu. Efekt ostateczny zależy od wytrwałości obu tych współtwórców zamierzenia i od tych, którzy nie będą przeszkadzać. Będziemy sekundować…

Warszawa/Kazimierz Dolny, 4 lipca 2015

Dane ogólne:

Inwestor: ZANA HOUSE Sp. z o.o. Lublin

Projekt: „STELMACH I PARTNERZY.

Biuro architektoniczne” Lublin

Autorzy: dr arch. Bolesław Stelmach, arch. Marek Zarzeczny, arch. Rafał Szmigielski, arch. Zbigniew Wypych.

Dane obiektu /wg. koncepcji/: p.u. 16.358 m^2, pokoi hotelowych – 60, pokoi SPA – 78, parking – 77 miejsc.

Artykuł powstał we współpracy z Zana House Sp. z o.o. i z pracownią Stelmach i Partnerzy. Dziękujemy za udostępnienie informacji i materiałów graficznych.

Cytaty pochodzą z bezpośredniej rozmowy ze B. Stelmachem lub z tekstu opisu do projektu koncepcyjnego.

WNĘTRZE BASENY SPA

Tadeusz Michalak

SPICHLERZ WAWRZYŃCA GÓRSKIEGO

Liczne przekazy ikonograficzne dostarczyły badaczom dziejów Kazimierza informacji o istnieniu niegdyś wspaniałego spichlerza zwanego „Pod Bożą Męką" albo „Pod Figurą". Spichlerz należał do najbogatszego kazimierzanina Wawrzyńca Górskiego, który w 1607 r. wystawił pierwszą nowożytną kamienicę w mieście. Kamienica stała na niedawno wytyczonej ulicy nazywanej najpierw Nadrzeczną, później Senatorską.

Górski, pisujący się z łacińska Laurencjusz (stąd na gmerku kamienicy inicjał LG) na początku XVII stulecia był kazimierskim burmistrzem. Nic więc dziwnego, że „ścigając" się z podobnie zamożnymi Przybyłami, postanowił zabłysnąć równie wspaniałą jak kamienice przybyłowskie budowlą. Dlatego też, kilka lat po kamienicach wzniósł okazale ozdobiony spichlerz. Jak twierdzi na podstawie archiwalnych zapisów Kazimierz Parfianowicz, spichlerz został wzniesiony w miejscu dawnego cmentarza ofiar zarazy, a nazwanie go spichlerzem pod Bożą Męką i ozdobienie fasady wyobrażeniem Ukrzyżowania, miało stanowić zadośćuczynienie za naruszenie spokoju zmarłych. Bardzo jednak możliwe, że zapiski te odzwierciedlają raczej niechętny stosunek mieszczan do prominentnego współobywatela i do jego inwestycji, gdyż nigdzie indziej nie ma wzmianki o istnieniu w tym miejscu pochówków, zwłaszcza, że zawsze były to tereny zalewowe.

Przypuszcza się, że budowniczym był Adam Wójtowicz-Tarnawski, domniemany twórca kościoła w Gołębiu i Kaplicy Górskich w Farze. Budowle te powielały „schyłkowe wzorce manieryzmu" jak pisał Adam Miłobędzki. Spichlerz powstał przed rokiem 1630, niektórzy uważają, że w 1624. Na podstawie dziewiętnastowiecznych rysunków (Hoffman, Gerson, Stronczyński, czy anonimowy autor w Tygodniku Ilustrowanym) oraz znalezionej w zbiorach Muzeum Narodowego fotografii z 1875 roku pochodzącej z zespołu zdjęć przypisywanemu Józefowi Brandtowi, wiadomo dokładnie jak spichlerz wyglądał.

Budowla składała się z prostokątnego korpusu głównego i z frontowej przybudówki. Korpus przykryty był tak jak inne spichlerze wyniosłym dachem dwuspadowym, a przybudówka podobna jak w spichrzu Kobiałki, dachem pulpitowym. Sądząc po okienkach widocznych w elewacji bocznej, część magazynowa miała cztery kondygnacje. Po wewnętrznej stronie tylnego szczytu widoczny jest odcisk więźby dachowej, która była więźbą storczykową, podobną do tej zachowanej na Farze. Szczyt frontowy uformowany został na sposób bardzo dekoracyjny. Boki szczytu powycinano ozdobnie i przyozdobiono dwoma parami obelisków. Para obelisków znajdowała się

Spichlerz Pod Bożą Męką. Rycina A. Rauarque'a w.g. Rysunku Karola Hoffmana z 1835 r..

też na przybudówce. W górnej części szczytu znajdowała się, dosyć płasko modelowana aedicula, w której znajdowało się Ukrzyżowanie. Po bokach krzyża klęczały dwie postacie. Jak przypuszcza Wiesław Husarski, jedną z nich mógł być sam fundator. Drugą mogła być jego małżonka Agnieszka, pochodząca ze znakomitego rodu Celejów.

Przez długie lata spichlerz budził ogólny podziw i był dumą miasta. Jako brama witał podróżnych wjeżdżających od przewozu janowieckiego i żegnał udających się na drugi brzeg Wisły. Jest elementem kazimierskiego nieba, na którym święci przechadzają się po attykach kamienic, a Matka Boska błogosławi spod sklepienia kościoła.

Po rozebraniu spichlerza, pamięć o miejscu, w którym się znajdował przepadła. Na podstawie rysunku Hoffmana sądzono, że mógł znajdować się gdzieś na Puławskiej. Dopiero zdjęcie Brandta wyjaśniło, że spichlerz postawiono na Krakowskiej, na samym końcu, za ruiną spichlerza Stojaka, naprzeciwko głębokiego oczka wodnego zwanego siedmiometrówką. Budowa wału zmieniła dawną konfigurację terenu. Droga przebiegała wtedy bliżej wzgórza, a tam gdzie wał wiślany, znajdowało się już koryto rzeki.

Okazuje się, że pozbawione szczytów ruiny spichlerza przetrwały wojnę. Rozebrane zostały ostatecznie w 1949 r. Na pamiątkę tego faktu i z powodu narodzin syna, pan Wojtalik dokonujący rozbiórki wystawił betonowy krzyż w formie ściętego drzewa. Umieszczono też tabliczkę z napisem: „Króluj Boże zawsze i wszędzie".

Przez ponad sześćdziesiąt lat nic się w tym miejscu nie działo, na początku posadzono sad, który zdziczał i przemieszał się z różnymi chaszczami, czyli tak charakterystycznymi dla Kazimierza „krzakami". Przed kilku laty pojawił się Inwestor, który rozpoczął przygotowania do zamierzenia budowlanego, o którym mówił artykuł prof. inż. arch. Konrada Kucza-Kuczyńskiego. Chcąc zlokalizować spichlerz i zobaczyć co z niego pozostało, Inwestor czyli ZANA HOUSE Sp.z o.o Lublin, zleciła znanemu, lubelskiemu archeologowi Edwardowi Mitrusowi badania archeologiczne. E. Mitrus dotychczas badał w Kazimierzu m.in. Farę, Zamek i Basztę. Przeprowadzone w ubiegłym roku badania archeologiczne ujawniły dobrze zachowane fundamenty spichlerza. Odkrycia te pokazują załączone fotografie. Po dyskusjach w krakowskim i lubelskim środowisku konserwatorskim podjęto decyzję o wyeksponowaniu znaleziska w nowym obiekcie. Niestety zrezygnowano z koncepcji rekonstrukcji spichlerza. Powodem był brak pełnych materiałów potrzebnych dla wiernego odtworzenia dekoracji spichlerza oraz konieczność zniszczenia zachowanych murów, które z wielu powodów nie wytrzymałyby nowych zadań. Chcąc zapewnić odpowiednią jakość rozwiązań Inwestor zlecił projekt renomowanej pracowni, z którą już wcześniej współpracował. Biurowiec spółki ZANA HOUSE projektowany przez biuro Bolesława Stelmacha otrzymał jedno z sześciu honorowych wyróżnień w konkursie SARP za najlepszy obiekt użyteczności publicznej wzniesiony w Polsce w 2008 r.

Projekt Ośrodka Usług Turystycznych przy Krakowskiej w Kazimierzu zyskał akceptację władz miejskich i wojewódzkiego konserwatora zabytków.

Odsłonięte mury spichlerza w krajobrazie ulicy Krakowskiej. Widok z drona. Fot. Wojciech Kornet i Piotr Pakuła.

1949-2014

Beata Kiss-Orska

JAKBY ZGASŁO ŚWIATŁO

Pojechałam na Albrechtówkę, żeby porozmawiać o Danusi ze Zbyszkiem. Wszystko było w domu prawie jak dawniej, tylko pusto. Na wieszaku jej ulubiona kurtka, czapka od przyjaciółki Zojki, tej co to miarę miała w oczach i szyjąc nie potrzebowała centymetra krawieckiego.

Usiedliśmy przy stole w kuchni. Przywiozłam krupnik na miodzie, wierząc, że alkohol coś nam ułatwi, że mniej będzie bolało, ale Zbyszek przepraszająco powiedział: „Od śmierci Danusi nie mogę pić, po prostu mi nie wchodzi". Zostałam więc z krupnikiem sama, chociaż obydwoje zgodziliśmy się, że Danusia nic przeciwko temu by nie miała. Bo też w tym była jej taka delikatna słabość, a także łagodność w stosunku do tych, którzy jak mówił Jan Himmilsbach „wprowadzają element baśniowy w szarą rzeczywistość".

Chłopcy z miasteczka to bohaterowie obrazów Danusi, obdarowani przez nią znajomymi twarzami, sylwetkami, rozłożeni nad Wisłą, obsiadujący rynek, popijający na plaży. Dla nas miejscowych bez najmniejszego trudu rozpoznawalni. Spytałam Zbyszka, dlaczego ten świat tak bardzo ją pociągał. Powiedział, że dla niej był on prawdziwy, taki w którym obowiązują czytelne zasady i gdzie większość spraw reguluje niepisany kodeks honorowy, świat, w którym jeżeli będziesz łachudrą, to nikt się z tobą nie napije. Świat oswojony.

Powoli zaczęły przychodzić koty. Zbyszek mówi, że chcą sprawdzić, czy to może Danusia już wróciła, bo przecież zawsze była, a teraz słyszą jakiś damski głos, więc może jednak jest.

Nie wiem na czym polega Boży plan, ale nie ma we mnie zgody na śmierć w połowie życia, na zabranie kogoś, kto nie domalował obrazu do końca, nie dokarmił kotów, nie dokończył rozmów i nie dopowiedział najważniejszych rzeczy, tym którzy są bardzo bliscy. Nie ma we mnie zgody na takie odejście.

A gdyby teraz weszła, pytam? „To dostawilibyśmy trzeci kieliszek. Cały czas wydaje mi się, że ona jest, że zaraz wyjdzie z pokoju, cały czas chcę jej coś powiedzieć, o coś zapytać, bo przecież opiekowałem się nią 30 lat, tylu rzeczy nie zdążyłem zrobić, o które mnie prosiła, a teraz nie ma dla kogo"… mówi Zbyszek. Taki ból fantomowy.

Jeszcze ośmielam się spytać o śmierć, o świadomość umierania i słyszę, że do końca wierzyli w to, że z tego wyjdzie, nawet jak na miesiąc przed śmiercią straciła władzę w rękach i Zbyszek musiał ją karmić. Dlaczego tak? Dlaczego ktoś, kto miał tak zręczne ręce na końcu nie ma już ich wcale? Jeszcze powiedziała ostatnie zdanie: „Opiekuj się kotami". Potem już tylko pod tlenem, który „obdzierał" gardło. Nie mogła mówić, tylko oczami dawała znaki. Świadoma. Chcę wierzyć, że to błogosławieństwo, nie kara… „Byłem do końca, a potem na monitorach pojawiła się ta pozioma linia".

Jaki był świat oglądany przez okrągłe okulary, których szkła miały niwelować krótkowzroczność? Czy wada wzroku była wadą? A może stąd brał się taki a nie inny sposób patrzenia na świat, widzenie nie do końca ostre, a jednak przenikliwe. Patrzenie stające się sztuką.

Wbrew pozorom Kazimierz niechętnie przyjmuje obcych, tych którzy zdecydowali się tutaj osiedlić, uczynić z niego swoje miejsce na ziemi. Z Danusią było inaczej. Urodzona w Warszawie, potem jakiś epizod londyński, Zakopane i stan wojenny ze swoimi nakazami przebywania w miejscu zameldowania, a ono było przecież tutaj, w starym domu po dziadku, w lesie, w krzakach, na Albrechtówce.

Kazimierz niełaskawy dla obcych Danusię przyjął i wchłonął. Ona była nasza. Chociaż zupełnie różna od nas miejscowych w podejściu do pracy, w wywiązywaniu się z terminów. Nasz kazimierski styl odkładania wszystkiego na później, pętająca nas gnuśność i lenistwo, do niej nie miały dostępu. Zawsze perfekcyjna we wszystkim czego się podjęła, solidnie wykonująca rzemiosło artystyczne, jak też takie zwykłe proste, codzienne prośby. Chociażby głupie wszycie suwaka do spodni, uszycie materaca dla psa, zwężenie sukienki. Tyle rzeczy zostało przez nią zrobionych, których, wiem to na pewno, nie byłoby komu: szyć mi poduszki na nowo kupioną kanapę do mieszkania w Rynku z żółtej, lekko błyszczącej szenili obszytej starą koronką, będącą, jak mówiła Danusia, jakąś resztką starej „kapki" Zbyszka. Ręczne łączenie delikatnych materiałów wymagało czasu i cierpliwości.

Potem była szafa. Też w Rynku. Lekko zniszczone drzwi ze starej, wmontowane w nową konstrukcję, pomalowała na niebiesko. Wiedziałam, że nikt nie zrobi tego lepiej i że nie muszę mieć na to pomysłu. Danusia przyszła z wyciętym szablonem i precyzyjnie go przykładając naniosła w czterech rogach wzór rokokowych zawijasów, arabesek eleganckich a prostych, czyniąc z niej piękny mebel. Zaraz potem przychodzi mi na myśl kawiarnia „U Radka". Początek lat 90 zeszłego stulecia, lokal, gdzie na zapleczu często bywało więcej osób niż na głównej sali. Czas smażonych tam sandaczy łowionych przez Pawła, czas gdzie nie było jeszcze nocnego sklepu Pieklika, nie mówiąc o stacji benzynowej z pełnymi dziś półkami alkoholu. Wtedy, gdy zaczynało go brakować, ratowała nas meta, której właściciel często był naszym gościem. Danusia i Zbyszek też z nami biesiadowali. Danka uwielbiała klimat siedzenia na skrzynkach, picia alkoholu z tymi, którzy z różnych względów woleli zaplecze kawiarniane, niż siedzenie przy stolikach, bywających tam Tadzia Kośmińskiego, Wiesia Araucza-Mecherę, Janka Sadystę, Rysia Dodoniego. Pamiętam jej opowieść, jak kiedyś po wieczorze cudownie alkoholowym, wracała ze Zbyszkiem na Albrechtówkę melexem. W pewnym momencie ocknęli się pod rozgwieżdżonym niebem gdzieś pośrodku pola w stanie przenikającego na wskroś zadowolenia i spokoju, na szczęście w okolicy swojego domu. Wtedy Kant ze swoim Królewcem, był bardzo blisko Kazimierza.

Jej plastyczny talent szczególnie ujawniał się w malarskim podejściu do wszelkiego rodzaju tkanin. Weźmy zwykłe firanki. Ale w wykonaniu Danusi nie były one zwykłe. To były małe dzieła sztuki, z których kiedyś powstała praca dyplomowa w pobliskim Liceum Sztuk Plastycznych w Nałęczowie. Firanki zrobiła Danusia dla kawiarni, którą bardzo lubiła. Były inne dla każdej pory roku. Zimowe, to sznur czarnych kruków na sino niebieskim niebie, gdzie każdy z nich miał zaznaczone przy nasadzie dzioba krótkie zmierzwione kłaczki piór. Wiosenne, to farbowane w jasnych soczystych kolorach zieleni młodego jęczmienia. Letnie były nasycone czerwienią i zgaszonymi żółciami kłosów. W aplikacjach przeźroczystych jedwabiów, będących główkami maków. I jesienne – majstersztyk. Delikatne płótno pofarbowane nierówno, tak by jeden kolor naturalnie i gładko przechodził w drugi, wynurzał się z niego, złocąc brunatne kontury. Kształty powycinanych liści klonu tworzyły brzegi firanki. Benedyktyńską pracą było ręczne obrzucenie krawędzi żmudną techniką haftu richelieu. Wzbudzały zachwyt.

Talent Danusi, umiejętność zobrazowania architektury na tkaninie objawił się też na spódnicy Joli Skrzeczkowskiej. Wybierała się ona po raz pierwszy do Izraela w odwiedziny do ciotki. Danusia poproszona o uszycie „czegoś takiego kazimierskiego", na dole mocno marszczonej spódnicy „zaaplikowała" Kazimierz, naszywając z kolorowych materiałów sylwetki kamienic, ich poszarpane attyki, szczyty domów przy Rynku, łącznie z tym, w którym Jola mieszkała wtedy z rodziną.

Po przyjeździe na miejsce rozkładając szeroko spódnicę objaśniała swój kawałek świata, w środku którego stała studnia, a kamienice „gęsiego" szły jedna za drugą w kierunku kościoła farnego.

Kiedyś w Rynku mieliśmy maleńki pokój, w którym z trudem mieściliśmy się z dwoma psami: Brytfanką i Pstrączkiem. Psami, które Danka lubiła chociaż nie były kotami. Trzeba było zamówić dla nich budę. Danusia chcąc nam pomóc poprosiła swego szwagra „Kardynała" o projekt i wykonanie jej, wiedząc, że nikt lepiej tego nie zrobi. Buda została zrobiona profesjonalnie i okazale do tego stopnia, że było w niej miejsce praktycznie dla dwóch dorosłych osób: dwudrzwiowa, niemalże gontem kryta. Chcąc nam zaprezentować jej obszerność i funkcjonalność weszła do niej ze Zbyszkiem, po czym oboje wyjrzeli przez okrągłe otwory wejściowe. Nie każdy może zrobić coś takiego nie narażając się na śmieszność.

Myślę, że Brytfankę lubiła za wdzięk i gracje, a Pstrączka za to, że był takim psim odpowiednikiem lubianych przez Dankę „chłopców z miasteczka" . Bo trochę hippis, trochę krętacz nie trzymający się domu, za to z wdziękiem przemytnika. Musiała go lubić skoro pojawił się na jej obrazie jako pies-pegaz frunący nad miasteczkiem. Fruwający „Pstrączek" został też znakiem firmowym kawiarni „Rozmaitości" w rynku. Powstała ona w miejscu lodziarni, gdzie na ścianach do wysokości 1,5 m ułożono glazurę, bo takie były ówczesne wymogi Sanepid-u. Pomysł więc był prosty: nie skuwać glazury, lecz zasłonić ją materiałem. Nie było to łatwe, bo pomieszczenie małe, pełne uskoków, wnęk, ściany były krzywe i nie trzymały pionów. Trzeba było do cienkich listewek mocować tkaninę, precyzyjnie odmierzać i prostować fałdy, aby potem zamaskować tym glazurę. Wszystko na tych krzywych ścianach musiało być równo. Do późnej nocy robiła to Danusia z Bogdanem Dąbrowskim. Jego precyzja chirurga, a jej cierpliwość i dokładność dały efekty.

Była Danusia dla mnie niekwestionowanym autorytetem w kwestiach estetyki, dzięki niej uczyłam się widzieć piękne rzeczy w tych, którym pozornie było do tego daleko. Pamiętam jakiś okres przedświąteczny, kiedy to znalazłam się na Albrechtówce, i zadziwiona jakimś suchym badylem włożonym do szklanego gąsiora i ustawionym centralnie na stole, zapytałam Zbyszka co to takiego. Odpowiedział zupełnie spokojnie, że to jest choinka, którą Danusia wyjeżdżając na święta do Warszawy przygotowała dla niego i dla kotów. Drobnomieszczanin we mnie osłupiał, by po chwili dostrzec urodę takiej dekoracji. Czyli można i tak. Tak jest pięknie. Uczyłam się ... Danusia to grzanki z serem posypane ziołami ze starego opiekacza, egzemplarz „Moskwy Pietuszki" Jerofiejewa, odbitej na powielaczu jakimś domowym sposobem, w czasach gdy nie można było jej kupić w księgarniach, to również płyta Stana Getza, którą przywiozłam do niej pewnego wieczoru wiosną, bo nie rozstawałam się z nią i małym magnetofonem. I Zbyszek, który wtedy przechodząc z jakimiś śrubami, od niechcenia powiedział: „O! Stan Getz". Bardzo mi wtedy zaimponował.

Danusiu… wiem, teraz też nie jesteś sama, wierzę w to, że po dobrych ludzi wychodzą po tej drugiej stronie inni dobrzy ludzie. A Ciebie z honorami przyjął tam w orszaku kotów sam Bohumil Hrabal.

Ze ściśniętym gardłem pytam Zbyszka o życie. Jak teraz? …A Zbyszek mówi powoli i cicho: „A teraz jakby zgasło światło. Bo ja jestem elektryk".

Tekst ilustrują firanki wykonane przez Danusię
do kawiarni Beaty i Pawła Skrzeczkowskich. Fot. Adam Michalak

Wanda Konopińska-Michalak

DANUSIA I FILOZOFIA

Każdemu daj śmierć jego własną, Panie, Daj umieranie, co wynika z życia, gdzie miał swoją miłość, cel i biedowanie
Rainer Maria Rilke – Księga godzin

Żałobnicy – chcąc nie chcąc – stają się filozofami: śmierć automatycznie narzuca pytanie o sens istnienia. Tego rodzaju refleksja, niezależnie od przekonań myślącego, jest cenna, choćby trwała bardzo krótko. A filozofia to stawianie pytań.

Czy umieranie jest tylko 'pustoszeniem', któremu towarzyszy trwoga przed niebyciem?

Czy śmierć jest wyzwoleniem 'z więzienia ciała'?

Czy można 'przeżyć własną śmierć'?

Antoni Kępiński, profesor psychiatrii i pisarz, powiedział: „Umiera człowiek, ale zostaje po nim słowo, specyficzny dla niego gest, klimat uczuciowy, który wokół siebie roztaczał, a więc jego jakby symbole, które zostały swego czasu rzucone w świat otaczający i w tym świecie się zatrzymały, podczas gdy ciało przestało istnieć". Danuta Wierzbicka (1949-2014), artystka, zostawiła po sobie więcej. Dotyczy to zarówno przedmiotów, jak i bytów niematerialnych. W wielu domach i instytucjach wiszą jej obrazy i „makatki". Mogłaby tworzyć i sprzedawać znacznie więcej. Niektórym trudno było to zrozumieć, ale nie chciała. Sztuka i handlowanie mogą się zbiegać, ale nie są tożsame.

Obrazy Danusi to takie „poema naiwne" – malowane na szkle opowiastki o tym, co ją otaczało. Świat widziany przez skrzywdzone dziecko, wirujące na karuzeli, nie utracił jednak szczegółów i kolorów. Wręcz przeciwnie: mimo wirówki, ludzie wraz z obiektami, choć nieduzi, są wyraziści, czasem symultanicznie zwielokrotnieni, detale – bardzo ważne i nośne – nie zamazują się nawet wtedy, kiedy malarka patrzy przez kieliszek i butelkę. Otoczenie ma być ładne i bezpieczne, bohaterowie – przyjaźni mimo gęstnienia tłumu na obrazie, skupiającego się jednak wokół światła, choćby bijącego tylko z nocnych barów. Miłe wrażenie stwarza nawet cmentarz kazimierski – rozległy, widziany z lotu ptaka.

Oprócz Danusi-Artystki, jest Danuta-Obywatelka. Ktoś rzekł pewnego razu tak: „Mówię swoim dzieciom: nieważne, czy nad nami orzeł biały czy czarny, z jedną czy z dwiema głowami; byle nam dobrze było". Ja, niestety, tylko struchlałam, Danka rzuciła się z pazurami; w przenośni oczywiście. Odeszła zaraz do swoich zajęć, bo było to w czasach, kiedy razem pracowałyśmy w Muzeum Nadwiślańskim w Kazimierzu Dolnym, w jego literackim oddziale. Systematycznie używała do pracy w Domu Kuncewiczów własnego sprzętu komputerowego i fotograficznego, a wielką kurtynę, z malowanym widokiem Kazimierza, do przedstawienia pt. „Zdradliwy kwiecień" wg dramatu Anny Bocian-Czyż, który razem z przyjaciółmi wystawialiśmy na muzealnej scenie, wykonała za darmo. Głupi to może był jeszcze Kazimierz Wierzyński, który w „Nocnej ojczyźnie" napisał tak: „[...] Dla sensu nad klęską / Wszystkiemu na przekór / Budować co można, / Co zbudowane / To nasze. „ [...] Danka mawiała: „Jeśli nie my, to kto?".

Kierowany przeze mnie Dom Kuncewiczów miał być nie tylko Muzeum „memorialnym", poświęconym pisarce; powinien także przedstawiać dzieje inteligencji polskiej XIX i XX wieku, tej szczególnej grupy Polaków, która żyła uwzględniając i tworząc „dobro wspólne". Danusi „imperatywy", nieskazitelna polszczyzna (wprawdzie łamana, zgodnie z duchem czasu, przekleństwem buntownika) oraz dziesiątki akcesoriów, wydobywanych z domowych zakamarków, nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości, jaki ma rodowód, i że jest we właściwym miejscu. Wśród jej archiwalnych cudów znajdował się numer „Skamandra" wprawdzie wydrukowany, ale w większości nie oddany czytelnikom z powodu wybuchu II wojny światowej. Rozmaite przedwojenne czasopisma kulturalne inspirowały Danusię w czasie projektowania szaty graficznej naszego czasopisma literackiego, które wydawałyśmy pod nazwą „Klematis". Ozdabiała je „badylkami" – przetworzonymi graficznie roślinami z ogrodu Kuncewiczowej. Danka była także zręczną korektorką, a więc nieocenioną współautorką paru edycji kwartalnika w czasach niemal totalnej i trwałej pustki w muzealnej kasie.

Wyrazista, dobitna mowa Danki Wierzbickiej piętnowała niegodziwości: szczególnie szalbierstwo, nieszczerość i sprzedajność. Sprawców charakteryzowała w krótkich słowach, które na zawsze zapadły w pamięć. Równie syntetycznie określała swoich ulubieńców, na przykład „Wojtusia, co ma oczy jak tareczki". Najczulej wyrażała się o swoich licznych kotach.

Czy mogła przeżyć swoje życie inaczej? Przydałby się socjolog, który nie tylko stawia pytania, ale musi udzielać odpowiedzi. Jednak jego poszukiwanie niepotrzebnie naruszyłoby sferę prywatności Danki i wielu innych osób, borykających się z systemem. Zatem pozostaje zadać jeszcze jedno pytanie z zakresu filozofii. Czy znacie pojęcie „wizji uszczęśliwiającej"? Przypuszczam, że tylko obraz Danusi mógłby przekonać nieprzekonanych, że – visio beatifica jest prawdziwa.

Reprodukowana ikona, pochodząca z XII wieku po Chrystusie, znajduje się w klasztorze św. Katarzyny na Górze Synaj. Przedstawia drogę zmarłych po Drabinie Jakubowej w celu doświadczenia „wizji".

Anna Matusiak, Danuta Wierzbicka. *Fot. Tadeusz Pałka*

Ewa Wolna

LETNIE POŁUDNIE

wtorek – może piątek
torby pełne zakupów i kwiatów
stolik u Radka
wypielęgnowana dłoń
unosi szklankę z zimnym piwem
podzwaniają bransoletki
mały pierścionek dyskretnie odbija światło
perły kontrastują z czernią bluzki
i burzą niesfornych kosmyków
opadających na uśmiechnięte oczy
szminka w kolorze fuksji
zostawia lekki ślad na wilgotnym szkle
ten sam stolik
taka sama szklanka
którą obejmują szczupłe palce ubrudzone niebieską farbą
zza okrągłych okularów
spoglądają lekko przymrużone oczy
w których czają się iskierki uśmiechu
obszerny sweter otula całą postać
szerokie nogawki spodni
miękko układają się na przykurzonych sandałach

Ania i Danusia
tak różne i tak podobne w zachwycie i życzliwości
dla świata i ludzi
od teraz już zawsze razem gdzieś tam
szklaneczkami zimnego piwa
wznoszą toast za nas
siedzących przy opustoszałych stolikach.

lipiec 2014 – 15. stycznia 2015

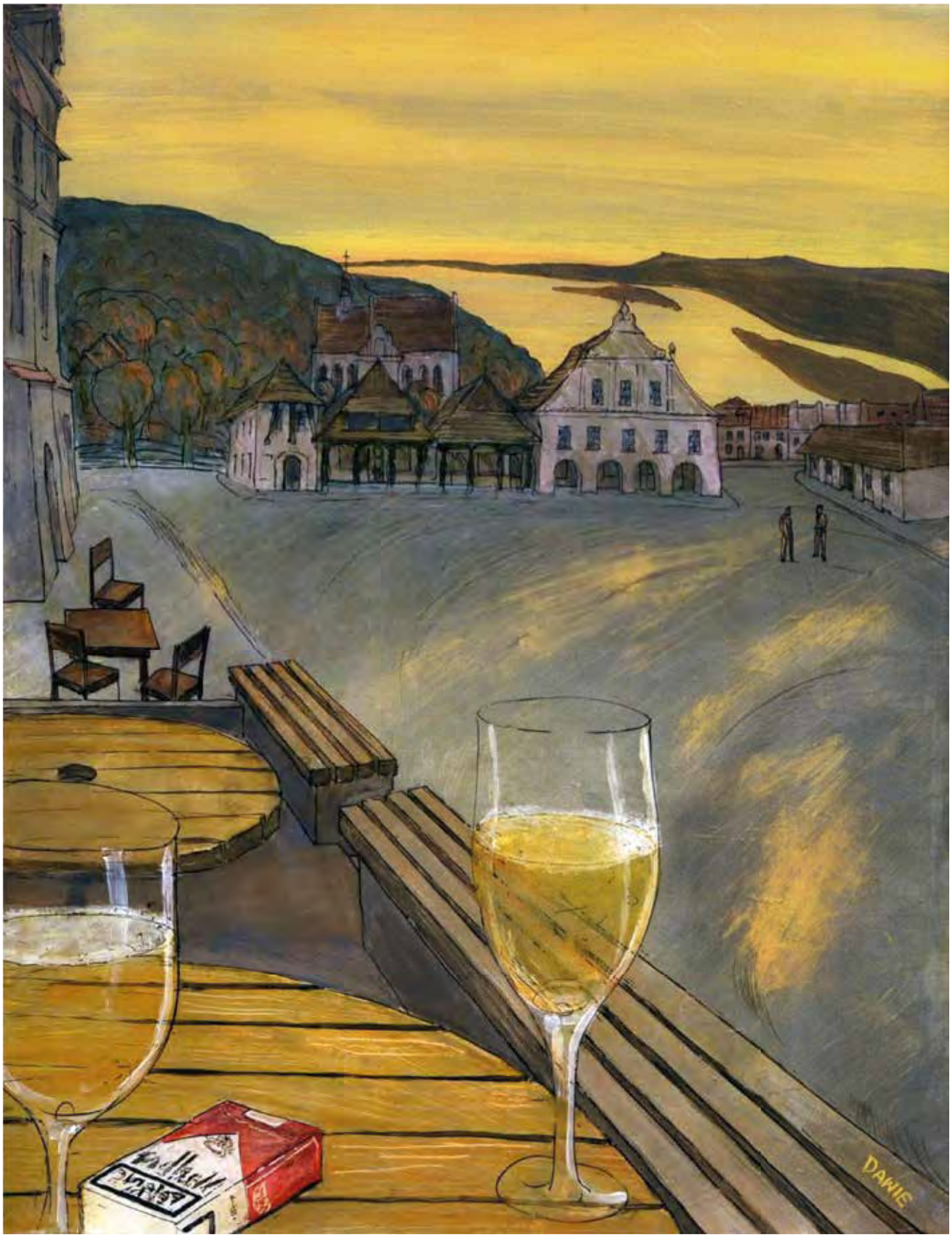

Piwo z Anną, pleksi, akryl

Tadeusz Pałka

DANUSIA

Uczuciowa naiwność, dziecięca ciekawość i wybitny talent plastyczny sprawiły, że Danuta Wierzbicka była jedną z najwybitniejszych osobowości artystycznych jakie na stałe gościły w Kazimierzu Dolnym, na przełomie XX i XXI wieku. Danusia była osobą niezwykle skromną i życzliwą. Umiała nie tylko pięknie malować na szkle i tkaninie, potrafiła uszyć spodnie, i ugotować (chociaż kuchnia nie była jej pasją). W latach 70. studiowała we Wrocławiu, najważniejsze nauki pobierała w pracowni ceramiki i szkła profesor Krystyny Cybińskiej. Na początku lat osiemdziesiątych powróciła do Kazimierza i mieszkała tu do roku 2015. Zmarła w Warszawie tego samego roku i zgodnie z życzeniem została tam pochowana, w pobliżu swojej matki. Zbyszek, jej życiowy partner został sam, z kotami, zgodnie z jej ostatnią wolą dba o nie. Jej nieobecność sprawiła, że koty przestały się bawić, Szarutka, Łapka i Mruczuś nie zwracają uwagi na wijący się sznurek, ani na kulki z papieru. Wisława Szymborska napisała wiersz „Tego nie robi się kotu" o przejmującym smutku mruczka po śmierci jego pana.

Danusi malarstwo było związane z Kazimierzem Dolnym, jego rynkiem i Wisłą, Albrychtówką i Janowcem.

Spędzili ze Zbyszkiem w domu na Albrychtówce wiele lat i wiele zim łatwych i trudnych. On otoczony śrubądkami wracał życie spalinowym mechanizmom. Ona malowała widoki rynku, i miasteczko dzienne i nocne. Rynek i chłopcy z miasteczka byli dla niej ważnym nieustannym spektaklem. Jeden z najpiękniejszych „Rynków" wisi w Muzeum w miasteczku. Na tym obrazie jest osoba, która w stanie wojennym znalazła u niej w lesie na Abrychtówce schronienie, nie był to tylko „Dziad". Uratowała przed aresztowaniem przez milicję i SB kilka osób.

Danusia namalowała wiele obrazów na szkle i tkaninach. W ostatnich latach były to widoki z okna, kieliszki, butelki, zamek w Janowcu, i zachody słońca, dym z ogniska przed domkiem Mariana z Wisłą w oddali. Malowała widoki, wspomnienia, jakby na drogę.

Jeżeli kogoś lubiła, a takim kimś był bez wątpienia Paweł Skrzeczkowski to namalowała błękitnego pieska, który jest cennym logo małej kawiarenki w rynku, a kiedyś niewielkiego sklepu. Piesek wisi na łańcuszkach w podcieniach rynkowych i jest znakiem kawiarenki „Rozmaitości". Dla Pawła do jego kawiarni malowała zasłonki sezonu, na wiosnę, i jesień.

Kazimierz Dolny, Zbyszek to znaleziska jej życia. Na ścianie domu, z którego musiała wyjechać, została fotografia z czasów studenckich. Danusia siedzi na łóżku w okularach w masywnej czarnej oprawie i patrząc uważnie w obiektyw aparatu prezentuje czarny damski but-szpilkę. Ten bucik to strata i znalezisko, kojarzy się z Marcelem Duchampem i jego koncepcją obiektu odnalezionego. Kojarzy się także z bajką o kopciuszku Charlesa Perrault.

Pegaz kazimierski. *Fot. Tadeusz Pałka*

Danusia z czasów studiów

Danusia i Zbyszek. *Fot. Tadeusz Pałka*

Kazimierze, płótno, akryl

Ognisko u Mariana, pleksi, akryl

Depresja Bar, pleksi, akryl

Wiśnie u babci, pleksi, akryl

Autorka z Danusią. Połowa lat 70. XX w.

Ewa Zarzycka

KAZIMIERSKI KOSMOS DANUTY WIERZBICKIEJ

Danuta Wierzbicka studiowała we Wrocławiu, w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, obecnie Akademii. Kiedy Danka zaczynała studia na początku lat siedemdziesiątych, najpierw w pracowni Prof. M. Hoffmana, w której była przez pierwszy rok studiów potem w pracowni Prof. Z. Karpińskiego, gdzie studiowała od drugiego roku do końca studiów, nic nie wskazywało na to, że kiedyś w przyszłości zajmie się malarstwem. Przede wszystkim jednak studiowała ceramikę u Profesor K. Cybińskiej. I w tamtych czasach zdawało się, że ceramika właśnie jest i będzie jej przyszłym powołaniem. Ponadto Danka poprzez wybory sercowe i towarzyskie przynależała do grupy studentów o orientacji konceptualnej i nawet w ceramice próbowała wcielać w życie idee konceptualizmu.

Przykładem, idealnym wręcz przykładem, niech będzie tu słynna w tamtych czasach, a dziś pamiętana już tylko przez najbliższych przyjaciół z tamtego czasu praca – wykonane z białej nieszkliwionej porcelany kaczki do rzucania do wody.

Mam jeszcze jedną z tych kaczek – płaski biały kamień nad którego parametrami Danka Wierzbicka pracowała długo i sumiennie po to, żeby wytworzone przez nią zmultiplikowane obiekty mogły najpierw lecieć po precyzyjnie określonej trajektorii a potem przepadać w wodzie.

Poznałam Dankę Wierzbicką jako studentkę trzeciego roku Wydziału Projektowania Form Ceramiki i Szkła, kiedy zaczynałam pierwszy rok studiów. Poznałyśmy się przez wspólnych przyjaciół;

wszyscy oni wraz z Danką stanowili już wówczas zgraną grupę i przyjęli mnie do swego grona. Trzon tej grupy, oprócz Danki, stanowili Jerzy Kiernicki, Zofia Tkaczyk, Stanisława Dowchań, Marek Wąs, Dobrosław Bagiński, Krystyna Kutyna, Zenobia Góra i Jan Pożarski. Wymieniam ich tutaj, ponieważ wszyscy oni przeszli do następnych etapów życia Danki.

Po obronie dyplomu Danuta Wierzbicka wraz z partnerem życiowym z tamtego czasu JK podróżuje po Europie. pomaga jej w tym znajomość języka angielskiego, który świetnie poznała pracując przez dwa lata w Anglii przed rozpoczęciem studiów. Następnie zamieszkuje wspólnie z JK w Zakopanem. Czas który wspominam to lata 1976-1978. Danka mieszkając w Zakopanem zajmuje się (wspólnie z JK) głównie wykonywaniem prac zleconych. Wtedy też, najprawdopodobniej pierwszy raz blisko, zetknęła się z malarstwem na szkle tak popularnym na góralszczyźnie. Za pierwsze podstawy malarstwa na szkle uważam projekty witraży autorstwa Danki dla wytwórni nart w Szaflarach.

Jednak Danuta Wierzbicka bardzo tęskni za lubelszczyzną, za letnim domem swojej Babci Werewskiej znajdującym się na Albrychtówce w Kazimierzu Dolnym. Miejsce to Danka zna świetnie od wczesnego dzieciństwa, w tym właśnie miejscu spędzała każde wakacje. Począwszy od 1978 Danka coraz częściej mówi o pragnieniu powrotu w to miejsce i zamieszkaniu na stałe w Kazimierzu. Przyjeżdża tu by wraz z grupą przyjaciół przywitać Nowy Rok 1979.Wtedy właśnie Danka Wierzbicka postanawia na stałe zamieszkać na Albrychtówce. Wspominam to, ponieważ byłam świadkiem tej sytuacji, byłam w tej grupie przyjaciół, (razem z Tomkiem Dobrzyńskim, Wandzią Dobrzyńską) i doskonale pamiętam tamten czas, to ważne wydarzenie. Tym bardziej, że wtedy zaczyna się najciekawsza, najbardziej istotna historia dla twórczości Danki Wierzbickiej. Ponieważ tak naprawdę, kiedy Danka przeprowadziła się na stałe do Kazimierza Jej rozwój artystyczny uległ gwałtownemu przyśpieszeniu i w bardzo krótkim czasie osiągnęła tak wiele. Osiągnęła to do czego inni artyści dążą latami i do czego niektórzy nie dochodzą nigdy. Stworzyła swój własny niepowtarzalny autentyczny i jedyny kosmos swej sztuki. Stworzyła swój alfabet, na podstawie alfabetu język i konsekwentnie wypowiadała się w tym języku w swojej sztuce. Znalazła swój własny styl. Swój jedyny i niepowtarzalny wyraz, swoją własną, osiągniętą metodą prób i błędów, technikę – malarstwo na szkle. W technice tej osiągnęła Danuta Wierzbicka mistrzostwo. Poza tym, co być może najważniejsze, zyskała odbiorców i wielbicieli swego malarstwa.

Jeszcze raz podkreślę jak szybko działała w tamtym czasie Danka Wierzbicka, jak wielką wykonała pracę. Zaledwie w 1979 roku na stałe zamieszkała w Kazimierzu a już na początku lat osiemdziesiątych namalowała swoje pierwsze kultowe obrazy na szkle jak np. Miasteczko I, Miasteczko II i Jezioro Bodeńskie.

Kiedyś przyjaciele Danki Wierzbickiej, znawcy sztuki, zastanawiali się nad tym jaki jest fenomen jej malarstwa na szkle Wypowiedzi były różne. Lecz wszyscy zgodnie stwierdzili, że główną cechą malarstwa Danuty Wierzbickiej jest nastrój, magia, tajemnica, które objawiają się tym, że każdy miłośnik Jej sztuki, każdy człowiek

U Kubisia na Cholewiance, lata 80. XX w. Stoją: Wojtek Górecki, Marek Wąs, poniżej Wanda Dobrzyńska, Jerzy Kiernicki, Stanisława Dowchań, Danusia Wierzbicka i Tomek Dobrzyński, siedzą Sławomir Kolo i Anna Szczęśniak, leży Ewa Zarzycka

patrzący z sympatią na jej malarstwo identyfikuje się z tym Jej kosmosem z jego magią, tajemnicą nastrojem. Kto nie zasiedział się nigdy na kazimierskim rynku? Kto nie utożsamia się lub chociażby nie solidaryzuje się z człowiekiem siedzącym samotnie w nocy czy o świcie w różnych miejscach Kazimierza? Kto nie uważa, że ta przestrzeń jest również jego własną przestrzenią?

Oto jeszcze jedna cecha malarstwa Danki Wierzbickiej – komunikatywność i prawda! Nie szkodzi, że ta prawda jest fikcyjna. Fikcyjna prawda jest bardziej prawdziwa od autentycznej prawdy, to esencja prawdy.

Danuta Wierzbicka nie raz wypowiadała się na temat przestrzeni Kazimierza. Na szczególną uwagę zasługuje wypowiedź Danki z 2001 roku wygłoszona w Muzeum Nadwiślańskim w trakcie spotkania „Z wszystkiego do niczego" (D.Wierzbicka, E.Zarzycka, A.Partum, Z.Warpechowski). Oto słowa Danki Wierzbickiej „Przestrzeń emocjonalna Kazimierza ma niezwykłą pojemność, która powoduje, że każdy kto się w niej znajdzie, ma wrażenie, że znajduje się w centrum wydarzeń".

A teraz wróćmy jeszcze do początków, do czasów kiedy kształtowały się podstawy sztuki Danuty Wierzbickiej. I warto być może znów zadać elementarne pytania: z jakich „części składowych", z jakich „elementów" Danuta Wierzbicka zbudowała swój świat sztuki? Jakie musiała ponieść koszty emocjonalne i materialne, jakie fakty złożyły się na jej doświadczenie? I kolejne pytanie jakie cechy musiała mieć ta artystka żeby Jej świat sztuki stał się całością?

Danuta Wierzbicka powiedziała kiedyś, że „zadawanie pytań na które nie ma odpowiedzi powinno być karalne". Dlatego istnieją odpowiedzi na powyższe pytania.

Odpowiedź na pytanie pierwsze: Danuta Wierzbicka zbudowała swój świat sztuki ze składników pozornie nie pasujących do siebie, jakby były one z substancji stałych i ulotnych, z przeróżnych poziomów rzeczywistości i fikcji. Po pierwsze podjęłą decyzję by zamieszkać na stałe w Kazimierzu Dolnym i konsekwentnie wytrwała w swym postanowieniu, mimo wielu przeciwności.

Po drugie stworzyła wraz z grupą przyjaciół środowisko artystyczne wokół siebie. Danka i jej dom były centrum tego środowiska. Do wspomnianych na początku tego tekstu przyjaciół ze studiów dołączyli następni m.in.Wojtek Górecki, Anna Górecka,Anna Szczęśniak, Grzegorz Dutkiewicz,Antoni Dutkiewicz, Katarzyna Podobińska, Romek Jakubowski i inni.

Danka wraz z przyjaciółmi organizowała i realizowała od 1979 roku i później przez cały stan wojenny coroczne spotkania pod wspólną nazwą Warsztaty Ceramiczne Była komisarzem (dzisiaj się mówi kuratorem) tych spotkań. Odbywały się one na posesji i w domu Danki, gdzie zresztą mieszkali wszyscy ich uczestnicy. Kolejne spotkania w stanie wojennym to nadanie Janowi Pietrzakowi tytułu doktora honoris causa Biura Poezji Andrzeja Partuma. Inne spotkania w tamtym czasie to zjazdy artystów postawangardy z kręgów kultowej już dzisiaj galerii Labirynt i jej charyzmatycznego szefa Andrzeja Mroczka. Wydarzenie o zupełnie innym charakterze, ale z udziałem tych samych ludzi i lubelskich lekarzy z kręgów opozycji, to wesele Marty i Zbyszka Warpechowskich. Na to przyjęcie weselne Danka Wierzbicka wspólnie z Tomkiem Dobrzyńskim /Kardynałem/, Wandzią Dobrzyńską którzy zawsze Jej towarzyszyli w większości przedsięwzięć i innymi gośćmi z tego czasu, wykonała serwis lepiony ręcznie z gliny i wypalony w piecu

Na cyplu: Danusia Wierzbicka, Ania Bocian, B. Bułtowicz Ewa Zarzycka i Zbyszek Matusiak. Fot Bożena Bułtowicz.

polowym. Jednocześnie był to jakiś rodzaj pożegnania Danki z ceramiką.

Po trzecie postanowiła na nowo poznać przestrzeń, którą znała od dziecka – tym razem rozpoznawała ją jako młoda wykształcona kobieta, artystka. Weszła w nią bez żadnej asekuracji. Pewnego dnia podjęła decyzję by jak to sama określała „zejść do Miasteczka", wtopiła się w przestrzeń miasteczka, przyrody i przestrzeń międzyludzką. Ten etap w życiu Danki zaowocował przyjaźniami, które w większości przetrwały do końca jej życia. Ludzie ci, głównie Kazimierzacy, ale i przyjezdni docenili miłość Danki do przestrzeni Kazimierza i jej mieszkańców. Jej miłość do miejsca i ludzi była miłością odwzajemnioną. Została ich ikoną, ikoną sztuki kazimierskiej, ich prawdziwą i autentyczną artystką, ich kochaną i podziwianą Danusią. Przyjaciele Danusi z Kazimierza to wiele całych rodzin kazimierskich, to wielu zwykłych ludzi i oryginalnych postaci. Nie wymienię tu nikogo. Każdy w końcu wie i pamięta o takiej ważnej rzeczy jak przyjaźń czy istotna znajomość. Wiadomo tylko jedno, że Danusia kochała ludzi żyjących w tej przestrzeni a nade wszystko bohaterów jej obrazów na szkle – „chłopców z Kazimierza". Zresztą jeden z tych chłopców Zbyszek Matusiak stał się od czasów pamiętnej awarii elektryczności na Albrychtówce jej partnerem na całe życie. Danusia i Zbyszek razem mieszkali w jej domu na Albrychtówce ponad trzydzieści lat, razem pływali od czasu do czasu łódką, a przede wszystkim razem przebywali ze swymi ukochanymi kotami.

Na koniec postaram się odpowiedzieć na karkołomne pytanie „Kim była Danka"? Niestety nie ma na nie jednoznacznej odpowiedzi. Natomiast mogę wymienić te cechy Jej osobowości, które moim zdaniem „z całą pewnością, co do pewności faktycznej" jak mawiała Danka, najbardziej były Nią naturalnie w kontekście Jej sztuki. Były to intelekt, nieograniczona wyobraźnia, niezwykłe wyczucie przestrzeni i zaskakujące poczucie absurdu.

Kazimierz Dolny 10 sierpnia 2015

Wanda i Janusz Michalakowie z Danusią, lata 80 XX w. Fot. Ewa Zarzycka

Danka Wierzbicka podczas kręcenia Filmu „PRZEJAWY" Ewy Zarzyckiej, Wielkanoc rok 1980, Albrychtówka

Włodzimierz Karczmarzyk

ZAPAMIĘTANE OBRAZY

Zapamiętane obrazy z mojego pierwszego pobytu w Kazimierzu Dolnym (wtedy z uzupełnieniem, że i – nad Wisłą) kojarzą mi się jednak niezbyt wyraźnie. Było to bowiem bardzo dawno temu i wiele scen zaistniałych później w owym miejscu, może być ich imputacją przydatną teraz do opisu tego debiutu. Jak również, refleksja uczyniona *ex post*, iż obserwacjom młodych oczu często anektujących efekty oniryzmu nie można ufać bezgranicznie. Na pewno jednak odbyło się to w okresie okupacji, w jej już końcowym stadium, kiedy spędzałem z rodzicami czas krótki w Karmanowicach, wiosce opodal Kazimierza będąc w gościnie u rodziców naszych warszawskich sąsiadów. Niezwykle wyraziście zapamiętałem tylko, że gdy z „ułańską" dumą dosiadałem po raz pierwszy (i jak się okazało ostatni) podstawionego mi konia do obiecanej przejażdżki, zostałem szybko z niego ściągnięty, wskutek odgłosów gwałtownej strzelaniny w pobliżu domostwa naszego pobytu. Kanonada ta, jak się wkrótce okazało była rezultatem potyczki oddziału partyzantów z niemieckimi żandarmami, powodując rychłą zmianę naszych wypoczynkowych planów w przewidywaniu następstwa odwetu na mieszkańcach wioski w ramach karnej reperkusji, jak to było w bandyckim obyczaju okupanta. Skrócenie naszego pobytu stało się koniecznością, więc szybko odwieziono nas bryczką przerażonych gospodarzy do „bezpieczniejszego" Kazimierza, chociaż wcale takim w istocie przecież nie mógł być. Do dalszego ciągu tej przygody dowiązuję nasz powrót wiślanym statkiem do Warszawy, mam jednak wątpliwość, czy podróż taka nie odbyła się w późniejszym już, powojennym okresie. Zapamiętałem jednak dość dokładnie moje skupione fascynacje obserwowania lustra wody z pokładu rzecznego wehikułu wypływającego z małej przystani, gdzie wysoko majaczyła nad nią góra z zamkiem jak z bajki. Również bezustanną pracę napędowego koła układającą warkocze fali w czasie dość długiej podróży, co mnie szalenie intrygowało. Zapamiętałem również znak szczególny tego szlaku, kiedy pojawiły się w obserwacji mijanych brzegów ciągnące się czerwone mury twierdzy (dęblińskiej) i wstęgi ich zwierciadlanego odbicia.

Ówczesny wygląd samego Kazimierza ze zróżnicowanymi wątkami zabudowy z jaśniutkiego kamienia i drewnianymi, chwiejącymi się chatkami był dla mnie jakby wyjęty ze starych litografii. A źródłem ciekawości mogły być jedynie budowle z ozdobnymi szczytami, zaś chylące się chaty w sczerniałym kolorze starości rozsiewające do tego nie specjalnie zbyt miłe odorki, to jakby zdecydowanie mniej. Pamiętam jeszcze dość koślawe mostki nad potokiem, który w późniejszych latach otrzymał rzetelne ocembrowanie i prezentował się już jako Grodarz. Na próchniejące mostki miał uczulenie mój tata, gdyż sprawiłem

Kazimierz Dolny.
Dzień targowy na Rynku,
akwarela, 40x50 cm. 1994 rok

kiedyś powód do zapamiętania incydentu wykonanego na podobnej chybotliwości, kiedy lekko zbaczając z wyznaczonej przez niego drogi, nie doceniłem skazy na deskach pomostu, skąpałem się solidnie wraz ze szkolnym tornistrem, z którego pociekły atramentowe zapisy edukacji klasy drugiej powszechnej. I jeszcze jakieś wiszące w powietrzu stałe i wszechobecne poczucie grozy, gdzie wzrok niespokojny nauczył się rozglądania wokół, szukając za wszelką cenę przestrzeni wolnej od obecności żołdaków w obcych mundurach, a wyostrzony ciągłym lękiem instynkt nie posiadał ani chwili spokoju. A tu jak na zmowę jakąś na kazimierskim rynku mnogość obcych mundurów, być może szykujące się do akcji na *Porytowym Wzgórzu* do wielodniowej bitwy, bo takiej ilości nie wymagał zapewne ten też przygotowywany odwet za partyzancką śmiałość, kilka godzin wcześniej w zagajnikach Karmanowic.

Fenomen pamięci ludzkiej trzyma zasoby niewytłumaczalnych pojemności informacji różnych proweniencji. Wiedzy zagarniętej z różnych źródeł, obrazów uzyskanych z przeżytych zdarzeń. Te związane z późniejszymi już pobytami w Kazimierzu jawią się we mnie dość wyraziście, jakby zawsze oświetlało je tutejsze słońce wydobywając z czeluści pamięci same przyjazne projekcje w stałym i przyjaznym blasku. We wszystkich wspomnieniach występuje identyczna oczywistość, że mam do czynienia z niezmąconą oceną miejsca szczególnego. Moje radości przybywania do tych uliczek, rynków, domów, zawsze posiadały chęć dalszego nasycania się tym, co już i dawniej zapewniało mi te przyjemności. Odczuwania istnienia enklawy specyficznej i niekwestionowanej w ocenach istnienia skrawka ziemi, może jeszcze nie do końca doskonałej, ale już i tak niedościgłej, w ocenach przystawionych do wszystkich niewielkich miasteczek naszego kraju. W ich plejadzie, w polskiej konkurencji, dość sporo jest takich z jednoznacznie wykształconym charakterem jak Biecz, Bardo, Łagów, Tykocin oraz zapewne jeszcze innych, mogących mieć pewność, że wypracowały sobie swoistą magię. Obraz taki wynika nie tylko z samego wyglądu domów o rozbielonych ścianach i czerwonych dachach, ale urzekająca jest umiejętność skorzystania z walorów miejscowego ukształtowania uzupełnionego powstałą z niego zielenią. Tutejszy, na lubelskim lessowym podłożu esencjonalny układ zabudowy rozłożył się przed wiekami na zróżnicowanej pochyłości wpasowanej w zalesione zbocza a rozległą rzeką. Jej brzeg, ten od miasta, kapryśnie i ciągle sprzecza się ze stanem wody zmieniającej swoją linię wśród traw i wiklin aby od ujścia Grodarza przejść szerokim spokojnym, łukiem w kierunku Puław. W strofach wierszowych Józefa Czechowicza znajduje się taka analogia: *Wisła z ogromnymi ramionami podłożonymi pod głowę*. To o jej sennym transie. Drugi brzeg z przedpolami piasku zamykają gęstwiny zarośli przetykane polami w kolorowych pręgach. Kiedyś, w latach pięćdziesiątych docieraliśmy do tego plażowego piasku aby dopływając wpław móc rozkoszować się rozległą plażą i nasycać się urodziwością panoramy. Stare fotografie dokumentują nawet sceny rodzajowe odbywające się bliżej kazimierskiego brzegu na istniejących wtedy jeszcze płachetkach wysepek. Długa linia wału przeciwpowodziowego z nałożonym nań pasem spacerowym trzyma wody rzeki obecnie dość bezpiecznie od zabudowań. Przed jego powstaniem Wisła potrafiła nieraz pohasać i mocno nadokuczać mieszkańcom tej strefy. Jeśli ufać drzeworytowi Władysława Skoczylasa i rysunkowi Zygmunta Kamińskiego z początku XX wieku rzeka podchodziła wtedy pod same progi zbożowych magazynów umożliwiając bezpośredni styk transportu i magazynowania. Delektując się kazimierską sylwetą zabudowy, łatwo się zorientować, że trzy wyrastające nad dachami kościoły wyznaczają urbanistyczną organizację przestrzeni zamkniętą w trójkąt. Najokazalsza Fara wyrosła na półce stromizny wspinającej się ku zamkowi, klasztorny zespół Franciszkanów Reformatów znalazł swoje miejsce na *Plebaniej Górze,* do Sanktuarium jedynie

Kazimierz Dolny.
Widok z Rynku na Farę,
akwarela, 30x 45 cm. 2001 rok

dotrzeć można krytymi pątniczymi schodami, a trzeci kościół przyszpitalny świętej Anny, przycupnął tuż za Małym Rynkiem. Z resztkami zamku, wyżej położoną basztą i sąsiadującą *Górą Krzyżową* stanowią wyraźne dominanty w zespole harmonijnej zabudowy.

Z wysokości pięter budynków stanowiących pierzeje Rynku widok na jego zaludnioną podłogę w weekendowy czas to przeniesienie nastroju *bruegelowskiego Postu i karnawału* czy *Dziecięcych zabaw* na tutejszą skomponowaną przestrzeń, gdzie odbywają się tłumne zdarzenia, w których niekoniecznie uczestniczymy, ale muszą one cieszyć oczy, choćby z powodu podglądania tu rzeszy ludzi zadowolonych. Te wszystkie zawłaszczone obrazki i sceny zabieramy do swojego domu w momencie każdego pożegnania. Powracając po roku w niezmiennej nadziei, że je i teraz zastaniemy w nienaruszonej formie. Można też mieć pewność wytropienia jakiś nowych skonfigurowanych zestawień zieleni, architektury, nowych murków, przydomowych ogródków. Jak i akceptacji odrestaurowanych fasad, możliwości nie za bardzo wścibskiego zaglądania w głąb zakamarków domostw, świadkowania zmianom brzegowych linii powodowanych kaprysami rzeki, odnajdywania w sąsiedzkim oddaleniu czynnych pszczelich pasiek, koni w zaprzęgach, ukrytych w zaroślach rybackich łodzi, czegoś tam jeszcze. To wszystko zestawione czy rozproszone, odsłonięte lub ukryte nie zawsze sygnalizuje swoją niewątpliwą malowniczość. Aby je odnajdywać, nie trzeba na szczęście zbyt długich wędrówek.

Studiowanie architektury na Politechnice Warszawskiej od początku lat 50. spowodowało moje częste obecności w Kazimierzu. Choć na pierwszy plener mój rocznik gromadnie wyjechał bardzo daleko, do Kłodzka, gdzie nastąpiły pierwsze prawdziwe wyścigi nabywania biegłości rysunkowej w otwartej przestrzeni, pod okiem naszych asystentów. A ich grono to same indywidualności i każdy z nich stanowił dla nas źródło zachwytu nad ich rysunkowymi umiejętnościami. Jakiż to był tęgi zespół. Eugeniusz Szparkowski, Henryk Dąbrowski, Jan Szymański, Karol Żarski, Adam Krawczyk. Przewodził tej grupie Edmund John, postać na prawach największego autorytetu, przyjaciel i druh samego szefa, profesora Zygmunta Kamińskiego, pomysłodawcy zaistnienia placówki artystycznej w strukturze uczelni politechnicznej, autentyczna tej katedry opoka.

Każdego lata koniecznością absolutną była obecność w Kazimierzu. Obok rytuału wykonania kilku przynajmniej rysunków do własnej teki prac wakacyjnych i przy tej okazji skorzystanie z szansy konfrontacji z też tu obecną konkurencją, aby być choć trochę pewniejszym własnej pozycji na zaliczaniu przed wielkim mistrzem tego ceremoniału, samym profesorem Zygmuntem Kamińskim. Powodem również ważnym było zerkanie na tych co szykowali się dopiero do egzaminów wstępnych i stanowili armadę naszych następców. *Nota bene* odbywali te przygotowania w bezpiecznej odległości od uczelni pod „utajnioną" opieką profesora Edmunda Johna i oddzielnie, jakby w innej dyskrecji, asystenta Jana Szymańskiego – obaj opromienieni pracą w Katedrze Rysunku Odręcznego. Nie licząc kilku innych działających bardziej intymnie, funkcjonujących w tych samych usługach jednak bardziej kameralnych, raczej dla gron rodzinnych profesury wydziałowej i politechnicznej czy też latorośli członków ówczesnego establishmentu. Taka formuła działania quasi-konspiracyjnego była spowodowana zakazem udzielania się w tak zwanych „szkółkach rysunku", szalenie aktywnych przed każdym egzaminem konkursowym. Wprowadzonym prawie od zaistnienia Wydziału i tak tematycznie skonstruowanym aby stał się *uchem igielnym* wobec notorycznego tłoku kandydatów. Przepychanki tłumu chętnych nakręcały stany niezwykłej emocji i były przyczyną nadmiernego stresu. Zjawisko zakazu prywatnego nauczania, oczywiście pełne hipokryzji było wyjątkowo obecne w tamtej epoce, w której to zasady te niekoniecznie obowiązywały wszystkich.

Kazimierz Dolny.
Wejście do Kościoła
Klasztoru Reformatów,
akwarela, 42x56 cm. 2003 rok

Działania nauczycieli związanych etatowo z dydaktyką w tym procederze nie mogły być zatem legalne, więc nabór słuchaczy na krótkie kursy miał charakter konfidencjonalny, choć nieuchronnie nabierał automatycznie również cech *tajemnicy poliszynela.* Frekwencje młodzieży, która gustowała w wyborze architektonicznych studiów zawsze układały się w stanach wysokich. W stałym nadmiarze, wobec limitowanej możliwości ich wyedukowania w szczupłych warunkach Wydziału przy Koszykowej, co w konkluzji oznaczało, że bez przygotowania rysunkowego, sforsowanie barykad egzaminacyjnych nie było możliwe. Od tego okresu, który opisuję minęło sześćdziesiąt pięć lat, a moda na kierunek architektoniczny nadal trwa. Starania o uzyskanie indeksu już teraz wymagają wielomiesięcznych mozolnych ćwiczeń i procesem opanowania sztuki rysowania zajęły się licznie powstałe kursy, nie ukrywając pobierania opłat za te nauczanie. Oczywiście są one prywatne i wykorzystują od lat stałą koniunkturę na takie zajęcia, a w tym jeden już w oficjalnym trwaniu jako *Szkoła Rysunku Architektonicznego* pod auspicjami *Fundacji* Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej.

Grono osób zajmujących się edukacją artystyczną na tym Wydziale większość czasu wakacyjnego uwielbiała spędzać łącząc wypoczynek z twórczą pasją uprawiania malarstwa i rysunku lub działalności projektowej. Oferta Kazimierza z wybudowanym *Domem Pracy Twórczej Stowarzyszenia Architektów* (SARP) w 1955 roku, ekskluzywnym miejscem pobytu, była nie do przebicia. Dla studenckiej kieszeni, *Dom* raczej był jednak niedostępny, stanowiąc tylko ośrodek spotkań, prezentacji prac i ich opiniowania. Na przyjazne rozważania zawsze można było liczyć ze strony pomieszkujących tam naszych profesorów innych specjalizacji, przede wszystkim świetnych rysowników, nie potrafiących być biernymi w tak fascynującym miejscu w czasie wakacji. Wymienię tylko profesora Leona Marka Suzina prawdziwego pasjonata kazimierskiej tematyki. Oczywiście najwierniejszym i niekwestionowanym bywalcem, prawdziwą legendą tamtych lat, był profesor Edmund John. To wielkiej lotności umysł uprawiający prawdziwe harce językiem polskim, tworząc utwory literackie: sylabowtóry, dwuznaczniki czy palindromy zwane rakami, co wyjaśnia sens tych ostatnich. Ułożone zdania czytane również wspak mają to same brzmienie. Oto przykłady takich zdań: *A narodowi piwo od rana. Salwa nad domem oddana w las.* Fama niosła, iż prześcigał w tej twórczości dokonania Juliana Tuwima. W każdym razie udało mu się ich ułożyć ponad dwa i pół tysiąca, co stawiało go na czele światowych osiągnięć (sic). Z dwuznaczników, a zapisał ich około tysiąca dwustu, tu podaję jeden przykład: *Myśliwi karego konia kusili – Myśli wikarego koniak usili.* Edmund John miał wśród młodzieży Wydziału swoistą estymę. Lubili go za jego gotowość pomocy w sytuacjach awaryjnych, stał się osobą niezastąpioną w przypadkach apelacji do ostatniej instancji. Był utalentowanym grafikiem, należącym do ścisłej krajowej czołówki, zdobywał liczne nagrody i wyróżnienia. Był jednym z pierwszych w Polsce uprawiających malarstwo plenerowe, i tym który zdecydowanie najgłębiej uległ urokowi Kazimierza. Spędzał w nim długie miesiące od pierwszych dni lata do najpóźniejszych dni jesiennych. Po emeryturze trwał w nim jeszcze dłużej, wierny zabytkom i pejzażowi. Stanowił właściwie ich elementarną część, związaną dodatkowo nie tylko z tutejszą kolonią artystyczną, ale i z całą rzeszą słynnych osób, które w swoim zwyczaju wyrobiły sobie obowiązek corocznych odwiedzin tego miejsca. Był postacią nie hałaśliwą, po wielokroć intelektualną, klasycznie osobliwą, choć nie można powiedzieć, że pozbawioną ciągot do złośliwości. Dla kazimierskiej atmosfery nietuzinkową i ozdobną, bez niej nie potrafiącej żyć.

Szef Katedry Rysunku Odręcznego profesor Zygmunt Kamiński (to ta ostatnia instancja w hierarchii wydziałowej plastyki) ze wszech

Kazimierz Dolny.
Bryła Klasztoru
Franciszkanów Reformatów,
akwarela, 52x68 cm.2005 rok

miar postać pryncypialna, zawdzięcza swoją sławę przede wszystkim pobytowi w roku 1909 w Kazimierzu nad Wisłą (i później w 1913). Miasteczku jeszcze anonimowym, kiedy wziął udział w letnim plenerze nabywając doświadczenie malarskie w prywatnej szkole Władysława Ślewińskiego przebywającemu krótko w Polsce, a opromienionego przyjaźnią z samym Paulem Gauginem, gigantem europejskiego malarstwa. Zrodzona wtedy admiracja tego miejsca wypełnionego mariażem natury i architektury artystycznie zapisana przez młodego Kamińskiego i wystawiona w poplenerowych prezentacjach w warszawskiej *Zachęcie,* miała istotny wpływ na pozytywne publiczne oceny i propozycje pracy pedagoga właśnie w powstającej uczelni kształcącej architektów. Cechy predyspozycji architektonicznego widzenia oraz zamiłowania do perfekcjonizmu doprowadziły go do wieloletniego kierowania katedrą apodyktycznym charakterem oddziałującym na kilka pokoleń architektów kształconych na warszawskiej architekturze. Jego deklaracja *...marzyłem o tym aby w rysunku zawędrować możliwie wysoko, aby osiągnąć doskonałość,* i świadomość, że tego dokonał, przeistoczona w konsekwencję poświęcenia się prawie całkowicie nauczaniu młodzieży akademickiej, była misją, która niewątpliwie wydała owoce. A Kazimierzowi Dolnemu nad Wisłą, który zawsze był dla niego miejscem bliskim, poświęcał w swoich częstych oracjach wiele najwyższych referencji. Jego sylwetka w trakcie wykonywania rysunku Kamienicy Celejowskiej, obserwująca przez wojskową lornetkę zawiłości detalu attyki przed każdym postawieniem kreski, z rozrzewnieniem tkwi w moich oczach do dziś. Jako twórca wizerunku Białego Orła wybranego w wyniku konkursu na Godło Rzeczpospolitej, który jest naszym narodowym znakiem również obecnie, w ocenie zasług graficznych zaznaczył się imponująco. Zapewne i jego fakt ten musiał trzymać od tamtej chwili bezustannie i niezachwianie dumnie i wysoko.

Trzeci z tego grona, mój (obok Karola Żarskiego) już bezpośredni nauczyciel Henryk Dąbrowski już jako wyróżniający się rysownik pośród studenckiej rzeszy został dostrzeżony przez profesora Kamińskiego i szybko otrzymał asystencką propozycję stając się wyraźnie pomocnikiem faworyzowanym dzięki studialnej jakości swoich prac. Obowiązkowy, zaangażowany, eksplodujący talentem wypracowuje uprzywilejowaną pozycję w zespole, wyraźnie pretenduje do sukcesji po emerytowanym profesorze. Stało się to jednak po dość długim okresie dojrzewania tej woli. Profesorem został w 1992 roku, będąc osobą o wszechstronnych talentach i zainteresowaniach. Miał odziedziczoną po Kamińskim wolę codziennej obecności na Wydziale i doglądania rysunkowego gospodarstwa ponad wszelkie limity. Jeśli był nieobecny jakiegoś dnia, to tylko z powodu swojej drugiej miłości jakim stał się dla niego Kazimierz Dolny i deklarowana dla niego bez ograniczeń powinność artystyczna i projektowa. Ciągnęła się ona latami obejmując różne rodzaje prac. Dla realizacji architektonicznych projektów (z żoną Reginą) spichlerza *Pod Wianuszkami* przekształconego na funkcję schroniska, rewaloryzacji części zabytkowej pierzei ulicy Senatorskiej, zespołu nowych kamieniczek, dał się uwikłać w kilkuletnie, szczególne emocje ale i udręki pomnażane przedłużanym procesem realizacji. Powstał fragment nowego zespołu na zapleczu Senatorskiej i Klasztornej został idealnie wpasowany w stary wątek historycznej zabudowy również dzięki całej serii rysunkowych analiz, czego we współczesnych działaniach realizacyjnych raczej się już nie spotyka. Narzuconych zresztą sobie dodatkowo w poczuciu swoistego rozumienia misji architekta. Uzyskany na nowo architektoniczny klimat miejsca i jego plastyka, za moment identyfikowane były przez młode roczniki rysujących studentów przybyłych na doroczny plener, jako zabytkowy autentyk. Fałszywie, ale dla twórcy tej atmosfery chwalebnie. Bowiem gatunek powstałej architektury sprzyjał takim złudzeniom, gdzie pod

Kazimierz Dolny.
Drewniany dom na Małym Rynku,
akwarela, 36x50 cm. 2000 rok

dachami pojawiły się w chwilę za mieszkańcami jaskółcze gniazda, zaistniała sąsiedzka przychylność dla zaprojektowanego siedliska i musiała się pojawić aura dla młodych artystów do rozstawienia warsztatu rysownika, malarza, grafika. Henryka Dąbrowskiego – artysty, firmową namiętnością stały się wielkie formaty panoramicznych widoków miast historycznych i rezydencji pałacowych. Kazimierz Dolny w tych opracowaniach zajmuje pozycję szczególną. Prace te miały swoje prezentacje w Muzeum Nadwiślańskim w Kamienicy Celejowskiej kilkukrotnie, zawsze przy dużym aplauzie oglądających. Dąbrowski był wielkim i oddanym orędownikiem Kazimierza i w rewanżu – postacią dla tego miasta ważną na co dzień. Mam odczucie, że nie zadbano aby miał takie poczucie, że również i od święta.

Do osób mających z miejscem tym również związki szczególne, należy profesor architektury, Konrad Kucza-Kuczyński. Twórca stateczny, ale ruchliwy, tętniący energią działań. Od lat kilku posiadający wraz z żoną Małgosią, w *bardzo polskim* mieście na ulicy Krakowskiej swoje *magiczne*, drugie miejsce na ziemi. Zdaje się być przesiąknięty nieustającą euforią dla miejsc, które w wyniku rozlicznych i wieloletnich peregrynacji po świecie upodobał sobie szczególnie. Wyliczam je aby zaznaczyć klasę jego faworytów. Zapisał je kiedyś, więc wiem, że to: Asyż, Wenecja, Toledo, Cuernavaca, Auvers-sur-Oise. Trzy pierwsze znam dość dobrze, też jestem pod wrażeniem ich urody. Myślę jednak, że nie zdecydowałby się aby wymościć sobie tam miejsca na odpoczynek i pracę, bo nie miałby w nich takiego widoku na Wisłę poprzez te swoje okno domu, wypchnięte z dachowych gontów do obserwowania przestrzeni okolicy. Gdyż jego serce bije rytmem tutejszym, od widoków i szmerów wybranej za sąsiadkę rzeki, uzależnionym. Tu wyznaczył sobie przeżywanie ciągłej świadomości *panta rhei,* nie chcąc robić tego gdzie indziej. Ma zdolność dostrzegania czegoś, co jest dla innych całkowicie niewidoczne. Obok zadań czynnego architekta oraz wykładowcy tego przedmiotu na warszawskiej architekturze pasjonuje się rysowaniem wizerunków świata. Układa, z na żywo notowanych jego fragmentów, całe stosy notatników. W wyborach tematu rysunku jest poetą, dla zapisywania obrazów świata częściej stosuje prozę. Wynika to z charakteru wewnętrznej dyscypliny architekta i człowieka ukształtowanego samą solidnością. Białe i kolorowe arkusze zasiewa znakami czarnych kresek, których wielość sam nawymyślał i stawia je tylko sobie znanym sposobem. To spokojny duch, ale ciągle nienasycony w rozglądaniu się dokoła. Ze swoim zmysłem analityka umie składniki świata dzielić na kawałki, aby móc samemu patrzeć nań dogłębniej i dokładniej, ale przede wszystkim podpowiadając innym obowiązek podobnej obserwacji. Aż do dotknięcia i posmakowania szczegółu. Szczęście dla nas, że sporządza z nich raporty malowane swoimi kreskami, teraz już niekiedy nawet barwnymi. Tak jak jego literackie opinie pisywane często, zawsze ze znaczącą puentą,. które czyta się z odczuwalną przyjemnością, gdyż ustawione tam słowa są niczym obrazy. Objął architektoniczną opieką zespół Sanktuarium Franciszkanów Reformatów służąc zakonnikom nieograniczoną i skuteczną radą, ale wiem również, że czyni to w Kazimierzu, również także i w innych przybytkach.

Pobyty plenerowe studentów pierwszego roku naszego Wydziału, niestety również opłacane z własnych środków studenckich, mają od wielu lat swój stały kalendarz pobytu w Kazimierzu Dolnym, niekwestionowanej stolicy plenerów warszawskiej architektury. Odwiedziny tego miejsca były zawsze dla naszej akademickiej młodzieży niezwykle akceptowane nie tylko w okresie majowych plenerów rysunkowych, ale również organizowanych dla innych zadań w mniej stosownym terminie. Zapamiętałem wędrówkę z ekipą studencką odbywającą ćwiczenia mające lekkie jedynie powiązania z podwyższeniem jakości sztuki rysowania. Szliśmy trasą pełną wertepów wokół Kazimierza.

Kazimierz Dolny.
Stary budynek na Górach,
akwarela, 30x45 cm. 2005 rok

Marsz ten na przełomie jesieni i zimy, w trakcie nagłego załamaniu pogody nie był naukowym spacerkiem. Człapanie po wielowarstwowych pokładach rozmokłych liści, powleczonych pierwszym szronem, dostarczał niespodziewanych emocji. Poruszanie się po zboczach i przy szybko zapadającym listopadowym zmroku nie należało do przyjemnych. Do bazy w Domu Architekta dotarliśmy nie tylko mocno sponiewierani, ale i zziębnięci, bynajmniej jednak nie przegrani wobec odbycia osobliwej przygody. Choć była to wycieczka z porcjami ekspiacji, ale w dobrym sensie selekcjonująca wyszperane z tego obchodu nowe wrażenia. Przydatne rozważaniom o niezmienności atrakcji scenograficznej miasteczka nawet wobec kontrastowo innej kolorystyki, siły światła, a co za tym idzie mniejszej przejrzystości widokowej, typowej dla tej pory roku. Odmiany nieznanej, czegoś co do tej pory było nam obce. Przedzielonej kalendarzem od majowych terminów naszych plenerów. Gdzie blaski dni są bezsporne, a nieskrępowana atrakcja wiosennej żywiołowości przyrody wszechobecna. Stwarzająca optymalne efekty odbioru urody tego miejsca, bardzo wzmożoną i ochotną chęć zapisów, również ich ostentacyjną rejestrację do naszej pamięci.

Spostrzeżenie o łaskawości aury nad tym rejonem jest zresztą udowodnione, bowiem posiada certyfikat rezultatu naukowej analizy szukającej w latach dwudziestych ubiegłego wieku najkorzystniejszych warunków lokalizacji przyszłej szkoły pilotów (obecnej, słynnej *Szkoły Orląt*). Okazało się, że rejonem o najczęściej pogodnym niebie dla całego międzywojennego obszaru Rzeczpospolitej, jest ujście Wieprza do Wisły w pobliskim Dęblinie, oddalone od Kazimierza zaledwie o trzydzieści kilometrów.

Nieodzowną przyjemnością każdego pobytu w Kazimierzu są wizyty w licznych galeriach. Ulokowały się one w miejscach pryncypialnych jak i w wielu niespodziewanych zakamarkach, i są dla tego miasta wyjątkowo naturalne. Jakaż to odmiana wobec czasów dość odległych jak i dość wtedy siermiężnych. W roku 1965, kiedy po zakończeniu ogólnopolskiej, jak zwykle bardzo ceremonialnej uroczystości obchodów „Dni Budowlanych", której to byłem od kilku lat głównym projektantem scenografii, a w tamtym roku odbyły się one w nowo uruchomionej hali puławskich Azotów, zjechaliśmy na obiad do Kazimierza, do Domu Prasy (dzisiaj Dziennikarza). W orszaku świętujących najważniejszych postaci ministerstwa budownictwa i branżowych związków zawodowych zasiadło do stołu kilkadziesiąt osób. W trakcie spożywania deserów pojawił się z ofertą zakupu swoich bardzo ekspresyjnych prac, miejscowy artysta-malarz. W zaaranżowanej prezentacji powoływał się na świeżą obecność w kazimierskim środowisku i trudnościach jakie wiązały się z ich w sprzedażą w miasteczku. Grono biesiadników mocno już rozluźnione udaną imprezą, obfitym jadłem, spełnieniem paru toastów, „rozweselone" oglądaniem malarskiej tematyki (ze świadomością roli mecenasa kultury), choć zaskoczone śmiałością prezentacji, wyraziło przychylność zakupienia kilku z nich. Do ich wyboru byłem wypchnięty jako z tego grona jedyny znawca przedmiotu. Kłopot mój polegał na tym, że wobec zawartej w nich krzykliwości nie za bardzo wydawały mi się przydatne do wystroju wnętrz, których miały być ozdobą. Transakcja została jednak dokonana, nazwisko autora ujawnione. To Franciszek Kmita, za lat kilka przyjaciel wielu, chociaż różnie z tym bywało i tutejszy magnat, nie tylko artystyczny. Obok niego wspominam z wielką rzewnością Jerzego Gnatowskiego i Andrzeja Kołodziejka, niezwykłych, wspaniałych ludzi i takich malarzy. Przybyli tu z dwu edukacyjnych ośrodków, chyba precyzyjniej, że z ważnych centrów. Jeden z Torunia, drugi z Warszawy przez Kraków. Z odmiennymi życiorysami z oddalonych od siebie miejsc urodzenia i terytoriów swojej młodości. Obaj byli reprezentantami i mistrzami tego nurtu, który zawsze bardzo pasował do tego naszego, nauczanego na Wydziale warszawskiej, politechnicznej architekturze. Obaj w końcowym, bardzo twórczym okresie, wybrali Kazimierz Dolny jako swoje dobro stałego pobytu. Ich malarstwo pejzażowe i wedutowe to utrwalone farbą pochwały wobec tego co ich tu uwodziło przez lata i ostatecznie przekonało do wyboru tutejszego dachu nad głową. Pozostawili obrazy wzruszające urodą, ale i prawdą To deklaracje przywiązania do tego wybranego skrawka ziemi. Kolory dla swoich płócien najumiejętniej zdejmowali z wszystkiego co tu istnieje, z charakterystycznym ciepłem swojej namiętności. Dość wspólnie, choć w odrębnym indywidualnym postrzeganiu i podobnie, ale nie identycznie w malarskiej prezentacji. Jerzy lubił docierać i do odcieni traw i ich zapachu, jak i do nieba, gdzie nie przepuszczał okazji swoistego zaznaczenia transcendencji chmur i zjaw otoczenia. Andrzej z reminiscencją porzuconej abstrakcji notował napotkane zjawiska poprzez nerwowość *fraktali*, jak i ze spokojną lubością umiał kontemplować architektoniczne formy i układać z nich prawdziwie namiętne syntezy. Nie zaznaczali swojego kaprysu ani niechęci ogarniając wszystko ciepłem spojrzeń przyjaznych bez jakiejkolwiek nieprzychylności. Nauczali nas dostrzegania skromności i błogosławieństwa wizerunków świata pokornego, ale przez to pięknego. Ogarnia niesłabnące zdumienie, co udało się im przez te subtelne malarskie widzenie świata nam zostawić, gdy ich już zabrakło.

Bibliografia

Brulion Kazimierski, 2005/ nr 6, str. 4-11, Konrad Kucza-Kuczyński, Esej.

Gnatowski Jerzy, Malarstwo. Wydawnictwo Drukarnia L-PRINT.

John Jacek. Palindromy pana Johna. Wydawca Petit Skład – Oprawa 2006.

Kamiński Zygmunt, Dzieje życia w pogoni za sztuką.

Kołodziejek Andrzej, Obrazy. Wydawca Jacek Przybyś, Kazimierz Dolny 2006.

Włodzimierz Karczmarzyk

architekt, artysta-plastyk

Starszy Wykładowca Pracowni Rysunku, Malarstwa i Rzeźby Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej

Artur Ziontek

PALINDROMY PANA JOHNA
NOTATKI NA MARGINESIE LEKTURY

Palindrom, to według trafnej i zwięzłej definicji sformułowanej w *Słowniku terminów literackich* przez Aleksandrę Okopień-Sławińską, „wymyślnie skomponowany układ literowy (wyraz, zdanie lub wers), dający się czytać w dwojakiej kolejności liter: od lewej do prawej i od prawej do lewej – znaczenie jego nie ulega przy tym zmianie”[1]. Wywodząca się z greki nazwa *palíndromos* oznacza wprost: „biegnący z powrotem”. Dziś palindrom jest rodzajem umysłowej zabawy, igraszki literackiej, choć dawni anglikanie jego genezę wiązali z pierwszymi słowami człowieka, czyli tymi, które wypowiedział Adam witając w Raju Ewę: „Madam, I’m Adam” lub w wersji wzbogaconej: „Madam in Eden, I’m Adam”.

Jednak tradycja chrześcijańska, w związku z palindromami, dała nam nie tylko tę legendę. Oto bowiem jednym z najciekawszych, wciąż także nie do końca rozpoznanym i mimo wielu prób – słabo objaśnionym, jest tzw. „kwadrat palindromiczny” pochodzący jeszcze z czasów antycznych. Wyryty był na pozostałościach muru w Pompejach i rzymskim murze w Cirencester w Anglii. Ze względu na kilka jednowyrazowych palindromów wpisanych weń na dwóch osiach symetrii będących skrzyżowaniem słowa „TENET” (łac. trzyma, posiada; gr. zasada) – uznawano go za przedmiot magiczny i jeszcze w XIX wieku chętnie ryto go na rozmaitych amuletach i wisiorkach mających przynieść szczęście.

Wedle domniemań interpretatorów, w czasach pierwszych chrześcijan mógł pełnić funkcję rozpoznawczą (dodajmy, że pierwszy wyraz: *sator* to z łaciny „siewca”). Podkreślmy również, że tak jak w innym ważnym symbolu chrześcijan, czyli znaku ryby (jej greckiej nazwie), tak i tu wykorzystany został akrostych. Na początku lat 20. XX w. niemiecki duchowny o. Felix Grosser oraz szwedzki poeta, profesor slawistyki i badacz tajemnych znaków Sigurd Agrell, niezależnie od siebie odkryli, że 25 liter kwadratu tworzy krzyżujące się wyrażenie „PATER NOSTER” oraz symbole alfa i omega oddane odpowiednio literami A i O, które u pierwszych chrześcijan, tak jak i dziś symbolizowały „początek” i „koniec”, ale i wszechmocność Boga[2].

Palindromów używali i wykorzystywali je w swej twórczości literackiej jako pierwsi – poeci aleksandryjscy. „Ich narodzinom sprzyjał schyłkowy charakter ówczesnej poezji skupionej na formalistycznych sztuczkach”, które dla wielkiej literatury ateńskiej były ciałem obcym. Chętnie natomiast wchłaniały je ówczesne środowiska kosmopolityczne, w których – co ciekawe – rozpowszechniły się „alfabety o odwrotnym kierunku czytania”. Czytelnicy zaś, upatrując w nich sensu magicznego, niejako napędzali ich powstawanie. „Sztuczki” te przejęli także rzymianie, toteż łatwo je zlokalizować m.in. w poezji Kwintyliana[3]. W późniejszych epokach zjawisko słabło. Choć jeszcze w średniowieczu, a potem schyłkowym renesansie było zajęciem na poły doniosłym, którym parali się głównie duchowni, wciąż bowiem przypisywano mu tajemną moc i znaczenia. Dziś jednak, jak podkreśla to cytowana na wstępie definicja, można mówić jedynie o rodzaju literackiej zabawy.

S	A	T	O	R
A	R	E	P	O
T	E	N	E	T
O	P	E	R	A
R	O	T	A	S

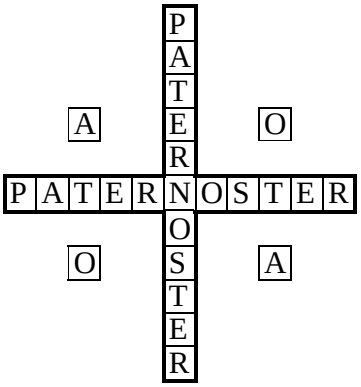

„Kwadrat palindromiczny” i jego interpretacja zaproponowana przez Grossela i Agrella

[1] *Słownik terminów literackich.* Red. Janusz Sławiński. Wyd. 3. Wrocław 2000, s. 368.

[2] Christopher R. Bilardi: *The Red Church Or the Art of Pennsylvania German Braucherei. The Traditional Blessed Healing Art for the Good of Man and Beast.* Sunland CA 2009, s. 280-283.

[3] Maria Grzędzielska: *Palindrom.* Hasło w: *Słownik rodzajów i gatunków literackich.* Red. Grzegorz Gazda i Słowinia Tynecka-Makowska. Kraków 2006, s. 505.

Wśród najbardziej znanych rodzimych twórców parających się układaniem palindromów należałoby wskazać Juliana Tuwima i Stanisława Barańczaka.

Tuwim w swym ciekawym dziele *Pegaz dęba* pośród rozmaitych utworów okolicznościowych (rozmaitej też proweniencji genologicznej) zamieścił także zespół palindromów (w tym sześć swojego autorstwa). Przypomniał tam najstarsze (znane) polskie wypowiedzenie tego typu: „co w onei? Ow pokoy y okop, woien owoc" – autorstwa ks. Wojciecha Waśniowskiego (XVII w., mającego na swym koncie rozmaite eksperymenta literackie[4]), oraz to najbardziej znane, czyli „kobyła ma mały bok" – utworzone przez anonimowego autora w wieku XIX[5].

Barańczak natomiast w tomie *Pegaz zdębiał* zamieścił palindrom liczący 2500 liter, czyli mieszczący się właściwie już w kategorii „megapalindromów[6].

Obok wspomnianych wyżej powszechnie kojarzonych poetów, którzy także dołożyli swoją cegiełkę do zbioru polskich palindromów, głównymi ich twórcami pozostają jednak ci, którzy z literaturą na co dzień nie mają lub nie mieli wiele wspólnego. W tej grupie znajdują się m.in.: Edmund John – grafik, malarz i plakacista związany z Kazimierzem Dolnym, Józef Godzic – emerytowany kinooperator i elektryk rzeszowski oraz przede wszystkim Tadeusz Morawski – profesor elektroniki z Politechniki Warszawskiej. Ostatni z wymienionych ma niewątpliwie największe i najbardziej skrajne osiągnięcia na tej niwie. Po pierwsze, w swoim dorobku ma on siedem książek autorskich, z których każda zawiera po 1000 palindromów, po drugie, ułożył kilka antologii polskich palindromów, po trzecie, jako pierwszy podjął się spisania ich historii[7] (choć warto też wspomnieć o pionierskiej pracy Krzysztofa Oleszczyka[8]) i założył w Serocku poświęcone im muzeum[9]. Po czwarte zaś, palindromy, jak na literacką igraszkę przystało, są zazwyczaj niezbyt długie. Morawski wszelako dowodzi, że jak w każdej regule, tak i tu mogą pojawić się wyjątki. Wszak najdłuższy (znany) palindrom na świecie to właśnie jego dzieło – utwór *Żartem w metraż*, liczący 33 000 znaków[10]. Do tego autora należy również inny rekord: osobliwe poetyckie kuriozum, pisany ośmiozgłoskowcem wiersz-palindrom liczący 444 wersy (nie licząc tytułu i śródtytułów).

*

Kazimierz Dolny nad Wisłą począwszy od wieku XIX, choć kiełkowało to wcześniej[11], jest niewątpliwie jednym z centrów artystycznych Polski[12]. W latach międzywojennych, kiedy odkrywany był dla studiów malarskich, pojawił się w nim Edmund John, który trwale wpisał się w krajobraz renesansowego miasteczka. I jego samego, i całe środowisko kapitalnie pokazywała w *Odkryciu Patusanu* Maria Kuncewiczowa:

Oto na przykład stary Wyczół, wówczas młodszy, przydyrdał kiedyś od strony Puław na miejsce królewskiego wypadku i zaraz usiadł i zaczął – wedle nałogu – rysować fasadki domów, gdzie dawniej mieszkali dworscy intryganci, albo kupcy zbogaceni na fochach Estery.

Za nim pociągnęli inni. Żeromski zachwycił się drzewami, Szalom Asz – synagogą. Ale literaci to kameralne dziwadła, niezdolne narzucić się *plein airowi*. Łypną okiem na kolor, na kształt, postrzygą uchem na plotki – biegną zamknąć się na dziesięć spustów, żeby im nikt nie przeszkadzał marnować atramentu.

Za to malarze – ho, ho! Taki siada ze swoim kramem na samym środku Rynku. Kozy mu robią na paletę, po dwie Estery wiszą na każdym ramieniu, kmiotek urąga, a malarz publicznie macha pędzlem i jeszcze strojami przydaje jaskrawości swojemu rzemiosłu. Władysław Skoczylas w jakichże zabójczych pasiastych kurteczkach tutaj paradował! Spod jakiego monstre-kapelusza błyskał szelmowskim uśmiechem!

Gauguin na pewno nie widział ciemniejszej Tahitianki niż Teresa Roszkowska – wamp kazimierskiej malarii. Aleksander Żyw chadzał tu w turbanie. Edzio John latami kąpał się i sypiał w baskijskim berecie, Tadeusz Pruszkowski – patron bractwa Łukaszów – chętnie przywdziewał sombrero. Egzotyzm, rezerwat dzikości – taki jest program malarzy dla miasteczka[13].

Kuncewiczowa oczywiście nie wyczerpywała listy kazimierskich bywalców i ich rytuałów. Włodzimierz Bartoszewicz, skupiając się na Stanisławie Łuckiewiczu, w swej *Budzie na Powiślu* notował także:

[...] w Kazimierzu [...] Łuckiewicz wybudował sobie dom z dużą pracownią na górce nad ul. Nadrzeczną. Co roku przyjeżdża tam i maluje. Ale o dwunastej w południe zawsze schodzi „w doliny" na rynek do kawiarni, by spotkać się i pogawędzić z drugim stałym bywalcem Kazimierza, również malarzem – Edmundem Johnem [...][14].

Edmund John był w tej galerii sław postacią wyrazistą:

Mieszkańcy Kazimierza i turyści odwiedzający to nadwiślańskie miasteczko artystów, dobrze znali przygarbioną sylwetkę starszego pana z laską, w nieodłącznym baskijskim berecie, palącego fajkę

---

[4] Paulina Buchwald-Pelcowa: *Historia literatury i historia książki. Studia nad książką i literaturą od średniowiecza po wiek XVIII*. Kraków 2005, s. 216.

[5] Julian Tuwim: *Pegaz dęba, czyli panopticum poetyckie.* Warszawa 1950, s. 96 i n.

[6] Stanisław Barańczak: *Pegaz zdębiał. Poezja nonsensu a życie codzienne. Wprowadzenie w prywatną teorię gatunków.* Warszawa 2008 (pierwodruk: Londyn 1995).

[7] Tadeusz Morawski: *Kobyła ma mały bok, czyli o polskich palindromach*. Red. Roman Nowoszewski. Warszawa 2008.

[8] Krzysztof Oleszczyk: *Palindrom.* Konstancin 2013.

[9] Więcej informacji o Tadeuszu Morawskim i jego „palindromowych" inicjatywach znajdziemy na stronie www.palindromy.pl

[10] Utwór publikowany w internecie na stronie: www.palindromy.pl/pal_naj.php.

[11] Zob. Artur Ziontek: *Praefatio – tropy artystyczne*. W: *Pieśń nowa o gwałtownym deszczu, nigdy nie słychanym w Koronie Polskiej. W Kazimierzu Dolnym 1644.* Wydał Artur Ziontek. Siedlce 2014, s. 7-30 i *passim*.

[12] Zob. Waldemar Odorowski: *Kolonia artystyczna w Kazimierzu Dolnym XIX-XXI wiek.* Kazimierz Dolny 2005.

13 Maria Kuncewiczowa: *Odkrycie Patusanu*. Warszawa 1983, s. 101-102.

[14] Włodzimierz Bartoszewicz: *Buda na Powiślu.* Wyd. 2. Warszawa 1983, s. 141.

i przechadzającego się po rynku, lub spędzającego czas przy „małej czarnej" w tamtejszej kawiarni „Rynkowa". Osobą tą był profesor Edmund John – warszawski malarz, ilustrator, grafik i autor palindromów, emerytowany wykładowca rysunku i malarstwa na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej.

Artysta należał do jednych z pierwszych, którzy odkryli Kazimierz dla studiów malarskich i pokochali to miasteczko o baśniowej wprost scenerii i folklorze, gdzie życie toczyło się we wspaniałej symbiozie kultury chrześcijańskiej i żydowskiej. Był jednym z ostatnich twórców pamiętających „szalone lata" międzywojennego Kazimierza – letniej stolicy artystycznej Polski. Osoba profesora już za życia stała się legendą"[15].

Edmund John urodził się w Warszawie 21 II 1894 r. w rodzinie inteligenckiej i artystycznej. Jego ojciec Aleksander był wziętym stołecznym adwokatem, członkiem Komitetu Opiekuńczego Szkoły Sztuk Pięknych i prezesem Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia"; natomiast matka – Agnacja Konstancja była malarką, uczennicą Karola Tichego i Ferdynanda Ruszczyca, pod ich opieką studiowała w Szkole Sztuk Pięknych. Edmund swą artystyczną edukację rozpoczął w 1913 r. na Politechnice Lwowskiej, gdzie rozpoczął studia architektoniczne, które niestety musiał przerwać ze względu na wybuch I wojny światowej. Wznowił je już na Politechnice Warszawskiej. W tym samym czasie kształcił się w Szkole Sztuk Pięknych, a po jej skończeniu naukę malarstwa pobierał także w Prywatnej Szkole Malarstwa i Rysunku Konrada Krzyżanowskiego. Pracę zawodową na Wydziale Architektury w Politechnice Warszawskiej łączył z malarstwem. Bywał na plenerach, brał udział w rozmaitych podróżach artystycznych, uczestniczył w wielu wystawach zbiorowych... Jeszcze przed II wojną światową zainteresował się użytkowym malarstwem wielkoformatowym; wykonał m.in. wielki plafon w Teatrze Narodowym w Warszawie przedstawiający *Pegazy ciągnące wóz Apollina* oraz malowidła na rogu ul. Świętojańskiej. Projektował ponadto znaczki pocztowe, ekslibrisy, ilustracje, okładki i winiety książek oraz czasopism, prospekty reklamowe, papiery wartościowe, godła państwowe, banknoty oraz medale. W orbicie jego działalności znajdują się także scenografie filmowe i teatralne, wystąpił w kilku filmach. Zdarzyło mu się także pozować do obrazów. „Dziełem" Johna, które było eksponowane największej publiczności były ogromne portrety komunistycznych dygnitarzy towarzyszące pochodom i defiladom. Oczywiście nie mówimy tu o „potrzebie serca", ale pracy zawodowej. Poza wszystkimi wymienionymi wyżej profesjami, profesor John miał też inną pasję, która z czasem zdominowała jego zasługi na innych polach – palindromy. Jak wspomina jego syn Jacek, zaczęło się jeszcze przed wojną, kiedy Edmund usłyszał ten najbardziej w Polsce znany zwrot: „kobyła ma mały bok", potem przyszło uświadomienie, że stojąca nieopodal plaży tablica zakazująca kąpieli także zawiera palindrom – „zakaz"[16].

W czasie jego twórczego i pracowitego życia powstało ponad 2500 palindromów, co stawiało go niewątpliwie w światowej czołówce autorów. Powyższe stwierdzenie pokazujące liczebność tych swoistych „utworów", ma w sobie jednak coś z ducha sportowej rywalizacji. Nie dotyczy to tylko Johna, ale generaliów związanych z palindromami. Pojawia się zatem pytanie o samą ich materię. Często bowiem przytacza się statystyki, a niemal w ogóle nie jest rozpatrywana jakość. Czy palindrom może zatem być materią godną rozważań literackich? Czy jest jakiś wyznacznik, który jeden utwór stawiałby wyżej od drugiego? Czy raczej chodzi o intelektualną i techniczną zwinność? Stefania Skwarczyńska, która definiowała tekst literacki, jako „każdy sensowny twór słowny"[17] a sama była autorką *Teorii listu*[18], zapewne widziałaby go w orbicie dociekań literaturo- i kulturoznawczych. Naczelną regułą organizacyjną jest tu wprawdzie specyficzny układ literowy, który w znacznym stopniu zawęża możliwość ekspresji artystycznej. Ale czy całkowicie go niweluje? Wszak można potraktować niektóre palindromy, jako uniwersalne sentencje, częstokroć zawierają one w sobie także wysublimowany element humorystyczny, czasem zaś przypominają celne, niekiedy cięte *bons mots*[19]. Wszystko to natomiast mieści się w kategorii literatury stosowanej, która jak każdy inny dział piśmiennictwa podlega ocenie i wartościowaniu pod kątem estetyki zespolonej z nadanym jej praktycznym celem. Jak trafnie to ujmuje Skwarczyńska: „Przedmiot [tu tekst literacki – A.Z.] budzi w nas zadowolenie estetyczne wtedy, gdy organizacja jego całości jest najdoskonalej przystosowana do jego celu. Czyli, gdy cel jest praktyczny, to budowa, możliwie najlepiej dostosowana do potrzeb tego celu, zadowala nas estetycznie; i to tym bardziej będziemy estetycznie zadowoleni, im lepiej konstrukcja całości odpowie swemu praktycznemu celowi"[20].

Nie jest to zatem czcza zabawa w rozumieniu dzisiejszym. Raczej mamy tu na myśli ideę *otium*, czyli – by wspomnieć Wespazjana Kochowskiego – „niepróżnującego próżnowania".

*

Przyjrzyjmy się sygnalizowanemu w tytule niniejszej wypowiedzi wydawnictwu. Książka zawierająca palindromy Edmunda Johna została wydana dzięki pracy i staraniom syna autora – Jacka Johna nakładem Towarzystwa Przyjaciół m. Kazimierza Dolnego. Pierwsze wydanie ukazało się w roku 2006, ostatnie – trzecie w 2012. Nie jest to wydanie całościowe. Cały tom został wydany finezyjnie, z niezwykłą pedanterią i artyzmem, i raczej nie ma na celu zgrupowania spuścizny autora. Jest prezentacją postaci i dokonań. Toteż tytułowych palindromów jest około 100, niemniej na nich samych rzecz się nie kończy.

[15] Jerzy Wyczesany: *Wspomnienie o Edmundzie Johnie.* „Brulion Kazimierski" t. 1, 2001 – *Wspomnienie* zostało przedrukowane na wstępie do omawianego tomu, powyższy cytat na s. 4 nlb.

[16] Jacek John: *Edmund John.* www.wkazimierzudolnym.pl/edmund-john.html

[17] Stefania Skwarczyńska: *Wstęp do nauki o literaturze.* T. I. Warszawa 1954, s. 72-73. Por. Dariusz Bawoł: *Literatura i jej eidos. Glosa do Stefanii Swkarczyńskiej koncepcji literatury*. Siedlce 2011.

[18] Stefania Skwarczyńska: *Teoria listu.* Lwów 1937 (wyd. 2. oprac. Elżbieta Feliksiak, Mariusz Leś. Białystok 2006).

[19] Zob. Janusz Ryba: *Oświeceniowe tutti frutti. Maskarady – konwersacja – literatura.* Katowice 2009 (rozdz. *Bons mots wobec oświeceniowej konwersacji*).

[20] Stefania Skwarczyńska: *O pojęcie literatury stosowanej.* „Pamiętnik Literacki" 1931, z. 1, s. 9.

Całość inicjuje ciekawe poznawczo i barwne literacko wspomnienie o autorze, które napisał Jerzy Wyczesany, a które było już publikowane w pierwszym numerze „Brulionu Kazimierskiego" (2001). Treść główną przeplatają zdjęcia z archiwum domowego, które pokazują także samego autora, jego rękopisy oraz prace wizualne, w tym także egzotycznie komponujący się z treścią wielki portret Bieruta z MDM-u z lipca 1952 r. – zapewne autorstwa Johna. Są też reprodukcje obrazów i listów, w tym jeden adresowany do syna Jacka z 2 III 1980 r. dający kapitalne wspomnienie Witkacego.

Całość jest więc wysmakowana pod kątem artyzmu wydania i ładunku poznawczego, jaki w sobie nosi. Dobrze też stało się, że książka spełnia się w Kazimierzu, który dla autora był miejscem szczególnych natchnień oraz uniesień artystycznych i intelektualnych.

Patrząc na to wydanie z punktu widzenia literaturoznawczego, ma się jednak pewien niedosyt. Nie w stosunku do samej książki, ale do spuścizny literackiej Johna i innych autorów palindromów. Małe formy literackie – jak to pokazywał Jan Trzynadlowski – są nie zawsze łatwą, nawet jeśli wdzięczną dla badacza, materią naukową[21]. W przypadku palindromów nie ma oczywiście miejsca na „intuicyjną oczywistość", o której autor pisał, ale zauważalny jest dojmujący brak konkretniejszych studiów literaturoznawczych. Popularyzatorska, świetna robota Tadeusza Morawskiego też nie jest w stanie tego wypełnić.

Sam zbiór Johna jest kapitalnym przykładem dbałości o spuściznę literacką wartą pokazywania szerokiej publiczności, i niezbędną, jeśli chodzi o dorobek kulturowy Kazimierza, jako ośrodka kulturowego.

*

Od pierwszego zauroczenia, aż do śmierci w 1989 r., Edmund John spędzał w Kazimierzu długie miesiące, począwszy od wczesnej wiosny aż po późnojesienne krótkie dni. Malował, pływał jachtem, łowił ryby i zapamiętale gawędził z przyjaciółmi. Towarzyszami i uczestnikami kazimierskich dysput byli: Julian Tuwim, Antoni Słonimski, Józef Czechowicz, Adam Ważyk, Jarosław Iwaszkiewicz, Maria i Jerzy Kuncewiczowie, Kazimierz Wierzyński, Adolf Rudnicki, Jerzy Andrzejewski, Juliusz Osterwa, Bolesław Wieniawa Długoszowski..., by wspomnieć jedynie reprezentatywną garstkę osób. Rozmiłowany w mieście i jego klimacie, mając tu na wyciągnięcie ręki barwne postaci życia kulturalnego i artystycznego, John razem z Tadeuszem Pruszkowskim nakręcił film *Wesoły wisielec, czyli Kalifornia w Polsce* (1926) – surrealistyczny obraz bohemy osadzony w renesansowej scenerii Kazimierza.

Dziś klimat miasta jest nieco inny. Połowa rynkowego bruku zastawiona jest stolikami barowymi (może dla niepoznaki zwanymi „ogródkami") oraz przesłaniającymi uroki i klimat parasolkami szumnie krzyczącymi nazwy browarów. Dobrze więc stało się, że z czasu, tę letniskowo-kurortową ospałość zakłócą „Dziady Kazimierskie" – zespół, którego każde pojawienie się jest wielkim happeningiem. Zaśpiewają o kapryśnej Esterce, przedstawią trasę *Tour de Kazimierz Dolny* oraz bywalców „plebanki" – współczesną bohemę. Pośród tych barwnych opowieści przywołany zostanie i świetny element kazimierskiej przeszłości – Edmund John i jego palindromy. Oto *Palindromy...* „Dziadów Kazimierskich" i pana Johna:

Niech go dunder! Niech go dżuma!
Niechaj zmyka albo skona!
Ten, kto nie zna i nie kuma,
Palindromów Pana Johna!

Izo! Wikary raki wozi,
Iza, racja, tik u kitajca razi,
Ino gazdę jędza goni,
I załoga nago łazi,
O! Nil, Ewelino,
Ona lokami ima kolano,
Oto i Kioto,
Oto łza z nizin za złoto,
Dusi popa popis ud,
Wódy żal dla żydów,
Ada busolę losu bada,
Ada raportuje, że jutro parada,
A wołaj, o babo jałowa!
A w Emila wali mewa,
A ja faja,
Daj jej jad,
Tak nam robi Borman kat,

Niech go dunder! Niech go dżuma!
Niechaj zmyka albo skona!
Ten, kto nie zna i nie kuma,
Palindromów Pana Johna!
Słowotworne wygibasy,
Prawo lewo, każda strona,

[21] Zob. Jan Trzynadlowski: *Małe formy literackie.* Wrocław 1977.

Skarby Kazimierskiej rasy,
Palindromy Pana Johna!

Mamo! Bobo mam!
Markiza razi kram,
Mamę dawaj Natan, ja wadę mam
Mani z sadu bobu dasz i nam,
Ej! Nowak co noc kawon je,
E… i nago pili poganie,
Ej! U kata z sadu Judasz atakuje,
Ej! Mała, złe pełza, łam je,
O mam nagan mamo,
Osoba tu łka zakłuta boso,
O tak, oper epoka to,
O, o, zwisa kan(onik) na Kasi w Z.O.O,
Niech go dunder! Niech go dżuma!
Niechaj zmyka albo skona!
Ten, kto nie zna i nie kuma,
Palindromów Pana Johna!
Słowotworne wygibasy,
Prawo lewo, każda strona,
Skarby Kazimierskiej rasy,
Palindromy Pana Johna!

A ma ci lot stolica, ma,
A minaretu tu tera ni ma,
Ada goła mało gada,
Ado, gapo, to pagoda,
Okpi Natan i PKO,
Ogół dyma damy długo,
O tu stał i płakał Piłat suto,
O tu nadymimy Danuto,
A ino kłapał i łapał konia,
A na motor otomana,
Ano Kaziu Luiza kona,
A narodowi piwo do rana!

Niech go dunder! Niech go dżuma!
Niechaj zmyka albo skona!
Ten, kto nie zna i nie kuma,
Palindromów Pana Johna!
Słowotworne wygibasy,
Prawo lewo, każda strona,
Skarby Kazimierskiej rasy,
Palindromy Pana Johna!

(Rec.: [Edmund John:] Palindromy pana Johna. Red. Jacek John. Wstęp Jerzy Wyczesany. Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Kazimierza Dolnego. Wyd. 3. Kazimierz Dolny 2012)

Ilustracje pochodzą z książki:
Palindromy pana Johna.
Red. Jacek John.

Tadeusz Michalak

KAMIEŃ

Kazimierz powstał w miejscu, które obfituje w złoża białego kamienia. Niepoliczalne ilości istnień złożyły się na grube pokłady wapienia, który posłużył do budowy miasta.

Wapienie przechowują odciski muszli. Małych – przypominających zwieńczenia nisz zachodniego szczytu Fary albo wnęk fryzu attyki Kamienicy Celejowskiej. Dużych – zwiniętych zawsze prawoskrętnie. Występują one czasem na niderlandzkich martwych naturach, symbolizując wieczność wszechświata.

Niekiedy kamień przecina ruda smuga. Czasem widać odcisk kory przedpotopowego drzewa, a może jest to ornament skóry niewyobrażalnie groźnego gada. Różne stworzenia zamieszkiwały ten punkt przestrzeni. Nie posiadły nigdy wiedzy o tym, że z ich skamieniałych ciał powstanie to miejsce. Nie obdarzone zostały duszą nieśmiertelną, która pozwoli im jeszcze tu wracać.

W Kazimierzu kamień był dostępny dla wszystkich, a użycie go nie wymagało długiego i drogiego transportu. Pewnym problemem była początkowo jego obróbka, gdyż stanowiła umiejętność przekazywana przez majstrów i trudno było jej się samemu nauczyć. Jednym problemem był dobór właściwego materiału. Drugim było wykorzystywanie kamienia do budowy konstrukcji pokonujących przestrzeń taką jak szerokość pomieszczenia czy rozpiętość otworu okiennego, czy drzwiowego.

Aby mieć najprostszą kładkę drewnianą wystarczy odpowiednio długim pniem połączyć brzegi strumienia. Natomiast kamienny mostek to konieczność wybudowania podpór i sklepienia pomiędzy nimi.

Po drewnianej zabudowie pozostawał przekładaniec warstw ziemi o różnym zabarwieniu, wśród których wyróżniają się czarne pogorzeliska. Miasta kamienne złożone są z fragmentów wcześniejszych budowli wykorzystywanych przez kolejnych mieszkańców. Mury znalezione w ziemi mogą mieć bardzo dawną metrykę. Jeżeli nie zawierają detali czy innej charakterystycznej cechy to zawsze są zagadką w rozwiązaniu, której pomagają archeolodzy. Na podstawie znalezionych fragmentów ceramiki czy innych dawnych przedmiotów, potrafią umieścić znalezisko na osi czasu. Dla budowli odcinek ten będzie wielokrotnie dłuższy od tego, jaki wyznacza życie pojedynczego człowieka, ale jeżeli porównamy go z trwaniem kamieni to też będzie żałośnie krótki, bo kamienie zdają się być nieśmiertelne.

Gdy zastanawiałem się, jaki problem związany z kamieniem poruszyć pierwszy, zadzwonił do drzwi sąsiad . Przyniósł artykuł sprzed 50 lat o swojej ciotce Irenie. Chciał też pochwalić się pracami, jakie wykonywał na naszej wspólnej drodze. Droga, zapisana w księdze wieczystej jako „droga wieżowa" prowadzi od „płaszczatki" do naszych domów. Kiedyś wybrukowano ją wapieniem, który przez lata został wbity w głąb ziemi kołami samochodów i wymaga corocznego uzupełniania nowym materiałem.

Z przyjemnością przechadzaliśmy się po naszej drodze, bo było piękne majowe popołudnie. Wszystko już się zazieleniło, nawet akacje miały już wyrośnięte liście. Chłodne powietrze sprawiało, że drugi brzeg Wisły rysował się wyjątkowo ostro. Usiedliśmy przy kawie na drewnianym tarasie domu, w którym mieszkała przed pół wiekiem Irena Kunicka. Artykuł wydrukowany w „Stolicy" poświęcony jest jej twórczości rzeźbiarskiej. Autor opisuje w nim samotną kobietę, zmagającą się z remontem zniszczonego podczas wojny domu, z ogrodem, z krową i z tysiącem problemów egzystencjonalnych. Opisuje kobietę, która nagle odkryła w sobie pasję rzeźbiarską. Jako materiału używała wapienia, który obrabiała zrobionymi przez siebie narzędziami. Początek twórczości przypadał na lata socrealizmu nic więc dziwnego, że pierwszą rzeźbą była „Matka Koreanka". Następne prace nosiły równie aktualne tytuły: „Pierwsza Książka", „Praczki", „Młody myśliciel". Były też portrety przodowników i wodzów, sceny obyczajowe i nawet kompozycje religijne.

W tamtych czasach było o niej głośno, jednak gdy wyjechała na stałe do Londynu, to w Kazimierzu o niej zapomniano.

W starym domu stoi jeszcze kilka jej rzeźb. Są dobre, bez cienia amatorstwa. Nic więc dziwnego, że kiedyś była sensacją, że odwiedzał ją prezydent Bierut, że nakręcono nawet o niej film dokumentalny, i że prasa kreowała ją jako samorodny talent.

Patrzymy na zachodzące słońce, za nami na wpół zdziczały ogród. Przypominam sobie, że dom Kunickich w czasach świetności nazywał się „Anioł"

Jest to oryginalna budowla złożona z dwóch części: starszej zbudowanej z drewna i młodszej kamienno-ceglanej. Starsza część ma formę dziewiętnastowiecznego, podmiejskiego dworku, natomiast młodsza ma pewne cechy kazimierskiego modernizmu z lat 30. XX wieku.

Połączenie w jednej budowli muru i drewna było bardzo charakterystyczne dla Kazimierza. Równie kazimierskie było wykorzystywanie wapienia jako materiału rzeźbiarskiego. W dawnych budynkach znajdują się przykłady, że wapień używany był jako pełnoprawny materiał rzeźbiarski. Wiedziano, że dobrze dobrany kamień, pomimo swojej miękkości potrafi przetrwać wieki.

Najlepszym przykładem jest portal wejściowy do Fary, który wykuto pięćset lat temu, czy czterystuletnie rzeźby przy oknach kamie-

nicy pod św. Krzysztofem. W ogóle cała Fara ma wiele rzeźb i detali zrobionych z wapienia. Posiadała też kiedyś posadzkę, wykonaną z grubych, kwadratowych płyt. Jej fragmenty zachowały się jeszcze przy chrzcielnicy, wykonanej w janowieckim warsztacie z miejscowego kamienia.

Ukończony w drugiej połowie XVII w. kościół św. Anny miał stosunkowo ozdobną posadzkę złożoną z wapiennych kwadratów i ośmioboków. Naturalnie stosowanie wapienia łączyło się z zamożnością, gdyż do Kazimierza dopływały marmurowe płyty kamienne. Niektóre płynęły Kamienną i Wisłą z Gór Świętokrzyskich, a inne Wisłą z Gdańska czy z Elbląga, dokąd dopływały jako balast bałtyckich statków aż ze Szwecji. Jednak ten szlachetniejszy materiał używany był do wyposażenia bogatej Fary. Kościół szpitalny czy klasztorny zadowolić musiały się wapieniem, nie mówiąc o kamienicach, gdzie w najlepszym razie wystarczyć musiały płytki ceramiczne. W klasztornej zakrystii ułożono podłogę z szerokich desek, które następnie ponacinano tak, aby układ wyżłobionych linii imitował układ płyt kamiennych. Za to resztki posadzki z wapienia przetrwały w klasztornym wirydarzu, co jest chyba ostatnim większym zachowanym fragmentem tego typu rozwiązań. Na terenie klasztoru zachowały się płaskorzeźby z wapienia, umieszczone w murze od strony Wisły. Mój Ojciec mówił, że są one autorstwa jednorękiego rzeźbiarza Jerzego Łopuszańskiego, który przed wojną działał w miasteczku. Pozostały po nim dwie rzeźby. Jedna to betonowa figura Matki Boskiej stojąca przy kaplicy Św. Rocha na wzgórzu klasztornym. Druga znajduje się na grobie samobójczyni i jej dziecka na Nowym Cmentarzu. Autorstwa Łopuszańskiego były też rzeźby na grzebieniu attyki Kamienicy Celejowskiej. Miały jednak pecha, bo trafiły na równie gorliwych co niekompetentnych konserwatorów, którzy nie dość, że nie wiedzieli jak wyglądała pierwotna attyka, to nie cenili cudzej twórczości.

Łopuszański mieszkał podobno na barce wiślanej. Pomimo kalectwa wykonywał rzeźby w kamieniu. Z jednoręcznością radził sobie w ten sposób, że on sam trzymał dłuto, w które uderzał wynajęty pomocnik. Artysta sam przerwał swoje życie. Jego postać przywołuje niestrudzony Kazimierz Parafianowicz, opracowując życiorys rzeźbiarza i przyczyniając się do powstania jego portretu.

Niestety, brak szczęścia związany jest z osobą Łopuszańskiego, bo portret ginie. Do kompletu niepowodzeń można dodać historię kolejnej jego rzeźby. Z dużej bryły kanaryjskiego marmuru wyrzeźbił maskę satyra, na wzór antycznych przedstawień. Rzeźba ta wpadła w ręce mieszkańca ulicy Puławskiej pana Dzwonnika, który stwierdził, że jest to diabelski wizerunek i wywiózł go razem z innym gruzem i ziemią nad Wisłę, w miejsce dzisiejszego parkingu przy stacji benzynowej. W tym czasie, dla zwiększenia terenu zasypano przestrzeń pomiędzy umocnionym w latach 20 brzegiem a szosą. Tak więc, jeżeli ktokolwiek będzie kiedyś penetrował to miejsce i natrafi na zagadkową rzeźbę to w celu zapobieżenia powstaniu różnych fantastycznych teorii informuję, że jest to dzieło Jerzego Łopuszańskiego.

W wapieniu rzeźbiono gmerki na kamienicach, których wnętrza przyozdabiano kolumnami międzyokiennymi, o trzonach odkutych z tego samego materiału. Taka kolumna znajdowała się w izbie dworku Gąsowskich i Purwinów na końcu ulicy Senatorskiej.

Izba ta służyła za pracownię mojemu Ojcu, który mieszał tam, nim wybudował dom. Nic więc dziwnego, że narożne okna w stołowym pokoju tego domu rozdziela wyrzeźbiona według rysunków Ojca kolumienka. Oplata ją girlanda stylizowanych kwiatów. Rzeźbę wykonał miejscowy majster murarski, Aleksander Gil.

Kazimierscy murarze, oprócz umiejętności murowania z wapienia, potrafili też w nim rzeźbić. Gdy w latach 50 rozbudowano szkołę, kamienie z wyrzeźbionymi głowami ludzi i zwierząt wmurowywano w ścianę sali gimnastycznej. Szkoda, ze zostały zniszczone przy pokrywaniu ścian tynkami, gdyż mogłyby stanowić temat do rozważań o przetrwaniu tradycji pogańskich w prowincjonalnym środowisku murarskim nad środkową Wisłą.

Murowane budynki zaczęły powstawać w Kazimierzu już w XIII wieku. Była to wieża zwana w Kazimierzu Basztą i klasztorek Norbertanek, o których Jan Długosz napisał: „cella". Budowniczowie pochodzili z daleka, może nawet z odległych krajów. To właśnie od nich miejscowi uczyli się jak postępować z kamieniem, jak wypalać wapno, jak przesklepiać otwory. Jednak aż do czasów nowożytnych kamień jako materiał się upowszechnił, będąc na drugim miejscu po drewnie. Umiejętność obróbki drewna była wiedzą elementarną. Budownictwo drewniane było tańsze i praktyczniejsze, bo domy były cieplejsze. Również forma drewnianych domów uświęcona była tradycją.

Wiele średniowiecznych rozwiązań konstrukcyjnych nieprzerwanie używanych było aż do początku wieku pary i elektryczności, czyli do XIX stulecia.

Następnym murowanym obiektem na terenie miasteczka był kościół parafialny. Jest to dosyć oczywiste, bo jesteśmy już w wieku powszechnej budowy miast i zamków, czyli w wieku XIV.

W tym samym czasie, no może trochę później rozpoczęto budowę zamku. Niestety, nie wiemy o innych murowanych obiektach kazimierskich. Mogę tylko przypuszczać, że już średniowieczny Kazimierz był częściowo murowany. Naturalnie nie były to jeszcze kamienice, ale tylko jakieś najprostsze budynki. Ot, po prostu cztery ściany i może proste kolebkowe sklepienie. Zapewne wtedy

Kamiennio-drewniany dom Kunickich. Akwarela, Tadeusz Michalak, 1999 r.

poznano się na podstawowej zalecie kamienia, jaką była niepalność. Nie jest wykluczone, że mogły pojawić się też najprostsze pseudo wieże mieszkalne. Najpierw jako element zabudowy rozproszonej, możliwe że u stóp góry Krzyżowej, potem jako część zabudowy lokacyjnej działki miejskiej. Naturalnie murowańce te otoczone były przez budynki drewniane. Przypuszczam, że w XVI wieku a zwłaszcza po pożarze w 1560 czy 61 r. budownictwo murowane zaczęło się upowszechniać.

Nieżyjący od kilku lat profesor Adam Miłobędzki na pewno nie podzielałby mojego optymizmu, co do możliwości istnienia w średniowiecznym miasteczku murowanych domów mieszkalnych. Profesor uważał, że w średniowieczu budowano wszystko z drewna, zwłaszcza, tu na północno-wschodnich krańcach Małopolski.

Myśląc o tym zastanawiam się, czy po wyjściu z tego życia osiąga się wiedzę o wszystkim, a szczególnie o przeszłości. Nie chciałbym, aby towarzyszyła nam wtedy jedynie obojętność wobec wszystkich ziemskich problemów, aby razem z ciałem traciło się ciekawość. Profesora znałem przez kilkadziesiąt lat. Wielokrotnie rozmawialiśmy o różnych kazimierskich problemach architektonicznych. W wielu sporach wykorzystywałem moją szczegółową znajomość jakichś lokalnych zagadnień, czasem boleśnie zderzając ją z olbrzymią wiedzą profesora o polskiej architekturze, czy może o architekturze ziem polskich, jak wolał uważać.

Odchodzą nie tylko ludzie. Ten sam proces dotyczy budynków. Również i one bywają dotknięte samotną starością.

Przed kilku laty, przy wąwozie, którym przebiegała dawna droga na Góry odkryłem kamienną budowlę, którą postanowiłem opisać.

Dom Ostrowskiego

Nigdy nie ukończony dom zawisł nad wąwozem. Zbudowany na planie prostokąta spogląda przez drzewa na dolinę Wisły. Gdyby kiedyś na ostatnim piętrze ktoś zamieszkał, to widok zobaczyłby daleki, dalszy niż z domu Pruszkowskiego. Teraz, od lat nie ma w nim nikogo. Mimo że otwarte drzwi domu nie zapraszają do murowanego środka, ponurego w swym zniszczeniu i porzuceniu. Jakieś poprzewracane, połamane proste meble, na ścianach resztki wielokrotnych malowań, pozrywane przewody elektryczne, dziurawy sufit. Tak jest tylko na parterze. Piętra, a jest ich trzy, nie zostały przystosowane do zamieszkania. Nie ukończono drewnianych stropów, nie zrobiono schodów. W oknach okiennych nigdy nie było stolarki.

Cały wysiłek budowniczego skierowany został na osiągnięcie jak największej wysokości. W swoim nieukończeniu dom zdaje się być tylko pospiesznie naszkicowaną budowlą. Nie liczył się detal, możliwość zamieszkania, wygoda i bezpieczeństwo. Tylko wysokość była ważna, tylko liczba pięter.

Próbuję się domyślić, jakiemu wyzwaniu chciał sprostać budowniczy, z kim się ścigał, nad kim chciał zatryumfować. Może chodziło o profesora z drugiej strony wąwozu, sławnego i zamożnego. A może chodziło o basztę wzniesioną na sąsiednim wzgórzu.

Budowniczy tego domu nazywał się Michal Ostrowski, a kiedyś ta właśnie rodzina była pierwszym rodem w mieście, fundującym ołtarz do Fary i przez całe piętnaste stulecie dzierżącym urząd wójta kazimierskiego. Może, jeżeli zbieżność nazwisk była nieprzypadkowa, chodziło o dorównanie możnym przodkom.

Jak przez mgłę pamiętam pan Ostrowskiego i jego drobną żonę noszącą komuś mleko w emaliowanej kance na dół, do miasteczka. Pamiętam konia zaprzężonego do sań wjeżdżającego pod górę i przeszkadzającego nam w jeździe na sankach.

Cały dom zbudowany jest z wapienia, gdzieniegdzie zakrytego szarym, ostrym tynkiem. Ściany parteru wzniesiono z największych kamieni. Do kolejnych pięter używano kamieni coraz mniejszych. Piętra te mają też coraz mniejszą wysokość. Jakby budowniczemu ubywało sił, a może tylko czasu, chcąc za swojego życia przykryć całość dachem, zostawiając dom dzieciom, do których miało należeć zakończenie dzieła.

Dom pokryty został jednospadowym dachem. W elewacji uderza rysunek starannie dobranych kamieni i otwory po rusztowaniach. Nadproża zrobiono z dębowych belek.

Mój syn Tomek, równie jak ja zafascynowany oryginalnością tej budowli mówił, że właściwie to ona powinna być inspiracją dla współczesnej zabudowy miasteczka, gdyż jest naprawdę rodzima.

Dom zamknął w swoich murach samotny wysiłek zmagania się z nieznanym nam światem. Twórca może tu znaleźć klucz do przyszłego Kazimierza. I moment zadumy nad ludźmi, przez których ręce przechodziły wszystkie kamienie opustoszałych domów i nad zmęczeniem, którym płacili za każdą warstwę wznoszonego muru.

Nie wiem, czy ten dom powinien zostać zabrany w przyszłość jako świadectwo minionego czasu. Jest pamiątką po realnym miasteczku, nie ubarwionym egzaltacją twórczą i powierzchownymi zachwytami. Kazimierz razem ze swoimi mieszkańcami osadzony został w dekoracjach do spektaklu, który musiał odgrywać, często wbrew swojej chęci. A tak naprawdę był biednym, zmuszonym do powoływania się na swą rzekomo świetlaną przeszłość miasteczkiem. W wizerunku dawnych lat czas przypudrował rysy i plamy tak, by powstał grzeczny i estetyczny obrazek, zdatny do powieszenia w salonie.

W domu Ostrowskiego deszcze i śniegi zatarły ślady po nieżyjących mieszkańcach. Jest taki pusty i obcy, że nie śmiem pomyśleć czy w tym miejscu żyło się dobrze, i czy przebywający tu ludzie mogli cieszyć się urodą tego miejsca.

Dom Ostrowskiego, lata 90. XX wieku. Fot. tm.

Ci, którzy pamiętają mieszkańców tego domostwa mówią, że gospodarz różnił się od swoich sąsiadów. Pada nawet słowo „obłąkany", wspominają, że nad mieszkalną izbą umieścił krowy, co przy nieszczelnym stropie powodowało przedostawanie się nieczystości do mieszkania.

Kilkadziesiąt metrów obok przechodzi ruchliwa droga łącząca Góry z miasteczkiem. Nikt z codziennych jej użytkowników nie zbacza w tę stronę. Czy miejsce to i na przyszłość oznaczone zostało szaleństwem i mrokiem?

Teraz teren, na którym stoi dom Ostrowskiego kupili poza kazimierscy inwestorzy, którzy pewno wyburzą dziwaczną ruinę. Rozpoczęli budowę dziesięciu domów, traktując całe przedsięwzięcie jako dochodowe. Zamierzenia te budzą wielkie sprzeciwy, zwłaszcza wśród tych, którzy już zdążyli jakoś się w Kazimierzu urządzić.

To przypomnienie domu Ostrowskiego dedykuję przyszłym mieszkańcom tego miejsca. Należeć będą do nowego Kazimierza, bo w tym legendarnym i minionym już się naturalnie nikomu zamieszkać nie uda.

Można tylko spoglądać w przeszłość, widząc jedynie to co uda się odtworzyć czy też odgadnąć. Nie ma wątpliwości, że w XVI stuleciu powstało w Kazimierzu sporo murowanych budynków. W pierwszej połowie tego stulecia do Fary dobudowano obecną dzwonnicę.

Dom Ostrowskiego, lata 90. XX wieku. Fot. tm.

Również Zamek otrzymał od strony Wisły murowaną wieżę. Po połowie wieku wybudowano dwa kościoły, ratusz, spichlerze i pierwsze domy wypełniające całą szerokość lokacyjnych działek. Kolejne stulecie to narastający ruch budowlany, który przerwały wojny i pożary. Do wznoszenia nowych i do odbudowywania zniszczonych budowli powszechnie używany był kamień. Zbocza Góry Krzyżowej i Zamkowej to najdawniejsze, jeszcze średniowieczne, kamieniołomy. Eksploatacja kamienia przeniosła się następnie w głąb doliny Grodarza, wzdłuż ulic: Krakowskiej i Puławskiej, w wyloty wąwozów schodzących ku Wiśle. Do dziś zachowało się sporo dawnych wyrobisk zlokalizowanych w najmniej spodziewanych miejscach, na zboczach i w wąwozach.

Nawet spore wyrobisko kamienia jest w stanie zarosnąć zielenią przez pięćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat, tak że potem trudno rozpoznać miejsce, skąd wyłamywano kamień.

Po ostatniej wojnie, na fali powszechnej odbudowy kraju szukano dostępnych i niedrogich materiałów budowlanych przypomniano sobie o kazimierskich złożach. Przyjechała odpowiednio liczna komisja ze stolicy, pobrano próbki i poddano je odpowiednim badaniom. Przy wyborze jako pierwsze kryterium postawiono ciężar i twardość. Wybrano więc kamień, którego wagę czuło się w ręku, który dosyć trudno było zarysować murarskim młotkiem, i który uderzony wydawał dźwięczny odgłos. Pobrany materiał poddano wszystkim możliwym badaniom i wszystko było dobrze aż do momentu, gdy kamienie zaczęto zamrażać i odmrażać, symulując warunki zimowo-wiosenne. Badany kamień nie zniósł tych zabiegów i rozpadał się po kilku cyklach. Komisja napisała odnośny protokół, stwierdzając że kazimierski kamień do odbudowy kraju się nie nadaje.

W ten sposób w naukowy sposób stwierdzono to, co każdy miejscowy murarz zawsze wiedział. Wystarczyło, że wziął kamień do ręki i po jego wadze mógł określić przydatność. Niedobry był też zbyt lekki materiał. Wmurowany w ścianę, po latach zostawał wypłukany przez deszcze tak, że ze ściany sterczała dużo twardsza zaprawa. Można zobaczyć to w kilku miejscach, na przykład na Zamku od strony Wisły.

W ostatni piątek maja kazimierski targ wypełnił cały rynek. Różnokolorowe, dzięki kwiatkom, jarzynom i pierwszym truskawkom stanowiska sprzedawców i kłębiący się tłumek kupujących wyglądali jak na średniowiecznej miniaturze. Barwy podbijał błękit nieba, na którym wyraźnie rysowała się pokryta rusztowaniem Fara. Układano nową dachówkę. Dach nowy podzielony był na trzy części. Na pierwszej, leżały już nowe dachówki. Perfekcyjnie równe i czerwone. Środkowa część pozbawiona była pokrycia, po odsłoniętych łatach, jak po drabinie uwijali się ludzie, nosząc nowy materiał i układając go w równe rzędy. Z powodu odległości i wysokości, na której się znajdowali, wydawali się mali i nierealni. Skupieni na wykonywanej robocie uzupełniali archaiczność oglądanego obrazu. Trzecią część dachu pokrywała stara dachówka. Malownicza dzięki mieniącej się fakturze. Malowniczość ta powstała w czasie jaki minął od jej położenia i, niestety, była nie do odtworzenia, nawet przy najstaranniejszym remoncie. W minionym roku zbiegły

się remonty sztandarowych monumentów kazimierskich. Najpierw rusztowania otoczyły Basztę, potem Zamek, a na końcu Farę. O ile remont kościoła powtarza się co około 15 czy 30 lat i w podobnych cyklach remontowano Zamek, to całościowy remont Baszty stanowi wydarzenie, może pierwsze w jej ponad siedemsetletniej historii.

Wielokrotnie próbowałem wyobrazić sobie jej wznoszenie. Sądząc po tym, że brak otworów po rusztowaniach czyli tzw. otworów maczulcowych, budowano ją od środka ewentualnie na rusztowaniach wiszących. Był to bardziej archaiczny system niż ten zastosowany przy budowie większości ścian zamku. Budowniczowie umieli obchodzić się z kamieniem, który kładli w widocznych warstwach, wyrównując poziom mniejszymi kamieniami. Umieli też przesklepiać otwory. Całość od zewnątrz pokryli tynkiem, który zachował się w małych fragmentach na stronie mniej narażonej na wiejące z zachodu wiatry. Przypuszczam, że budowniczowie baszty przybyli tu z daleka, może nawet z jakiegoś niemieckiego kraju. Przy wznoszeniu Zamku ekipa budowlana była już trochę mniej biegła w swoim rzemiośle, kamień kładziono już mniej równo a w najstarszej części nieduże okna po prostu przekrywano dużymi kamieniami. Techniki kładzenia kamienia, które pojawiły się w średniowieczu trwały aż po połowę XX wieku. Charakterystyczne było trzymanie się warstwowego układu kamieni i utrzymywanie idealnie równej płaszczyzny lica ściany. Dlatego trudne a niekiedy wręcz niemożliwe jest określenie po sposobie obróbki i kładzenia kamienia wieku muru. Czasem pomóc może zaprawa i kolor patyny występującej na kamieniu, ale przeważnie i one bywają zawodne. Jeżeli chodzi o zaprawę to do ostatniego stulecia stosowano zaprawę glinianą. Chętnie używano ją do budynków gospodarczych. Budynków takich już prawie w Kazimierzu nie ma. Tak więc znika jeszcze jedno świadectwo dawnego ubóstwa, a ja odnotowując to, mam złudne wrażenie, że udaje mi się w ten sposób zatrzymać czas.

Prowadzone prace przy Kościele św. Anny i przy dawnym przytułku odsłoniły nieznany kawałek historii. Otóż pierwszym kościołem była mała, salowa świątynia, której mury ujawniły się pod posadzką. Odsłonięto wieloboczne prezbiterium, przypory i pozostałości przyległej od południa zakrystii. A więc nie drewniany Kościółek szpitalny. ale od razu kamienny. Mimo archaicznej, sięgającej jeszcze gotyku formy był chyba już szesnastowieczny, co nie powinno dziwić, bo nowe prądy w architekturze mozolnie przebijały się przez cały wiek, który przyjęliśmy nazywać wiekiem renesansu. Odsłonięto też mury najstarszego przytułku, który łączył się z kościółkiem i mógł być złożony z wolnostojących obiektów, scalonych w jeden dopiero w następnym stuleciu, kiedy to dodano mu nad potrzebę dekoracyjny szczyt, zaspokajający ambicje fundatorów.

To jak mało wiemy o przeszłości uzmysłowił mi znaleziony podczas prac archeologicznych na Zamku mały fragment gotyckiego ornamentu. Nieznany rzeźbiarz, być może Czech albo Węgier, niezwykle pięknie uformował gotyckie przeźrocze, które mogło stanowić zamknięcie sakramentarium zamkowej kaplicy. Podobne rozwiązania oglądałem przed laty w Pradze w restaurowanym czternastowiecznym domu, nieopodal tyńskiego kościoła na Starym Mieście. Znalezisko to uprawdopodobnia odkryty przez Karola Sicińskiego fragment maswerku, co do którego istniały podejrzenia, że może nie pochodzić z Kazimierza. Wielokrotnie, patrząc w różne wykopy na terenie miasteczka, gdy odsłaniały się fragmenty potężnych kamiennych murów i sklepień miałem wrażenie, że ziemia skrywa przed nami jakiś nieznany Kazimierz, który istniał tu niegdyś, przed pożarami i wojnami.

Czasem jakaś stara fotografia ujawnia ruiny znajdujące się w miejscu, gdzie dzisiaj nie sposób domyślić się istniejącej niegdyś budowli. Przy kamiennych domach jest szansa na odkrycie fundamentów, ale jeżeli budowla była drewniana i jeżeli nikt jej nie sfotografował, nie narysował ani nie opisał, to nieodwracalnie utonęła ona w odmętach przeszłości, i nie ma możliwości jej przywołania.

W Kazimierzu kamienie są zawsze pod ręką. Dawno, dawno temu niedaleko domu leżała sobie pryzma szczególnie dorodnych kamieni. Z moim o trzy lata starszym przyjacielem Michałem, urządziliśmy sobie świetną zabawę. Ze stromego zbocza, na którym stoi mój rodzinny dom, zrzucaliśmy kamienie, które podskakując na nierównościach i uderzając o drzewa zatrzymywały się czasem dopiero na położonej w dole ulicy Puławskiej. Rozrywka była niezła, bo góra stroma, kamieni dużo i niektóre tak wielkie, że z trudem unosiliśmy je w rękach. Kamienie ułożone były pomiędzy krzakiem rozłożystej leszczyny i pniem starej, nie owocującej już śliwki. Niestety, bardzo szybko okazało się, że kamienie kazał ułożyć mój Ojciec, i że jesteśmy całkiem nieodpowiedzialni, i że mamy wnieść je na górę i z powrotem ułożyć tam, gdzie zostały zgromadzone. Chcąc nie chcąc ochoczo przyrzekliśmy, że pracę tę wykonamy w niedługim czasie i na pewno. Było to w czerwcu, potem nadeszły wakacje wraz z obfitością różnych ważnych zajęć, a kamienie czekały i czekały na powrotny transport. A potem Michał wrócił do Warszawy i tego lata nam się upiekło. Następny przyjazd Michała rozpoczęła deklaracja, że kamienie na pewno wniesiemy. Ale nie wnieśliśmy.

W miarę upływu czasu temat kamieni poruszany był coraz rzadziej. Tylko Ojciec co pewien czas, chcąc udowodnić naszą nieodpowiedzialność, przypominał o ciążącym na nas zobowiązaniu. Ostatni raz przypomniał, kiedy byliśmy całkiem dorośli.

Minęło ponad pół wieku. Ojciec od dawna jest w przestrzeni stworzonej przez nadzieję i wiarę. Michał też. Tylko kamienie pozostały, rozrzucone na stoku basztowej góry. I nie spełniona obietnica czy może niewypełniony obowiązek ciąży na mnie. Czas ciągle dorzuca nowe zobowiązania, coraz trudniej je pozbierać i ułożyć. Kiedy próbuję je posegregować okazuje się, że właściwie wszystkie związane są z bliskimi. Ciągle brak czasu, żeby coś uporządkować, żeby uładzić. Porozrzucane kamienie obrosły mchem i wyglądają, jakby były tu od zawsze. Ciągle wierzę , że któregoś dnia zacznę je wynosić z powrotem.

Boję się jednak, że gdy skończę, to nie pozostanie mi już nic ważnego w życiu do zrobienia.

Jerzy Kuna

WSPOMNIENIA Z ULICY

W starym domu zbudowanym z wapienia w początkach XX wieku pomiędzy ulicą Lubelską, a Małym Rynkiem, który nazywaliśmy po prostu Placem, spędziłem szczęśliwe dzieciństwo i wczesną młodość. Nasz Tato kupił go wraz z posesją w 1948 r. Dom stał na pochyłości, od ulicy był więc parterowy, a od Placu piętrowy. Jako chłopak oglądałem toczące się wartko życie ulicy i Małego Rynku przez okna, mając widok na cztery strony świata i ogródek, na miejscu którego stała kiedyś olejarnia – drewniana budowla z końca XVIII wieku. Z opowieści wiem, że Tato posadził w nim jabłonie, z których dwie rosną do dziś, a cała ściana od kościoła św. Anny i Placu porośnięta była winogronami. Z owoców robił mocne wino, którym zawsze częstował znajomych podczas rodzinnych i nie tylko spotkań w naszym domu. Na Plac z ul. Lubelskiej prowadziła wąska uliczka pomiędzy naszym domem, a państwa Skonecznych. Dziś w tym domu mieszczą się galerie malarzy kazimierskich.

Ulica Lubelska była wówczas główną szosą przejazdową do Opola Lubelskiego. Ruch odbywał się w obie strony i był bardzo intensywny. Jeździło tam wszystko, co miało dwa, cztery lub więcej kół: motocykle, traktory, rowery, autobusy, ciężarówki i furmanki. Niektóre z nich miały drewniane koła okute obręczami, których turkot słychać było w całym miasteczku. Wśród tych różnorakich pojazdów wielu ludzi ciągnęło też lub popychało swoje ręczne wózki. Ruch uliczny przybierał na sile w dni targowe, zwane „świętem dyszla". Gospodarze przywozili lub spędzali na sprzedaż zwierzęta. Wtedy nikt się nie przejmował warunkami, w jakich je transportowano. Dziś, na samą myśl o tym, serce boli. Często obserwowałem życie ulicy przez okno pracowni krawieckiej mojego Taty, niejednokrotnie przeszkadzając czeladnikom w pracy. Rodzice, mówiąc delikatnie, wypraszali mnie stamtąd, strasząc zakazem wychodzenia na dwór przez co najmniej kilka dni. Pamiętam, że pewnego dnia, w wieku czterech lat wybrałem się na samodzielną wyprawę zaliczając Plac i Rynek i zabłądziłem na Lubelskiej gdzieś chyba w okolicach szkoły. Powrót do domu zawdzięczałem pewnej nieznajomej pani, która się mną zaopiekowała. Na szczęście obyło się bez kary. Rodzice byli szczęśliwi, że się odnalazłem, a ja, że wróciłem.

Z przelotnych wspomnień z tamtych czasów pozostało mi w pamięci następujące zdarzenie. Pewnego dnia chłop prowadził na sprzedaż barana, który nagle stanął i w żaden sposób nie można go było skłonić do marszu naprzód. Mężczyzna wpadł więc na pomysł i poszedł przodem. Baran widząc przed sobą łatwy cel, nabrał ochoty do galopu i tryknął chłopa w zadek, aż ten fiknął i wszyscy mieli uciechy co niemiara.

Niestety, nie pamiętam dokładnie, jak wyglądała wówczas nawierzchnia ul. Lubelskiej, ale najprawdopodobniej wyłożona była kocimi łbami, takimi jakie widoczne są na zdjęciach Juliusza Kłosa z 1916 r. Ulicą, oprócz ciężarowych Starów 20, Ziłów i traktorów pędziły też... kuchenne fajerki toczone przez chłopców kijem z zagiętym gwoździem. Taka zabawa była dość trudną sztuką, bowiem kruche żeliwo pękało na nierównej drodze i trzeba się było potem z tego wytłumaczyć mamie. W owych czasach kaflowe kuchnie opalano węglem i drewnem, więc fajerki były niezbędne do regulowania siły ognia i temperatury podczas przygotowywania posiłków.

Po drugiej stronie ulicy stał i stoi do dzisiaj drewniany dom z szyldem „Owocarnia". Mieszkali w nim państwo Leśkiewiczowie, którzy mieli sklepik ze słodyczami, oranżadą w kapslowanych butelkach głośno strzelających gazem przy otwieraniu, irysy na sztuki, piwo kuflowe oraz szczyt marzeń dzieci: lody. Duże po 2 złote, małe po złotówce. Naprzeciw kościoła św. Anny, w starej kamienicy na

Wejście do domu państwa Kunów

parterze mieścił się znany i słynny w całym Kazimierzu i okolicach „Bar pod Jeleniem", gdzie do kielicha ciepłej, nieschłodzonej czystej wódki w grubym szkle dodawano jako zagrychę ogóreczka lub śledzika. Ulica była w tamtych czasach tak ruchliwa, że wychodzący z baru narażali się na niebezpieczeństwo potrącenia przez samochody lub stratowanie końmi – chodnik biegł bowiem tylko po stronie ulicy od kościoła. Gdy w niedzielę wierni wychodzili po mszy, dawał się zauważyć wyraźny kontrast zarówno w zachowaniu jak i wyglądzie pomiędzy ludźmi po przeciwległych stronach ulicy.

Na piętrze wspomnianej kamienicy, obok rodziny państwa Górzyńskich, mieszkał funkcjonariusz Milicji Obywatelskiej, pan Rak z rodziną, który niejednokrotnie interweniował podczas awantur amatorów „wody ognistej". W sukurs przybywali mundurowi koledzy z posterunku MO, a wtedy akcje nabierały westernowego charakteru, na szczęście bez strzelaniny.

W dawnym szpitalu św. Anny tuż przy kościele, utworzono Miejski Dom Kultury, gdzie przeniesiono z Rynku Bibliotekę Miejską. Do dziś miło i ciepło wspominam panią Helenę Księską, (z której synem Jasiem zaprzyjaźniłem się jeszcze przed pójściem do szkoły), panią Jeżewską i panią Irenkę. One właśnie zaszczepiły we mnie i w mojej siostrze Ewie miłość do książek, która została do dziś. Książki podarowane mi przez panią Księską na imieniny, mam do dziś.

Kiedy chodziłem do szkoły podstawowej lubiłem siadać z małym akordeonem na schodach ganku i „ciąłem od ucha" aktualne przeboje z radia, grając ze słuchu. Zainteresowała się mną pani Kędra, która w owych czasach prowadziła w Ośrodku Kultury teatrzyk lalkowy „Tyci–tyci". Przygrywałem do spektakli dla dzieci, a dwa razy w tygodniu z kolegami dźwigaliśmy do szkoły ciężkie akordeony na próbę orkiestry prowadzonej przez pana Kazimierza Daczkę, człowieka niezwykle dokładnego i wymagającego. Z panią Kędrą współpracowaliśmy do III klasy liceum, później nasz starszy kolega Tadzio Wrona prowadził zajęcia muzyczne i gitarowy zespół „Alikwoty", który grał na imprezach w miasteczku i okolicy. Należeli do niego Staś Zdanowski, Waldek Śmiech, Tadzio Kotowski, Gutek Stachyra i niezawodny Krzyś Szewczyk – zawołani bigbitowcy. Próby odbywały się w MDK na piętrze. Wiosną i latem otwierano w nim okna, więc muzyka niosła się daleko. Moja współpraca z MDK i jego dyrektorkami Krysią Pielak, Kasią Sikorską i Moniką Dudzińską trwała z przerwami długie lata.

Ulica Lubelska była moją drogą do szkoły przez 12 lat, od podstawówki do matury. Pamiętam zabawy przy studni obok domu Śmiechów i Szewczyków. Jeden z kolegów zatykał otwór studni, a reszta poruszała ciężką, metalową dźwignią. Po chwili tryskała potężna fontanna wody zalewając nas i przypadkowych przechodniów, którzy często napominali nas, zabraniając tych zabaw. Jesienią ulicą jeździły furmanki i traktory z przyczepami pełnymi buraków cukrowych. Starsi koledzy zręcznie zrzucali je na drogę i sprytnie unikali bata woźnicy. Buraki zjadaliśmy potem na przerwach między lekcjami.

Na wprost naszego domu i pracowni krawieckiej ojca, za posesjami Furtasów i Leśkiewiczów, piętrzyła swój masyw Góra Trzech Krzyży. Oprócz turystów, wąską i wyślizganą ścieżką wjeżdżały na nią rajdowe motocykle Szczerbakiewicza i Matysiaka. Potem wracały zjeżdżając tą samą drogą w dół po wapiennym gruncie, gdzie nawet piesi mieli trudności z utrzymaniem równowagi. Z Kazimierzan, jedynie Andrzej Rodzik, mieszkający nieopodal przy Krzywym Kole, dorównywał mistrzom w pokonywaniu góry na motocyklu. Wielu próbowało, ale kończyło się to często koziołkowaniem wraz z maszynami.

Lubelska w owych czasach zabudowana była w dużej części drewnianymi domami, z których wychodziło się prosto na ulicę. Pamiętam, że mama posyłała nas po mleko do pani Czopkowej. W miejscu obecnego dużego pensjonatu, vis a vis przedszkola stał

Dawna olejarnia z końca XIX w.

jej niewielki drewniany dom, do którego wchodziło się przez wytarty drewniany próg. Z podwórka dobiegały głosy różnych zwierząt hodowlanych, a koguty piały z zegarmistrzowską dokładnością. Tak było jeszcze w latach 80. XX w. Idąc dalej w kierunku Rynku, w dawnej kamienicy, w której obecnie mieści się sklep spożywczy, była przychodnia lekarska oraz izba porodowa, zwana przez Kazimierzan „wylęgarnią". Kilka domów dalej mieszkali państwo Walencikowie, a teraz ich dom przebudowano w stylu nawiązującym do drewnianej architektury. Podobny los spotkał inne budynki na tej ulicy, na przykład „Dom partyzanta" tuż przy boisku szkolnym. Z kolei w domu państwa Zdanowskich dobudowano piętro i dwuspadowy dach. Nie istnieje już dom państwa Madejskich. W jego miejscu pojawiła się nowa architektura.

Najokazalszą i najbardziej znaną budowlą przy ul. Lubelskiej był i jest kościół św. Anny, w którego podziemiach, oprócz leżących tam kości dawno pochowanych zmarłych, układano również ciała topielców, gdyż latem przypadki utonięć zdarzały się dość często. Prawdziwą tragedią było w 1962 roku utonięcie trzynaściorga dzieci z Lublina.

Mały Rynek, to były naprawdę dwa place oddzielone od siebie starymi jatkami. Rosła tam trawa, teren był nierówny. Dziewczęta wiły wianki lub tańczyły węża i karuzelę, a chłopcy grali w piłkę albo palanta. Bawiono się też w chowanego i podchody. Na Plac schodziło się wąską uliczką, na tyle stromą, że zimą zjeżdżaliśmy po niej na sankach, nartach lub butach często hamując na drzwiach domu pana Szkoły. Teraz jest tam restauracja „Dębowa" i galeria malarska Mieczysławy Łazorek. Nocą niektórzy wywozili tamtędy na sankach nieczystości w blaszanych wiaderkach, które potem wylewali do Grodarza.

Któregoś letniego dnia, na plac zjechały ciężarówki przywożąc robotników z narzędziami. Zaczęli kopać i równać teren, wysypywali całe wywrotki piachu i wyłożyli oba place trylinką. Miłośnicy piłki nożnej i palanta mieli w końcu śliczne boisko do gier i zabaw. Czynny udział w tych rozgrywkach brał znany w miasteczku piekarz, pan Franciszek Siemiński.

W sąsiednim domu i podwórku, powstał zakład mechaniczny panów Hemperka i Niezabitowskiego. Praca trwała tam od rana do późnej nocy, naprawiano różnego rodzaju pojazdy od samochodów począwszy, na wózkach dziecięcych kończąc. Po likwidacji zakładu, na jego miejscu powstała prowadzona przez panią Helenkę Kopeć kawiarnia „Mała". W latach 70., nowymi właścicielami lokalu zostały rodziny Kwiecińskich i Wasiłków. Z racji postury właściciela, nazwano to miejsce „Pod Bykiem". Szkoda, że w latach 90. zamalowano barwne malowidła zdobiące ściany.

Latem na Małym Rynku rozstawiano karuzele dla dzieci i dorosłych. Frajda była ogromna. Dodatkowo przygrywała muzyka ze zdartych płyt. Oprócz karuzeli, ustawiano też „ścianę śmierci" – cylindryczną konstrukcję z galeryjką dla widzów na górze, zadaszoną, wewnątrz której po ścianie jeździł motocyklista aż po sam wierzch, paląc przy tym papierosa, albo czytając gazetę. To było mocne przeżycie.

W upalne i pełne kurzu dni jeździła po miasteczku polewaczka. Wybiegaliśmy z domów podstawiając się pod lodowaty strumień wody. Kierowca krzyczał, bo pakowaliśmy się niemal pod koła, uskakując w ostatniej chwili.

W letnie wieczory zaś siadywaliśmy na ganku od ogródka i ul. Lubelskiej, czekając na sowę wylatującą ze św. Anny na nocne łowy, na rechot żab znad Wisły, który ze starorzecza niósł się daleko za Plac i Lubelską.

Ponad półwiecze trwał ten barwny i kolorowy film z moich młodych lat. Czasami wraca w snach. Ludzie z tamtych czasów też. Zmieniło się wszystko. Ja jednak wolałem TAMTEN KAZIMIERZ.

Lubelska w sierpniu 1916 r.
Fot. Juliusz Kłos

Ludmiła Szczepkowska

ALFABET MIŁKI

A – Aaaaaale widok! Podobno jedyną rzeczą jakiej Kazimierzacy zazdroszczą mieszkańcom Janowca jest widok na miasteczko.

B – Baszta. Idą dwie blondynki w stronę Zamku. Jedna z nich mówi: „Popatrz, baszta" wskazując na dom Pruszkowskiego. Na to druga: „A ostatnio była okrągła". Autentyczne.

C – Cmentarz. Miejsce ukrycia kart wyrwanych z historii Miasteczka. Stary i Nowy cmentarz tworzą razem znak nieskończoności z przewężeniem stanowiącym most nad wąwozem.

D – Dylemat dwóch dżentelmenów pijących piwo pod „Radkiem". „Rozsądź, czy jak ja wsiądę na strusia, a on na kondora, to który z nas będzie pierwszy u celu?"

E – Esterka. W latach 60. zeszłego stulecia jedyny w Miasteczku lokal z dancingiem i smacznymi daniami z wiślanych ryb oraz z upiornymi „wygódkami".

F – Fara. Jak powiedział dziewiętnastowieczny malarz to najczęściej portretowana świątynia w Polsce. Myślę, że obecnie jest w czołówce rankingu światowego. W ubiegłym roku pewna turystka zaczepiła moją znajomą pytaniem o kościół św. Bartłomieja. Popatrzyła na Farę i z rozczarowaniem w głosie powiedziała: „A mówili, że to zabytek".

G – Grodarz – rzeczułka, strumyk, maleństwo nieproporcjonalne do kanału, w którym płynie. Czasem jest, czasem go nima, czasem porywa samochody i wygląda naprawdę groźnie.

H – Honoratka. Dziwna kawiarenka w willi Grafa, gdzie podawano kawę (pluja), herbatę (ulung), kompot i ciastka z domowego wypieku. Stoliki stały pod daszkami krytymi słomą, z których sypał się deszcz mrówek.

I – Idąc Wąwozem Leszczynowym (Granicznik) od ulicy Krakowskiej po prawej stronie jest piękna łąka z pachnącymi ziołami, nad którą wiszą pionowe, zabarwione ugrem ściany. Rosnąca tu lebiodka jest tysiąc razy bardziej aromatyczna od włoskiego oregano.

J – Jatki – niegdyś pachnące ziołami (punkt skupu Herbapolu), potem z maleńkimi galeryjkami, a obecnie obudowane pomostami i daszkami zasłaniającymi ich dawną urodę.

K – Kolorowa. Jeszcze jedna kawiarenka – efemeryda lat 60. Oferta standardowa: kawa, herbata, ciastka, napoje

Dzień targowy na Rynku. Fot. Zbigniew Waszewski,1982 r.

i przepyszne lody. Metalowe meble, każdy komplet w innym kolorze uzasadniały tę niewyszukaną nazwę.

L – „Liany" – radość paru pokoleń dzieciaków i do niedawna obiekt podziwu turystów. Niestety, grube jak powrozy, liczące kilkadziesiąt lat pnącza zostały wycięte. Pewno dlatego, że dzieci już nie wspinają się na nie, tylko wygodnie siedzą przy komputerach. A turyści…

Ł – Łachy wiślane … przed uregulowaniem rzeki z czystym piaskiem przemieszanym z muszelkami małży, kawałkami krzemieni i „strzałkami piorunowymi".

M – Mój alfabet dotyczy w większej części przeszłości, bo obecny Kazimierz jaki jest, każdy widzi.

N – Nad Dużą Rzeką i małą rzeczką leżało sobie śliczne miasteczko… I co dalej? Nic. Nadal leży.

O – Ogródki – maleńkie, pełne dziś już niemodnych kwiatów. Obecnie istnieją nadal, tylko że (poza nielicznymi) zamienione w parkingi.

P – Pamiętacie Czarnego Bociana wzruszająco śpiewającego „Ramonę", wianuszki z ziół święcone w oktawę Bożego Ciała, energiczną barmankę panią Kopciową, niedzielne występy wojskowych orkiestr w muszli koncertowej przy Bulwarze…?

R – Rynek – plac zabaw dla dzieci, miejsce przemarszu konduktów żałobnych i orszaków weselnych. Teatr grywający sztuki napisane i te improwizowane przez życie. Miejsce targów, występów grajków i zespołów z liczną widownią stanowiącą klientelę ogródków kawiarnianych.

S – Stara Łaźnia, stare jatki, stara synagoga…. A gdzie, u licha są nowe?

Ś – Do Jerzego G. zadzwonił jego kolega w sztuce: „Stary, jak się maluje śnieg?" Odpowiedź była jednoznaczna i wyczerpująca: „Farbami".

T – Turyści i przewodnicy. Turysta schodzący z Zamku w towarzystwie znajomych mówi: „Jak byłem tu 30 lat temu, to wszystkie domki w Rynku były drewniane, a teraz pięknie je otynkowali". Przewodnik z Nałęczowa: „To są tak zwane jatki, ale faktycznie jest to lamus dworski przeniesiony przez Karola Sicińskiego spod Zamościa". Tenże przewodnik opowiadający o cmentarzu za Farą jako ciekawostkę podał, że tu jest pochowany Dzierżyński, ale o tym nikt nie wie ze względu na bezpieczeństwo.

W – Wisła. Temat rzeka, temat sporów i dyskusji: gdzie były plaże, kiedy wybudowano wał, jak często pływały pogłębiarki, jak nazywały się statki i holowniki pływające na kazimierskim odcinku rzeki, kiedy… itd.

Z – Zielone ramy Miasteczka ciągle bogate, choć przerzedzone przez czas i ludzi. Znikły lilie złotogłów, orliki w czterech kolorach, groszek wiosenny i słodko pachnące wilczełyko. W odwrocie jest powojnik wysoki (patrz L), wiciokrzew i anemon wielkokwiatowy. Znika wiosenka stepowa i miłek wiosenny…

Ż – „Żyd" Jan Michalski, właściciel restauracji „Swojska" pytał gości: „Czy państwu do tego pilawu będzie pasował Brahms?" Poczem kładł czarną płytę na talerzu adaptera i oddalał się na palcach. Tym, którym nie podobał się jego wybór musieli natychmiast opuścić lokal nawet bez konieczności płacenia rachunku.

Targ na Małym Rynku.Przekupnie. Fot. Zbigniew Waszewski,1975 r.

Targ na Małym Rynku.Przekupki. Fot. Zbigniew Waszewski,1977 r.

Katarzyna Grzywka-Kolago

MONIKA A. OLEKSA: SAMOTNOŚĆ MA TWOJE IMIĘ

Gdybym zobaczyła tę książkę na półce w księgarni, pewnie nie zwróciłabym na nią uwagi. Subtelna okładka przedstawiająca rozmarzoną kobietę leżącą na łące spowitej blaskiem – może zachodzącego, pewnie letniego bądź wczesnojesiennego – słońca sugeruje tekst kobiecy, a stąd już blisko do skojarzeń romansowych. A romansów nie lubię. Nie sięgnęłam więc po nią dlatego, że przemówiła do mnie okładka, ani dlatego, że znam poprzednie utwory Moniki Oleksy. Wzbudziła moje zainteresowanie przede wszystkim dlatego, że miałam przyjemność gościć na wieczorze autorskim młodej, lubelskiej pisarki, który odbył się 26 grudnia 2014 roku w restauracji Hotelu „Dwa Księżyce" w Kazimierzu Dolnym – w którym *nota bene* recenzowany utwór częściowo powstał – i dzięki temu spojrzeć na jej warsztat wyłaniający się z kart nieznanych mi dotychczas tekstów czytanych przez Autorkę i przypadkowych czy nieprzypadkowych uczestników wieczoru, w bardzo urokliwym, nieco odrealnionym miejscu, z dala od zgiełku codzienności i zabiegania wielkiego miasta, nastrojowo ilustrowanych „dźwięk[ami] pianina, wydobywając[ymi] się spod palców wirtuoza" (s. 175) Jerzego Kuny. Najpierw 'zadziałała' więc niewątpliwie osobowość twórczyni. Jej wrażliwość, opanowanie, spokój i otwartość, z jaką opowiadała o swoim pisarstwie, trosce o słowo i czytelnika. To więc, że w końcu sięgnęłam po jej ostatnią powieść, było przewidywalną konsekwencją tego, co usłyszałam i zobaczyłam tamtego wieczoru, i mojej naturalnej, czytelniczej ciekawości.

Książka *Samotność ma twoje imię* to w istocie utwór, w którym przemożną, bo centralną rolę odgrywają kobiety. Zasadniczo nieszczęśliwe, ponieważ – jak już sugeruje tytuł tekstu – samotne. Samotne z różnych powodów: bo wybranek serca pokochał inną; bo mąż zmarł czy zapadł na ciężką chorobę; bo stał się obojętny i zdradził; bo bolesne dziedzictwo dzieciństwa okazywało się latami zbyt silne, by pozwolić sobie na formalne błogosławieństwo związku bez zobowiązań i bezpieczną stabilizację. To kobiety w różnym wieku i o różnym statusie społecznym, zarówno w pełni sił twórczych, jak też odsunięte na szary margines egzystencji emerytki. Takie, w których życiu sporo się działo, i takie, których niecodzienne 'atrakcje' nie wychodzą poza przestrzeń własnej kuchni. Kobiety różne charakterologicznie, ponieważ Monika Oleksa najwyraźniej dba o nadanie swym postaciom specyficznego konturu emocjonalnego, ale też spatialnego. Bo przestrzenie są w tej książce też ważne. I w dużym stopniu są to przestrzenie bliskie Autorce: Lublin, gdzie mieszka, i Kazimierz Dolny oraz nadbałtyckie Dąbki, w których – jak się wydaje – chętnie odpoczywa, choć sporadycznie w powieści jest też mowa o Warszawie czy Wenecji. Szczególne miejsce w tej plejadzie zdaje się zajmować spatium kazimierskie, które „zimą potrafi zachwycić. […] Dziś Kazimierz oddychał spokojem. Nigdzie się nie spieszył. Nie przepychał. Trwał sobie w tej styczniowo-lutowej zadumie i cierpliwie czekał na wiosnę. Nie krzyczał, tylko milczał ciszą, która koiła" (s. 155-159) i napawała spokojem – jak

przestrzeń bardzo realistycznie odmalowanego przez autorkę Hotelu „Dwa Księżyce", z jego właścicielem, pracownikami i innymi osobami przyczyniającymi się do niepowtarzalnej atmosfery rzeczywiście w nim panującej. Stąd nie dziwi, że w narrację na temat jednej z bohaterek pisarka wkomponuje następujące wyznanie: „Dwa Księżyce". Jej ucieczka przed światem i codziennością. Przystań, którą pokochała jak rodzinny dom, i do której zawsze wracała z przeświadczeniem, że tutaj na nią czekają" (s. 155).

Samotność ma twoje imię to książka owiana melancholią, zadumana nad szczegółem rzeczywistości, skłaniająca do refleksji nad gradacją życiowych wartości i do uważności, trochę medytacyjnej uważności człowieka wycofującego się na moment z życia, by po dłuższej czy krótszej chwili odważyć się na decyzję i spostrzeżenie tego, co dotychczas pozostawało poza granicami jego percepcji. Książka pokazująca pewien progres, emocjonalne przebudzenie, będące wynikiem przede wszystkim pochylenia się nad sobą i tym samym konglomeratem swoich uśpionych czy nienazwanych pragnień. Książka wreszcie o nieprzypadkowych przypadkach, dająca nadzieję, że tak naprawdę 'wszystko' jest możliwe i 'wszystko' da się zrobić, jeśli się tylko bardzo tego pragnie i na to pragnienie sobie pozwoli; pozwoli czemuś obumrzeć, by dać życie czemuś nowemu. I może dlatego właśnie powieść ma strukturę temporalnie niemal kolistą. Poznajemy jej bohaterów październikową jesienią, by pożegnać ich sierpniowym latem, choć dużo – może momentami wręcz za dużo – w niej mglistości, deszczu, spadających liści kłębiących się na lubelskich osiedlach, czyli tych elementów świata przedstawionego, które świetnie obrazują kondycję psychiczną wypełniających go postaci, nie tylko kobiet, też mężczyzn: zarówno stanowczych, konsekwentnych, sprawnych dyrektorów, jak też żegnających przeszłość nieudanego, toksycznego związku niepoprawnych marzycieli czy trwoniących przez chwilę słabości bez opamiętania swój nagromadzony latami, oparty na solidnych podstawach kapitał rodzinny nieudaczników – ludzi samotnych.

Dla kogo jest to książka? Przede wszystkim dla czytelników wrażliwych i spragnionych wyciszenia, jakiegoś nieco rozleniwiającego

'otulenia' ciszą, zapachem, ciepłem, poczuciem bezpieczeństwa. Pisarka zdaje się zresztą bardzo lubić to słowo i bez skrupułów przekazuje je czytelnikowi, właśnie 'otulając' go swymi opowieściami, niczym jej bohaterki otulają się ciepłymi kocami, wełnianymi płaszczami, aromatem rozgrzewającej herbaty czy ciast domowego wypieku – po to, by obejść się ze sobą łaskawie, być dla siebie dobrym i czule pochylić się nie tylko nad bliźnim, ale też nad samym sobą.

Monika A. Oleksa: *Samotność ma twoje imię*. Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2014, s. 424

fot. Marcin Piotr Oleksa:

Kazimiera Senkowska

PIECZĘĆ Z NAPISEM KAZIMIERZ DOLNY

Był rok 1968. Gorący wakacyjny sierpień. Mój ojciec Kazimierz Niezgoda postanowił zabrać mnie na wakacje do Kazimierza Dolnego. Byłam wówczas 12-letnią dziewczynką i wakacje spędzałam przeważnie na letnich koloniach przyzakładowych lub na wsi u cioci, wobec tego perspektywa wyjazdu tak daleko do Kazimierza była czymś bardzo wyjątkowym.

Poza tym miałam tam pierwszy raz w życiu poznać swoich dziadków. W dzieciństwie słyszałam dziesiątki opowieści o tym miasteczku, o wujkach i ciotkach. Większość to o wszechobecnej biedzie, trudnych latach wojny, niedostatku, tułaczce z rodzicami, braćmi (Jankiem, Marianem, Lutkiem, Stefanem, który zmarł bardzo młodo i siostrą Zofią). Dziadkowie z gromadką dzieci pomieszkiwali w miejscach, gdzie mogli mieszkać, a to na tyłach Kamienicy Celejowskiej (w suterenie), to we wsi Noworąblów, potem znów w kilku miejscach Kazimierza (w tym na ul. Nadwiślańskiej).

Ojciec urodził się 23 listopada 1925 roku w Nałęczowie lecz dzieciństwo i młodość spędził w Kazimierzu (na fotografii przy studni ten w trzewikach to mój ojciec).

W marcu 1942 roku (w tym czasie miała miejsce masowa eksterminacja kazimierzowskich Żydów) dostał Arbeitskarte i wyjechał na roboty przymusowe do III Rzeszy. W rodzinie było pięciu braci, Niemcy mieli w kim „wybierać". To był czas strachu, terroru i niepewności. Słowa Matki bardzo bolały, ale nie było innego wyjścia :„Kazik ty pojedziesz, bo inaczej ojca wezmą". Po blisko trzech latach ciężkiej pracy (gdzie musiał pojechać za ojca Stanisława) wrócił szczęśliwie do Kazimierza Dolnego. Co wówczas zastał? Zastał miasto zniszczone zasnute rozmowami kto przeżył, a kto nie, kto wrócił z wojny, a komu nie było to dane.

Życie ojca i jego bliskich toczyło się dalej . Każdy z braci ojca poszedł własną drogą. W Kazimierzu została tylko Zofia i dziadkowie.

Wcześniej, przed niewolniczą pracą u Niemców, jako kilkunastoletni chłopak był związany z Kościołem Klasztornym Ojców Reformatów. Był ministrantem. Na zamieszczonej fotografii ten wyższy. Obok fotografia księdza odprawiającego mszę w kościele klasztornym (nie znam nazwiska księdza).

Kościół był mu bardzo bliski jak również księża, opiekunowie miejscowej młodzieży. Wiem, że dzięki pomocy księdza (prawdopodobnie o. Roman Stawiarz – nie mam ściślejszych danych) był wieziony furmanką do puławskiego szpitala, gdzie wyszedł z ciężkiej choroby.

Ja i mój ojciec (ze zbiorów rodzinnych)

Bracia przy studni Rynek/Lubelska (ze zbiorów rodzinnych)

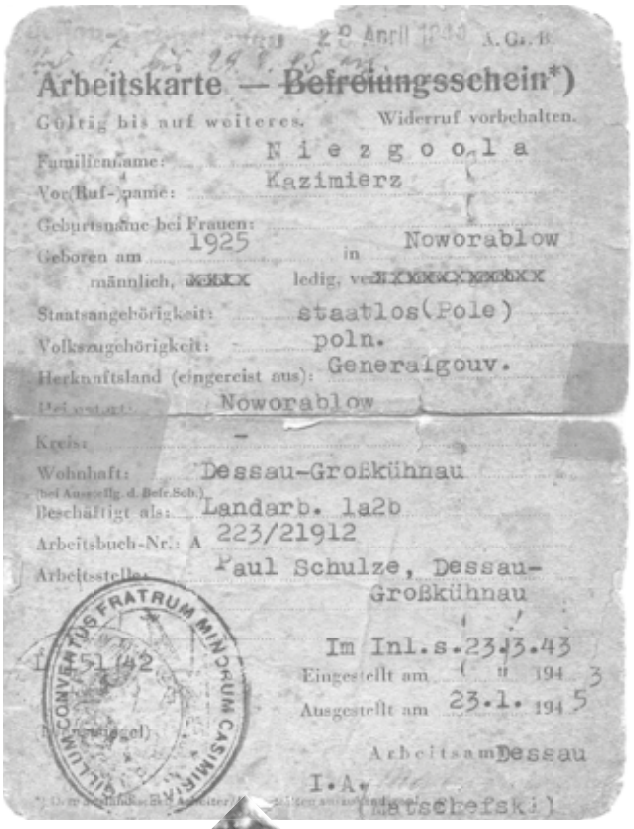

Arbeitskarte — Befreiungsschein*)

Gültig bis auf weiteres. Widerruf vorbehalten.

Familienname: Niezgoola
Vor(Ruf-)name: Kazimierz
Geburtsname bei Frauen:
Geboren am 1925 in Noworablow
männlich, ledig, ver...
Staatsangehörigkeit: staatlos(Pole)
Volkszugehörigkeit: poln.
Herkunftsland (eingereist aus): Generalgouv.
Bei ...: Noworablow
Kreis: -
Wohnhaft: Dessau-Großkühnau
Beschäftigt als: Landarb. 1a2b
Arbeitsbuch-Nr.: A 223/21912
Arbeitsstelle: Paul Schulze, Dessau-Großkühnau

Im Inl.s.23.3.43
Eingestellt am (. 194 3
Ausgestellt am 23.1. 1945
Arbeitsamt Dessau
I.A.

Arbeitskarte
oraz znaczek z literą "P"
(ze zbiorów rodzinnych)

Kazimierz Niezgoda – mój ojciec (ze zbiorów rodzinnych)
Fotografia została wykonana w „Foto salonie W. Wysockiego"

Kościół Klasztorny
Ojców Reformatów
oraz zdjęcie księdza
(ze zbiorów rodzinnych)

Fotografia nr 5
została wykonana
w „Foto salonie W. Wysockiego"

Ojciec mój Kazimierz, jego ojciec i bracia byli uzdolnieni muzycznie. Niedostatek w rodzinie nie pozwalał na taki zbytek jak instrumenty. Grali na czym się dało. Był zafascynowany grą na organach. Często chodził słuchać dźwięków organów. Był samoukiem i grał ze słuchu.

Naukę gry na organach kościelnych umożliwili mu księża w klasztorze. Grał również na skrzypcach. Stary egzemplarz skrzypiec mieli w domu. Dziadek był stolarzem i cieślą.

Mój ojciec z bratem Marianem – okazywali swoje uzdolniania (ze zbiorów rodzinnych).

Jedyna zachowana fotografia dziadka Stanisława Niezgody (ze zbiorów rodzinnych)

Babcia Rozalia Niezgoda była cukiernikiem, kucharką, czasem kelnerką, jak widać na fotografii. Przez wiele lat pracowała w szkole (obecnie Kolegium Sztuk Pięknych i Zespół Szkół im. Jana Koszyc-Witkiewicza).

Wszyscy bracia ojca byli również uzdolnieni manualnie, potrafili wykonywać różne przedmioty, majsterkować naprawiać, budować

Babcia Rozalia Niezgoda (ze zbiorów rodzinnych)

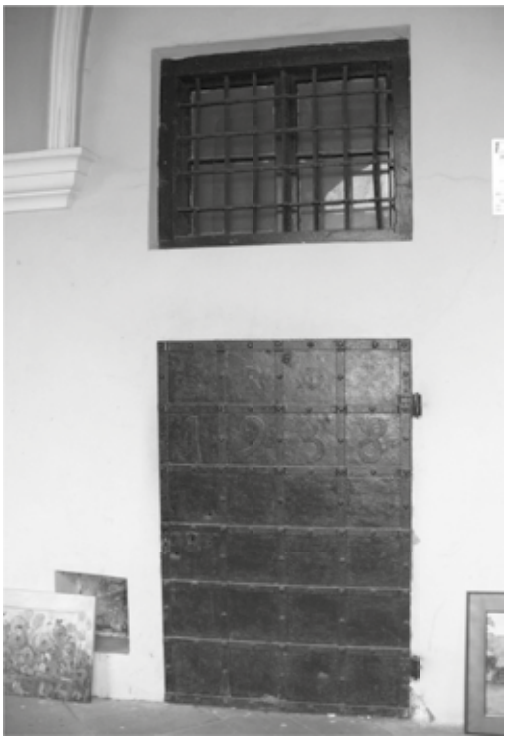

Żelazne drzwi i małe okienko, o którym mowa powyżej (ze zbiorów własnych)

itp.; co w realiach powojennych miało niebagatelne znaczenie dla funkcjonowania. Znana jest mi historia z krzyżem na szczycie kościoła klasztornego, który po pewnej burzowej nawałnicy przechylił się ku Wiśle i w tym stanie tkwił przez długi czas. Mój ojciec nie zważając na niebezpieczeństwo wszedł na sam szczyt (bez stosownego zabezpieczenia) i wyprostował go. Z tego „wyczynu" był bardzo dumny, co zawsze podkreślał w swych relacjach. Był człowiekiem, któremu „robota paliła się w rękach".

Studnia w centralnej części Rynku również kryje mroczną tajemnicę dotyczącą kilku osób z mojej rodziny. Kamienice braci Przybyłów w swych piwnicach miały pomieszczenia w których Niemcy zamykali i przetrzymywali, wszystkich przyłapanych na handlu na kazimierzowskim Rynku. Między innymi ojca i jego siostrę Zofię. Towar rekwirowali lub niszczyli. Inni ratując się przed aresztowaniem porzucali swoje „źródło dochodu" i kryli się w pobliskich górach.

Do dziś zachowały się żelazne małe drzwi i okienko nisko osadzone, które obecnie służy jako wyjątkowa oprawa dla pięknych obrazów. Obecnie w kamienicy mieści się Urząd Miasta. Siedząc niemalże wśród malowideł na kazimierzowskim Rynku popijając pyszną kawę można oddać się rozmyślaniom nad życiem mieszkańców w najtrudniejszych latach wojny i okupacji. Cieszyć się z rozkwitu kultury i życia artystycznego miasteczka.

Do dziś wszystkie te wspomnienia, które są mi znane z przekazów rozniecają ciepło w sercu, co przekłada się na ogromną sympatię do miasteczka, mieszkańców i miejsca okupionego trudami egzystencji, miejsca, gdzie wychował się mój ojciec.

W roku 1949 za namową i dobrą radą księży z kręgu Parafii Kazimierz Dolny wyjechał do Wrocławia. Powojenny Wrocław dawał młodym ludziom perspektywę pracy, zarobku i mieszkania. Skorzystał z tej szansy i został. Pracował w wielu miejscach. Był kierowcą, lub jak kto woli „szoferem". Tu poznał moją mamę, ożenił się i tu urodziła się moja starsza siostra Jadwiga. Życie dobrze się układało pomimo ogromnych trudności. W roku 1953 przyjechał do Kazimierza by przedstawić rodzicom żonę i córkę.

Życie toczyło się swoim torem, po trzech latach urodziłam się ja –

Moi rodzice z siostrą, a przy nich stoją kuzynka Ela ze swoim bratem Zbyszkiem Rok 1953 (ze zbiorów rodzinnych)

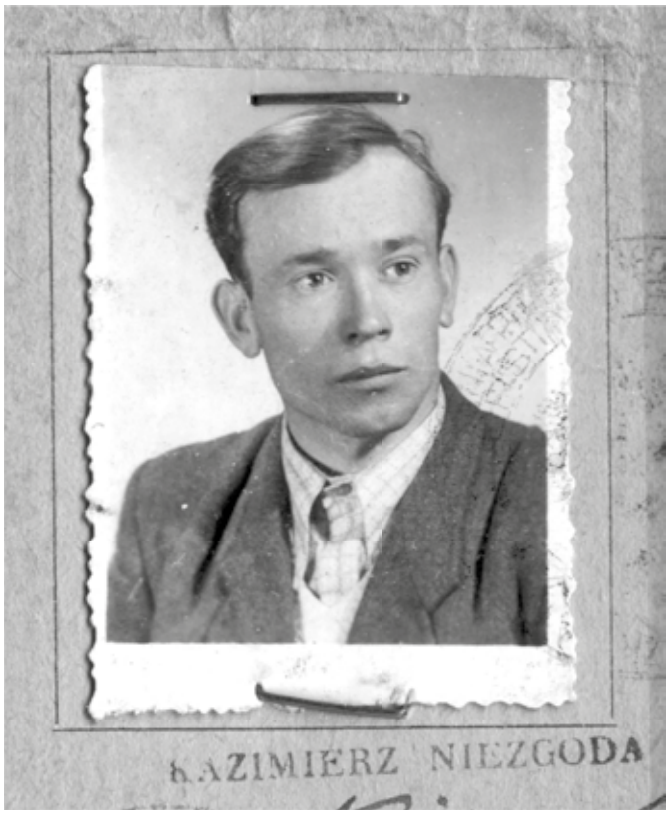

Zdjęcie z legitymacji służbowej.
(Szkoła Przysposobienia Przemysłowego nr.6 we Wrocławiu, gdzie pracował jako szofer)

Ojciec przy samochodzie (ze zbiorów rodzinnych)

Ojciec z kolegą w pracy (ze zbiorów rodzinnych)

druga córka. Może takim cichym marzeniem ojca był syn? Nadano mi imię Kazimiera. Prawdopodobnie tak trochę po ojcu, a tak po części na pamiątkę miasta Kazimierz. Na domiar tego radosnego wydarzenia moją chrzestną została zacna pani Kazimiera przyjaciółka mamy. Wszystkie te dość spójne fakty spowodowały, że noszę w sercu wirtualną **pieczęć z napisem Kazimierz Dolny.**

Wracając do sierpnia 1968 r. pamiętam długą męczącą podróż pociągiem, stary dom, drewniane schody prowadzące na niskie ciemne poddasze. To było mieszkanie, a raczej mieszkanko moich dziadków i jednocześnie cel naszej podróży. Pamiętam babcię, dziadka i serdeczne powitanie. Było to dla mnie bardzo ważne wydarzenie. Poznałam rodziców ojca, kuzynostwo, ciocię Zosię oraz innych członków rodziny. Ale było coś jeszcze- wycieczka na Majdanek do hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Lublinie. Jazda PKS-em po drogach Lubelszczyzny wijących się niczym wstęga to w górę, to w dół. Tego pamiętnego dnia strugom ulewnego deszczu nie było końca. To była wyjątkowa lekcja historii. Dziś wiem, co tkwiło głęboko w duszy ojca zabierającego mnie właśnie tam.

Mój zapamiętany Kazimierz z tego okresu to przede wszystkim pyszne lody z ulicy Sadowej oraz niezmierzone połacie błyszczącego, brązowego bruku, który razem z kuzynką Bożenką przemierzałyśmy w gorący letni czas. Ojciec starał się pokazać mi wówczas jak najwięcej ponieważ następna taka wizyta mogła się już nigdy nie powtórzyć. Tak też się stało. Nastąpiła długa przerwa przeplatana wspomnieniami i zachwytami nad urokliwym miasteczkiem. Ta wieloletnia przerwa spotęgowała pragnienie odwiedzenia miasta rodzinnego mojego ojca. Przypuszczam, że takie uczucie towarzyszy wielu osobom związanym w jakiś szczególny sposób z Kazimierzem.

Przełom nastąpił w październiku 2012 roku. Zagościłam w Nałęczowie. Miałam trzy tygodnie na to, by na nowo odkryć Kazimierz.

Cieszyłam się. Ciepły, złoty październik sprzyjał moim zamierzeniom. Mogłam dowoli odwiedzać miasteczko, spacerować, wydeptywać utarte ścieżki i poszukiwać wspomnień, krążących w mojej rodzinie od wielu lat. Żeby lepiej poznać i zrozumieć znaczenie wielokulturowości miasteczka trzeba koniecznie odwiedzić cmentarz parafialny, dawną synagogę, muzea oraz liczne galerie malarstwa stojące na straży wrażliwości artystycznej oglądającego. Obejrzeć wszystko dokładnie i niczego nie przeoczyć. To było dla mnie następne zadanie, bo znów może się okazać, że nastąpi przerwa w obcowaniu z miasteczkiem. Ogromne wrażenie zrobiła na mnie wystawa dawnych fotografii pt: „Żydowski Kazimierz". Dopiero po takiej dawce emocji można uświadomić sobie, w jakich kolorach jest Kazimierz. Jednak przede mną był równie ważny cel do spełnienia. Zobaczyć dom dziadków.

Pierwsze kroki skierowałam do Muzeum Nadwiślańskiego mieszczącego się w Kamienicy Celejowskiej. Pomyślałam, że będzie wspaniale obejrzeć tę słynną makietę miasta wg projektu pana Tadeusza Michalaka wykonaną tak misternie i tam „napatrzyć" się na nieistniejący już dom. Makieta – „cacuszko", aż chciałoby się „odkleić i zabrać ze sobą" ten maluteńki domeczek. Ta niecna myśl zainspirowała mnie do wykonania własnej miniatury.

Dom po pożarze w 1915 r.

Po pewnej ważnej i ciekawej rozmowie wszystko się wyjaśniło i poukładało w logiczną całość. W jednej chwili stanęłam przed domem, w którym mieszkali moi dziadkowie Rozalia i Stanisław. Jest to piękny stary dom na rogu ulicy Witkiewicza i Nadwiślańskiej.

Na You Tube jest krótki filmik (4 min. 41 sek.) pt; „Kazimierz Dolny 1920" (z pewnością znany miłośnikom Kazimierza) dodany przez Pathe1939, na którym przez 6 sekund widać dom ze zdjęcia zamieszczonego powyżej, mężczyznę w kapeluszu prowadzącego konia z furmanką oraz idącą obok kobietę w białej chustce. Tuż przy głównym wejściu do domu kilka osób pochylonych i czymś zajętych. To wspaniały unikatowy film.

Na szczegółowym planie zabudowy śródmieścia 1946-1947 opracowanym przez Karola Sicińskiego widnieje jeszcze dawna nazwa ul. Wiślana (obie nazwy adekwatne i piękne). O domu tym przez lata miałam wyobrażenie, że już nie istnieje, że uległ wyburzeniu, że w tym miejscu stoi budynek zwany „Batorym". W starym notesie ojca był adres ul. Nadwiślańska (3) taki mały chochlik, a tyle zamieszania spowodował. Myślę, że w tamtym czasie nie przywiązywano tyle uwagi do numeru adresowego. Poczta tak czy inaczej dochodziła, wszyscy się znali. Jakże miłą niespodzianką okazało się, że dom stoi i ma się dobrze.

Róg ulicy Witkiewicza i Nadwiślańskiej (ze zbiorów własnych)

Miniatura domu przy ul. Nadwiślańskiej w Kazimierzu Dolnym – mojego autorstwa.

Z perspektywy czasu dostrzegam tyle piękna w architekturze tego domu oraz materiałów zastosowanych do jego budowy. Nieotynkowany kamień wapienny to czarujące oblicze Kazimierza. Domy z wapienia odsłaniają nieśmiało fragmenty swojego budulca, przez co w każdym zakątku miasta kokietują swym pięknem. W roku 1922 dom został odbudowany ze zniszczeń i przebudowany przez dziadka obecnego właściciela, pana Wincentego Góreckiego. Nad frontowymi drzwiami wkomponowana jest data przebudowy, zaś nad oknem mieszkania moich dziadków widnieje napis „1922 X Wincenty Górecki" napisany jego ręką.

Dzięki niesamowitej uprzejmości pana Krzysztofa Rucińskiego gospodarza posesji, dom ze wspomnień stał mi się bliższy. Kazimierz stał mi się bliższy i tak już pozostanie.

Odległość z Wrocławia do Kazimierza Dolnego to dla mnie nieco kłopotliwa sprawa. Teraz to się zmieni, ponieważ postanowiłam zbudować „swój własny" dom miniaturę na rogu ul. Witkiewicza i Nadwiślańskiej. Fantastyczna zabawa i unikalna pamiątka z miejsca magicznego, pełnego wydarzeń i ciekawej wciągającej historii. Warto wspomnieć, że w tym domu swoje obrazy tworzyła pani Zuzanna Rucińska – malarka. W domu tym przed wojną oraz w czasie okupacji mieścił się zakład fotograficzny Antoniego i Aleksandra Furtasów. Również znany polski artysta rzeźbiarz Józef Gosławski mieszkał w tym domu i pracował przy konserwacji jednej z kamienic braci Przybyłów. Mój zachwyt nad architekturą miasta snuje się jak październikowa mgła, która nigdy nie opada. Można by napisać więcej o miasteczku, o jego niezwykłym fenomenie, ale po co. Wszyscy to wiedzą.

Dedykuję wszystkim właścicielom domu na rogu ulicy Witkiewicza i Nadwiślańskiej w Kazimierzu Dolnym.
Kazimiera Senkowska córka Kazimierza z Kazimierza.
Wrocław, 12 grudnia 2012 r.

Tadeusz Pałka

DZIECIŃSTWO ZYGMUSIA

(FRAGMENT KSIĄŻKI REWERENTUS) cz. 2

Gry wojenne, śmiertelne pu, palant

Mimo że nie było wyraźnych terytorialnych granic, żadne wojsko nie było ruskie albo niemieckie, wszyscy byli partyzantami, oddziały „Pioruna", „Mściciela", „Rysia" i inne o nie mniej groźnych nazwach walczyły ze sobą, na śmierć i życie – oczywiście umownie.

Tereny wojenne, wąwoziki i jaskinie były po dwu stronach miasteczka. W jamach, zwanych jaskiniami były zbrojownie, łuki najlepsze robiło się z dzikiej róży, strzały z berberysu i leszczyny. Najcenniejsze były prawdziwe naboje karabinowe, trotyl zwany mydełkiem, a proch artyleryjski trzymaliśmy w słoiku. Do ostrzału wroga używaliśmy bryłek gliny lessowej, trafienia nie były śmiertelne, a efekt wizualny świetny. Zabawa w wojsko polegała na tym samym, na czym polega prawdziwa wojna, zajmowaniu terenów, rabowaniu zasobów i upokorzaniu pokonanych. Do zabawy w zabijanie służyła zabawa w PU. W trakcie działań wojennych z ukrycia, trzymając w spoconych rączkach oręż na niby, wypatrywał wroga. Jest, zza dębu wychyla się głowa Dzidka. Krzyk Puuu! Dzidek! I Dzidek był zabity. Obok kina-synagogi była stodoła kryta słomą, przed stodołą placyk, tam grywano w palanta. Najważniejszy był Stasio, on posiadał piłkę lankę, z piankowej gumy. Zygmuś nie był wybitnym graczem, nie wybierano go na matkę, w grupie dzieci pracował na utrzymanie pola. Był w miarę zręczny w „noża", rzucanego w różny sposób tak, by zawsze ostrzem wbił się w ziemię. W wojnę Zygmuś lubił bawić się z Felusiem, miał on woreczek poniemieckich nieśmiertelników, blaszek z dziurkami, przywiezionych przez tatę z ziem odzyskanych. W trakcie grypy, gdy Felek leżał w łóżku Zygmuś pocieszał go w chorobie, bombardując kołdrę klockami. Babcia i matka Felusia tak długo komentowały ich zabawy po francusku, że ostatecznie zostali zmuszeni po polsku do zaprzestania działań wojennych. Cieszył się z tego brat Felusia, on zawsze się cieszył, gdy im czegoś zabraniano. Wynikało to bezpośrednio z niedopuszczenia bachora do działań wojennych. Ścieżki Felusia i Zygmusia prowadziły w górę do wieży zwanej basztą, w dół w stronę Wisły i prosto przez łączkę w kierunku ruin zamczyska. Ta łączka to był najsłabszy punkt, tam stacjonował na ławce i biletował turystów Engels albo Engelsina. On faktycznie był bardzo do Engelsa podobny, z wielką brodą i łagodnym acz bezlitosnym dla kapitalizmu spojrzeniem. Engelsina była jego żoną. Był to czas dominacji wizualnej, monideł indywidualnych i grupowych, wodzów i ideologów czasu, zwanego nowym. Komuniści czerpali ze sprawdzonych wzorów, np. Bóg w trzech osobach, Bóg ojciec, Syn Boży i Duch Święty,jednakowoż oni powiększyli trójcę do czwóreczki – Marks, Engels, Lenin, Stalin. To wyjaśnia znaczenie Engelsa w naszym życiu.

Zapach tytoniu, Life i stereoskop

Na wakacje dla ratowania domowego budżetu wynajmowany był frontowy pokój profesorowi rysowania, w pokoju pachniało zagranicznym fajkowym tytoniem, a na stole leżały amerykańskie gazety, były w nich zdjęcia eleganckich i rozważnie patrzących mężczyzn, oraz kobiet w koronkowej bieliźnie. Profesor kupił też swoim dzieciom stereoskop ze sporym zapasem szklanych klisz. Patrząc przez specjalne patrzadło, widziało się przestrzennie oddziały Wehrmachtu, pogodnie maszerujące przez wsie Szwarcwaldzkie, oraz różne zamożne miasta i mieściny Rzeszy. Zygmuś oglądał to wszystko uważnie i w pośpiechu, bo letnicy lada chwila mogli wrócić do pokoju. Na zmysły Zygmusia świat zachodu oddziaływał zapachem soku grapefruitowego i smakiem czekolady z puszek UNRRY. Profesor kupił synowi piłkę do koszykówki, robił dla niego i córki wspaniałe latawce. Był pogodny i pykał fajkę. Jego zamożność pochodziła z umiejętności wykonywania „wcierek", monstrualnych podobizn dostojników państwowych, które zdobiły ulice stolicy w święta rocznicowe i pierwszomajowe. „Wcierki" to były wizerunki sporządzane sposobem wcierania czarnej farby w tkaninę. Podobizna dla ułatwienia pracy była rzutowana na płótno z epidiaskopu.

Krawiec pan Wydra i nicejskie paltoty

Na zimę najważniejsze było palto, buty i czapka. Palta rzadko były robione z tak eleganckich materiałów, jak filco podobny loden. Często materiałem był nicowany samodział, odzyskany z ubrania kogoś zmarłego. Pan Wydra brał miarę, i przy pomocy ucznia tworzył paltot, umiarkowanie skomplikowany, ale miar do tego było co niemiara. Wtedy o modzie męskiej, w miasteczku niewiele było wiadomo. Jedno było absolutnie przestrzegane, u kobiet guziki zapinane były na lewo, u mężczyzn na prawo. W czasie miar Zygmuś słuchał opowieści o łajdactwach letniczek w nadrzecznych wiklinach, pan Zenon bo tak miał krawiec na imię, pod pozorem łowienia rybek, monitorował wikliny. Pan Wydra nie był obywatelem miasta, ponieważ się w nim nie urodził. Tylko tacy tu urodzeni, mieli prawo na nagrobku mieć

napisane Obywatel. Zygmuś chociaż jeszcze mały, był już obywatelem. Pan Wydra jako nie obywatel miasta, nie miał swojego kamienia na Gapiej górze. Gapia góra to nazwa wymyślona przez żony obywateli miasta. To niewielkie miejsce przy wschodniej pierzei rynku, gdzie po niedzielnej sumie, panowie zajmowali swoje miejsca stojące i roztrząsali problemy Ojczyzny. Każdy stawał na swoim kamieniu – były to zawłaszczone kamienie, i nie daj Boże, gdy ktoś stanął nie na swoim. Zajmowali pozycje do chwili, kiedy dzieci przyniosły z domów wieści, że rosół jest na stole. Gapia góra pustoszała, obywatele zaś dmuchali na gorące kluski, zwisające z łyżek pełnych rosołu. Dzisiaj nie ma już kamieni na Gapiej górze. Zniknęły tak jak ich właściciele.

Obrazy wyświetlane na ścianie

Syn szklarza miał nieco popsuty aparacik – jakby fotograficzny z bakelitu. Była do niego jedna rolka z przeźroczami – widoki Zakopanego. W aparaciku był ruchomy obiektyw ze szklaną soczewką. Syn szklarza Zenio uwielbiał jeździć na fajerce, ale fajerkę miał nędzną, pękniętą i przepaloną. Jeździli z Zygmusiem ścieżką przy rzece, fajerka Zygmusia luksusowa – kółko od wózka dziecinnego z białą oponką toczyło się świetnie i nie darło popychacza – pogrzebacza. Pragnąc aparacika postanowił Zygmuś zamienić się z Zeniem. Zygmuś był dzieckiem wyrachowanym, ta zamiana nie była więc dla niego bolesna, ponieważ kiedyś znalazł w krzakach skarb – pogruchotany przedwojenny wózek dziecięcy z całymi czterema kółkami, zostało mu jeszcze trzy kółka, były dobrze schowane na ciężkie czasy, w pokrzywach za płotem sąsiadów.

Z dużej blaszanej puszki, aparaciku oraz, nocnej lampki Zygmuś zmajstrował rzutnik, prawie taki jak widział w szkole. Oglądanie widoków z Zakopanego szybko się znudziło i doszedł do wniosku, że będzie sam wytwarzał filmy. Siostra z Warszawy przywoziła mu katadras, coś jak kalka matowe i pół przeźroczyste, ale mocne jak klisza. Z katadrasu ciął długie paski i na tych paskach tuszem przy pomocy piórka rysował różne kilkunastoobrazowe historie. Najbardziej lubiana i oglądany był film „Babcia goni złodziei śliwek", niestety nie cieszyły się powodzeniem filmowe autobiograficzne opowieści „Zygmunt w szkole i w domu", czy „wojsko Hitlera". W miarę dobrze był przyjęty film „Król Kazimierz i Esterka".

Pierwszy przyjaciel dzieciństwa

Mieszkali niedaleko siebie i obydwaj mieli loczki na głowie. Feluś był zamiłowanym eksperymentatorem i eksplorerem. Podróżował na końcówce dyszla furmanki (z tyłu wozu wystawał drążek, na który woźnica miał marne baczenie, ale gdy miał, to lał amatora przejażdżki po łbie batem). Dla Zygmusia dom przyjaciela był wspaniałym światem sztuki i życzliwości. Ojciec Felusia malował obrazy święte i alegoryczne, Felusiowi i Zygmusiowi artysta pozwalał patrzeć jak pracuje, siedzieli często w pracowni, raz nawet Zygmuś pozował do postaci skromnego pastuszka. W tym domu uczył się rozumienia sztuki przedstawiania i opowiadania obrazem. Ale większość wspólnych z Felusiem zajęć, to buszowanie po sadach owocowych, jazda na sankach i plażowanie. Wspólnie odkryli wspaniałą zabawę „na szczura". Nazwa pewnie pochodziła od zawołania „hura na szczura". Wzgórze zamkowe otoczone było wybujałymi wiotkimi grabami, źle rosły te drzewa, głuszone przez plątaninę klematisowych pnączy, pnącza tworzyły sieć, drapali się po niej wysoko, bujali się jak na hamakach, skakali z góry w dół, czasami sieć ulegała przerwaniu i następował kontakt z kamiennym zboczem, a tam, było królestwo majestatycznych winniczków oczekujących sera na pierogi. Zmorą ich wolnego czasu był mały Bernard, brat Felusia. Gdziekolwiek się udawali, to babcia i matka Felusia wypychały dzieciaka za nimi. Czasami umykali, ale Bernaś znał te numery i jak chciał, to potrafił ich znaleźć. Byli bacznie obserwowani, babcia i matka komentowały ich zabawy w języku francuskim. Pewnego dnia niespodziewanie zapadła decyzja kobiet dwu rodzin, że wpływ Felusia na Zygmusia i odwrotnie jest szkodliwy, i po naradzie matek i babek polecono im zerwanie znajomości. Nie mogąc pojąć idiotyzmu tej decyzji przyjaźnili się dalej. Z upływem czasu kobiety jakby zapomniały o zakazie. Często chodzili oglądać przecieranie drzewa w wąwozach, chłopi ścinali drzewo tak by upadło w poprzek wąwozu. Po oczyszczeniu z kory, węglowym sznurem znaczyli na pniu linie na górze i na dole. Potem pilarze, jeden na górze i dwaj na dole piłowali pień na deski. Patrzeć na to mogli godzinami. Góra, dół, góra, dół. Zygmusia ciekawił świat luksusu, było to parkowe otoczenie willi „Flora", pachniało przejmująco smakowicie mielonymi kotletami, kartoflanką i gulaszem, powoli przechadzali się pensjonariusze po alejce okrążającej klomb, gdzie na środku, ponad różowymi mieczykami wznosił się kij, a nim była zatknięta lustrzana kula wielkości piłki futbolowej. Dzień pobytu we „Florze" kosztował 100 złotych, a pensja mamy Zygmusia, to było niewiele ponad 700 złotych.

Suszone zioła, truskawki i wagony cegieł

Kwiat lipy zbierało się łatwo, ale za wysuszony, płacono niewiele, podobnie z korą kruszyny, czy mniszkiem lekarskim, kwiat białej pokrzywy jasnoty, lekki był jak puch, ale za kilogram płacono 100 zł, nie dało się tego zebrać dużo. Nieźle płacono za suszoną wisienkę stepową, niewiele było jej w okolicy, była w smaku pyszna, zasychała na gałązkach karłowatych drzewek, jak kwaśne rodzynki. Wiosną w Przetwórni Owoców zwanej marmoladziarnią Zygmuś szedł na zarobek przy obrywaniu szypułek truskawek, obrywali wszyscy, dzieci i dorośli. Można było najeść się truskawek do syta, na rynku były drogie. Dużo zjeść się nie dało, przy pracy kobiety opowiadały sobie smutne historyjki z życia i dowcipne nieprzyzwoite historie. Stare kobiety pamiętające czasy przedwojenne opowiadały, jakie ceny skupu ziół były w prywatnej wytwórni mieszanek ziołowych przedwojennego aptekarza Stanisława Szyji Lichtsona, jakie zioła skupowano, nie tylko podbiał, kruszynę, lipę i jasnotę, ale bratek polny, owoc głogu, owoc polnej róży. No i była konkurencja. Lichtson konkurował z manufakturą ziołową Woycickich, która produkowała opatentowaną, uzdrawiającą, ziołową Cholekinanazę. Chemicznych lekarstw było

niewiele. Zdrowie kojarzyło się Zygmusiowi z tranem, który w szkole wmuszano dzieciom łyżką na apelu porannym.

W pewne wakacje lat 50-tych Zygmuś zapragnął wraz z Wacusiem pojechać na autostop, mieli namiot nawet, ale nie mieli pieniędzy. Do Puław, na stację towarową przyszły wagony z cegłą, byli co prawda chorowici, ale mieli już po kilkanaście lat, rozładowali dwa czy trzy wagony, bez rękawic i szczypiec. Po pieniądze jeździli do Puław kilkanaście razy. Wacuś swoje trzydzieści złotych ukrył na krednesie w kuchni, ale ojciec znalazł te pieniądze i przepił. Zygmuś był w lepszej sytuacji, nie miał ojca. Na autostop jakoś pojechali.

Hotel Centralny oraz Restauracja Popularna

W „Hotelu Miejskim" były zatrudnione trzy panie, zwane salowymi (nie wiadomo dlaczego, w hotelu nie było sal, a pokoi wszystkiego było siedem). Pokoje były opalane kaflowymi piecami. Podłogi lakierowane na elegancki, buraczany kolor, łóżka metalowe z niklowanymi elementami, lampki nocne, umywalki z miednicami, woda w wiadrze i wiadro na brudną wodę (ma się rozumieć goście sikali do wiadra bo toaleta była, ale na chłodzie i w oddali). Hotel wraz z wyposażeniem był zabrany przez socjalistyczną władzę poprzednim właścicielom i teraz zarządzała nim bezosobowa „Gospodarka komunalna". Kierowniczką była Zygmusiowa mama. Mama czasem kierowała Zygmusia do kancelarii hotelu, na zastępstwo siebie. Było przecież wszystko jedno czy lekcję odrabia przy stole domowym, czy w kancelarii hotelowej. Zygmuś lubił to urzędowanie, kałamarze w pudle drewnianym, książka gości, telefon i kwitariusze. Niestety rzadko dane mu było meldowanie gości, wieczorem mało kto przyjeżdżał. Ale kiedyś, gdy w Warszawie na ulicy Jasnej, dwaj bandyci obrabowali bank, wieczorami nasłuchiwał z lękiem kroków na korytarzu. Przez pryzmat hotelowy inaczej się patrzyło na ludzi, czasami wybitnych. Jak, powiedzmy, pobierał klucz Roman Polański. Był już wtedy po ślubie z Barbarą Kwiatkowską, inaczej nie mieszkaliby w jednym pokoju, takie były przepisy, a milicja sprawdzała.

Historyczne ślady

Mury budowli historycznych z upływem czasu utraciły tynk, ocalały tynk często utracił kolor, mury uczyły Zygmusia, historii społeczności miejscowej oraz historii technik budowlanych. Znajomy murarz pan Maciążek wyjaśniał, jak to kazeina, czyli szczątki zwierzęce wrzucone do wrzącego lasującego się wapna ulepszały zaprawę. Najlepszego wapna użyto do budowy baszty, było wypalane z miejscowego wapienia, ślady po piecach pozostały w kilku miejscach miasteczka. Wiecznie reperowany mur klasztorny, miejscami solidny, pan Maciążek mistrz murarski krzesał na tym murze siekierką iskry, w innych miejscach, reperowanych w czasach biedniejszych, mur rozłaził się jak glina. Wieża obronna i obserwacyjna, zwana basztą, została zbudowana z dobrego kamienia i świetnej zaprawy. Na ścianach baszty, synagogi i kamienic, są ślady ognia, kul i czegoś jeszcze trudnego do ustalenia. Budowle z czasów świetności, spichlerze i kamienice siedemnastowiecznych bogaczy, zwanych patrycjuszami, pozwalają domyślać się przeszłości. Renowatorzy w różnych epokach poprawiali rzeźbienia, usuwali albo zmieniali kolorystykę. Zamienili róż indyjski na kamienicy Bromberga na kolor biały, luminarz SARP opracował mdłą kolorystykę pierzei obecnego Domu Architekta, kolorowe niegdyś postacie z kamienic Przybyłowskich zszarzały, jeszcze w latach 50-tych resztki polichromii były widoczne na postaci biskupa Mikołaja. Na wielu szczytach domów, po wojnie, były deski, pokaleczone pociskami karabinowymi, odłamkami pocisków artyleryjskich i granatów, w ścianie kościoła tkwi wmurowany ku pamięci, artyleryjski pocisk z I wojny światowej.

Już mocno zeżarła rdza puszki, przysypane ziemią w okopach, po „tuszonce", kiedyś ze srebrzystozłocistej blachy, z napisami w języku angielskim, „wieprzowina z tłuszczem, dar Narodu Amerykańskiego, nie do sprzedania i wymiany". Po latach uzyskał Zygmuś wiedzę, że amerykańskie konserwy, ciężarówki, gaziki, samoloty i inne wojenne dobro, było ceną za odwlekanie otwarcia drugiego frontu. Ceną udziału w zwycięstwie, wujka Józia, oraz ZSRR, było życie wielu radzieckich żołnierzy na wojnie i wielu cywilów różnej nacji po wojnie.

Po deszczu Zygmuś z Felusiem zbierali wokół zamku skorupki, stare gwoździe i guziki. Raz odkryli na skraju zbocza ludzki szkielet, fragmenty kości odsłoniła woda, był to nieduży mężczyzna, zgarbiony być może od wybuchu, który na długie lata, przykrył jego ciało ziemią. Nikt go pewnie nie szukał. W okolicach czaszki poległego żołnierza Feluś znalazł mały prawosławny krzyżyk z tandetnego metalu.

Ludzie znajdowali różne skarby, w ruinach starych piwnic znaleziono miedziane butle z zaworami, służyły do wytwarzania wody sodowej. Kolega Edek, na strychu starego domu, znalazł za kominem polską flagę na pięknym toczonym kiju, ze zdobnym szpikulcem oraz maleńki dziecięcy trzewiczek pięknej roboty, dziwnie zgnieciony. Franek znalazł walizeczkę fibrową pełną zakładek do książek i szkaplerzyków. A sąsiadka Zygmusia kupiła, nie wiadomo za co, dom w rynku, tak długo opukiwali ściany domu, że kupili kilka kawałków pola, place budowlane, a dom szybko sprzedali. Ludzie mówili, że to skarb z tej wojny, a inni że jeszcze ze szwedzkiego najazdu.

Jeleń, mleczne bary, konie i krowy

Bar mleczny to była ciepła zimowa oaza miasteczka. Czasami wypijał tu Zygmuś ulubione kakao, ale częściej marzył że może wypić. Kakao było drogie, pachnące i gorzkawe. Jadłospis baru: ciepłe mleko, naleśniki z serem, fasola, pierogi ruskie, pierogi z serem, kluski z serem, kluski z masłem, kasza gryczana, kasza manna na mleku, płatki owsiane na mleku, twarożek ze szczypiorem, jajecznica, jajko na twardo, bułka z masłem, bułka sucha, rogaliki. Bar mleczny był nad Wisłą nieopodal poczty, a potem w rynku, nieopodal kamienicy, na której narożniku rzeźbiona dumna Salome na tacy trzyma głowę Świętego Jana. W pobliżu piekarni pod koniec dnia, unosił się roz-

koszny zapach chleba, tak było jeszcze w XX wieku. W wieku XXI w pobliżu piekarni śmierdzi polepszaczami. Dawniej bywało, że po chleb do sklepu stało się w długich ogonkach, a wjazd chleba na rynek elektryzował mieszkańców. Wóz do wożenia pieczywa z piekarni „Zgoda" miał kształt kibitki, pojazdu konnego używanego za caratu do przewożenia elementu wywrotowego, na Sybir. Pojazd ten był dobrze znany powstańcom listopadowym. Kibitka składała się z pudła obitego blachą wewnątrz, zamykanego z tyłu, z przodu było siedzenie furmana, który dzierżąc lejce siedział na ławeczce, nad głową miał lekko zaokrąglony daszek. Wysokie podwozie zaopatrzone było w cztery koła na gumach. Kibitka była ciągnięta przez jednego konia i miała ulubiony kolor socjalizmu – szary. Na ten kolor malowano ściany ustępów, poczekalni i lamperie urzędowych korytarzy. Podłogi urzędów malowano na kolor jasny orzech, taka jasna sraczka. Eleganckim kolorem podłóg był buraczkowy. Biały stosowano tylko do okien.

Ulica Zygmusia to było kilka domów, w każdym domu koń, krowa, świnia, furmanka i sieczkarnia – urządzenie do cięcia słomy dla konia. Sieczkę łatwiej się zwierzętom jadło. Kartofle gotowano w saganach na płycie kuchennej, a potem tłuczkiem ubijało się dla świń, razem z osypką i łobodą – takim chwastem witaminowym. Jak żeliwny garnek, zwany saganem, pękł nie daj Boże, nie wyrzucano go, tak jak garnka glinianego. Czekano na druciarza, rzemieślnika domokrążcę, który umiejętnie drutem obwiązywał garnek, a tajemnym klejem sprawiał, że nie przeciekał.

Sąsiadka, pani Łysiowa miała dwie białe kozy. Koty mieli prawie wszyscy. Pani Jędzalska biła męża, a on w odwecie maltretował konia. Była to bardzo skąpa kobieta, zbierała pieniądze papierowe. W tych czasach nie było plastikowych torebek, więc banknoty chowała w wysuszonym świńskiem pęcherzu, zwanym mecherą. Pęcherz mimo wysuszenia miał jeszcze zapach tłuszczu i to on zwabił do szafy kota. Głodny biedak wyniósł zdobycz na wzgórze i rwąc na strzępy, usiłował zjeść. Banknoty wiatr rozniósł pomiędzy śliwkowymi drzewkami i tak dotarła do sąsiadów wiadomość, że Jędzalska mimo biedy sypia na pieniądzach. Teraz jej posłanie widzieli wszyscy.

Dookoła Świata i pomidory Wacusia

Wacuś pojawił się w życiu Zygmusia wcześnie, zaimponował mu tapczanem, a właściwie jego zawartością. Mieszkali z bratem ,siostrą i rodzicami w suterenie, wchodziło się do niej zagraconym i ciemnym korytarzem. Najpierw była kuchnia z małym okienkiem pod sufitem, dalej przeszklone drzwi prowadziły do sporego pokoju, w najlepszym miejscu pod oknem był tapczan, obok tapczanu kwietnik z asparagusem, w tapczanie znajdował się Wacusiowy klucz do świata, ogromne ilości tygodnika „Dookoła świata", było tego ze trzydzieści, czterdzieści egzemplarzy. Wacuś był dzieckiem chorowitym, dbała o niego cała rodzina, przede wszystkim mama, bardzo pobożna, pilnowała by nie opuszczał mszy niedzielnej. Wacuś jednak bardziej był spragniony wiedzy o świecie niż eucharystii. Chadzał razem z Zygmusiem i Felusiem w czasie mszy na spacery, jeśli nie było pogody szli do kościoła, lub do Adasia, który był sierotą i miał tolerancyjną ciocię. Zwierzali się sobie z różnych niepokojów szkolnych i przemyśleń erotycznych. Potem była udręka polowania na koleżankę czy kolegę aby dowiedzieć się, co mówił ksiądz na kazaniu. Wacuś bywał kontrolowany. Zygmuś rzadziej. Wieczorem chadzali na rynek. Wacuś jako dziecko słabowite musiał zjeść kolację, matka kroiła dla niego duży talerz pomidorów, posypywała cebulą a potem na to kwaśna śmietana. Wacuś był dzieckiem marnej postury, ale zeżreć lubił i potrafił. Po skończonym posiłku chłopcy niespiesznie szli na rynek.

Na rynku ci trzej muszkieterowie mogli stać godzinami, rozważając losy świata, snując marzenia, obserwując psy, wypatrując dziewczyn, a w wolnych chwilach przeglądając nędzne, ale dobrze oświetlone sklepowe wystawy. Ulubionym sklepem Zygmusia był sklep obuwniczy. Tam pachniało gumą, bo większość towaru stanowiły gumowce i gumofilce, bywały pionierki i półbuty czarne – te były przydatne na wesele i do trumny. Jednakowoż bardziej te towary nadawały się do oglądania, niż do noszenia. W sklepie z pasmanterią, były igły, naparstki, szaliki i pobudzające wyobraźnię staniki, damskie pończochy, paski do pończoch, majtki i guma do majtek oraz nici i przyzwoity wybór guzików.

Atrakcją wizualno-zapachową były dwa kioski. Tam sprzedawano papierosy: tańsze"MDM", "Płaskie", drogie „Wawele", aromatyczne „Mewy", duszące „Mentolowe", śmierdzące „Sporty" i „Mazury"; bywały pachnące papierosy tureckie „Sułtan" i amerykańskie „Madison", opakowane w sreberko bułgarskie „Witosha" i „Rila", oraz radzieckie „Kazbeki", piękny wilczur na czerwonym tle zdobił papierosy „Drug". Wszystkie miały piękne pudełeczka. Były na nich widoczki, tłoczone i złocone napisy, przez celofan wyczuwało się rozkoszny zapach. Rozsmakował się Zygmuś w tych pysznościach. Na początku dym dusił, ale szybko palenie stało się drugą – oprócz cukierków „kukułek" łatwodostępną przyjemnością, niedrogą i zakazaną. Dwie czynności były przewidziane w miejscach publicznych tamtego czasu – palenie i plucie, w urzędach zakładach pracy oraz jednostkach leczniczych zawsze można było liczyć na popielniczkę i spluwaczkę. Po latach Zygmuś podróżując do Chin przekonał się, że papieros nadal może być luksusowym smakołykiem, panna młoda rozdawała gościom papierosy na ślubnej uroczystości, a następnie podawała ogień. W Chinach w latach 80-tych spluwanie było powszechne, palenie należało do luksusów, a ubrania starannie łatano dzięki kartkowemu przydziałowi materiału na łaty.

Kufer Babci i szkiełko, niedola Steni.

Babcia Zygmusiowa, Wiktoria, była typem Herod Baby, urodziła się pod koniec wieku XIX, w młodości miała skłonności lewicowe, należała do antycarskiej organizacji i razem ze wspólnikami, rzucała domowej roboty bombami w kozaków. W czasie II wojny światowej okupanci wywieźli ją do Niemiec, pracowała w fabryce zbrojeniowej, składała zapalniki do bomb lotniczych, idąc do pracy nabierała do kieszonek ubrania drobnego suchego piaseczku, który dosypywała do precyzyjnych detonatorów przed ich skręceniem. Zauważony sabotaż

był karany tylko w jeden sposób. Ale babcia Zygmusia była odważna, miała też złote i zręczne ręce, dziergała nimi na szydełku różności. Była kobietą postawną, wielu mężczyzn widziało w niej piękność. Po powrocie z Niemiec zamieszkała u Steni, miała swoje żelazne łóżko, pierzynę, a w rogu pokoju za kotarą stał kufer z jej dobytkiem. Były takie chwile, że układała swoje rzeczy, a Zygmuś lubił ją podpatrywać. Miała malowane niewielkie sześcienne pudełko z napisem Robert Burns, było w nim dużo szydełek i igieł, wyjmowała z niego czasami powiększające szkiełko poniemieckie w szyldkretowej oprawie i skórzanej pochewce. Zygmuś z rozkoszą myślał, że kiedyś odziedziczy to cudo i będzie wypalał promieniem słonecznym dziury w papierze. Była także zielona wojskowa niemiecka latarka ze zmienianymi kolorami światła. Babcia siedziała godzinami w fotelu i szydełkowała: serwety, serwetki, serweteczki, rękawiczki i modne wielokolorowe mycki na głowę.

Pierwszy mąż babci był krawcem miarowym, zajmował się szyciem mundurów oficerskich, ornatów, ubiorów biskupich i kardynalskich. Umiał pięknie rysować, największym jego skarbem była księga mundurów i ubiorów. Niestety, zaginęła w czasie I wojny światowej. Podobno był człowiekiem dobrym i szył wspaniale, dwa lata po ślubie zabiła go zakaźna choroba. Jedyna córka Stenia znała go ze zdjęć i wspomnień.

Drugi mąż babci był także krawcem, ale marnym, umiał szyć tylko spodnie, lubił też mieć dzieci, małej Steni przybyło troje rodzeństwa w krótkim czasie. Spodnie szyło wielu krawców, ojczyma zajmującego się prokreacją denerwowała konkurencja i leniwa pasierbica, jej oczywistym obowiązkiem, stało się zajmowanie się malutkim siostrami, i braciszkiem, miała wtedy lat dziesięć.

Chleba naszego powszedniego daj nam Panie, z cukrem – jeśli był.

W kolejkach realnego socjalizmu stało się na zmianę, jak kto miał się z kim zamienić. Najdłuższe były kolejki po cukier, który rzadko bywał, częściej bywał chleb. W kolejce było ciekawie, oglądało się towary na półkach, pyszne rybne konserwy, klopsiki domowe w słoiku. Ogromny wybór budyni i kisieli, musztarda, herbata ulung i gruzińska. Drożdże w kostkach, landrynki w kartonie. Tabliczka czekolady Wedla mleczna i gorzka 18 złotych sztuka. Majątek. Makaron muszelki, ocet spirytusowy i w pięknej skrzyneczce z cienkich deseczek marmolada owocowa twarda, zawinięta w nasączony słodyczą soku pergamin, na skrzyneczce etykietka z rumianym jabłuszkiem, żółtą gruszeczką i granatową śliwką. Była też marmolada miękka w wiaderku z taką samą etykietką. Konsystencja i kolor jej był - jak mówiono - nieprzyzwoity. Masło mleko i śmietana były na targu i bardzo drogie. Masło kupowało się w małej ilości, małą osełkę w liściu chrzanu, dociekano czasami czy w środku osełki nie ma kartofla, śmietana bywała z mąką, a jajka oglądane były pod światło. Kury były mizerne, koguty żylaste, a kurczęta małe. W sklepie był dorsz wędzony mniej śmierdzący i surowy mocno śmierdzący. Nic dziwnego, bo z Bałtyku miał do nas daleko. Lubił Zygmuś biały ser i wędzonego dorsza, uwielbiał szprotki wędzone, zajadał się w niedzielę pysznym salcesonem i podgardlaną. Salceson, wiadomo, był ze świńskiego łba, a do podgardlanej nie wiadomo co kładli, lepiej było nie dociekać, ale była smaczna dostępna i nikt ciężko po niej nie chorował.

Artyści i letnicy

Czytanie – to było najłatwiejsze zaspokojenie snobizmu, przynależności do odległego i istniejącego gdzieś świata i jego mieszkańców letników. Zygmuś i jego koledzy mieli szczęście, urodzili się w „perle renesansu nadwiślańskiego". Latem było dużo młodych letniczek, Zimą zaś czytali na wyścigi, a czasem na oślep: Conan Doyle'a, Johna Steinbecka, Sinclera Lewisa, Fiodora Dostojewskiego, Thomasa Manna, Borysa Polewoja, Marco Polo, Colina Wilsona, Jeana Paula Sartre'a, Janusza Meissnera, Edgara Lee Mastersa, Alberta Camusa i Icchaaka Pereca. Mając mierną orientację w kulturze, przechowywali wiedzę i wrażenia w cudownych umysłowych bałaganach inspirujących potrzeby i pragnienia.

Przez całe dzieciństwo i młodość towarzyszyły im śliwki wędzone, orzechy i jabłka. Sady nad Wisłą i małe uliczki jesienią były zadymione, suszono śliwki, ale także jabłka i gruszki. Nad dołem w ziemi w kształcie litery V była drewniana szuflada, której dno było przewiewne, zrobione z leszczynowych patyków, dym z tlącego się ognia unosił się, suszył i nasączał aromatem śliwki i gruszki, a my je podkradaliśmy pod nieuwagę właścicieli. Lassy, bo tak się to nazywało, stanowiły utrzymanie wielu biedaków, ważne było pilnowanie, by śliwki się nie spaliły, nie zagotowały, bywało że niektórzy spali w dole obok ognia pilnując go, ci byli dla nas niebezpieczni. Podczas wietrznej pogody biegliśmy pod orzechy włoskie, które ku utrapieniu właścicieli spadały poza płoty, na uliczki i dróżki. Mieliśmy pełne kieszenie orzechów i ze skorup scyzorykami wydłubywaliśmy chrupiące pyszności. Po wielu latach, gdy komuna upadła orzechy gniją w sadach, a te na dróżkach są rozgniatane kołami samochodów, śliwki niezbierane, gniją i usychają na drzewach. Tylko Misianio i ja podnosimy orzechy, i zrywamy śliwki. Nikt na nas nie krzyczy, i nie ma lassów, z których można by podebrać śliweczkę. A może widok starego dziada z rowerem, który coś zbiera nikogo już nie dziwi.

Nieodwołalny koniec dzieciństwa

Jego pojawił się z festiwalem młodzieży. W końcu lipca 1955 roku, Pałac Kultury i Nauki, imienia Józefa Stalina był ukończony. Olśniony kryształowymi żyrandolami i marmurami, Zygmuś zakupił w pałacowym kiosku notes do autografów. Nieprzebrana liczba cudzoziemców krążyła po pałacowych alejkach, a posiadacze notesów polowali na podpisy zagraniczników, którzy zjechali tu walczyć o pokój – w dwa lata po śmierci Stalina. Oczy radują kolorowe czapeczki uzbeków, tiubetiejki armeńczyków, tureckie fezy, arabskie chusty, hinduskie turbany, białe koszule z czerwonym krawatami – to komsmolcy, nasi

górale, czarnoskórzy afrykanie w kolorowych bubu, piękne Chinki i Hinduski - wszyscy defilują, są w zasięgu notesów gotowi do wpisywania nazwy egzotycznych krajów. Nad wszystkim unosi się gołąbek pokoju. Niewątpliwe święto młodości. Wrogowie i malkontenci twierdzili, że niepokojąco mocno ruszały się w nocy krzewy w parkach, i słychać było radosne pojękiwania. Trzeba przyznać, że w niecały rok po festiwalu, pojawiły się na alejkach parkowych wózeczki z kolorowymi niemowlętami. Rasizm kojarzony był z imperializmem, internacjonalizm był festiwalowym koniem trojańskim. Zdewaluował się wierszyk z elementarza „Murzynek Bamboo w Afryce mieszka, czarną ma skórę ten nasz koleżka". Murzynek Bamboo mieszkał między nami, wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, jak obraźliwym nazwaniem jest bambus – czyli po angielsku bamboo. Przed II wojną Liga Morska i Kolonialna miała być drogą do kolonii dla Polski, po wojnie było to w pewnym sensie kontynuowane, w wydaniu internacjonalistycznym, liczni przedstawiciele Azjii i Afryki studiowali medycynę, ekonomię i różne inżynierie.

Socjalizm, czyli droga do komunizmu miał się dobrze, wielbili go nieobowiązkowo znani artyści z Zachodu jak Pablo Picasso, Jean Paul Sartre wraz z Simone de Bauvoir, a wielu innych wpatrywało się w słońce komuny. W Polsce zbliżał się rok 1956, w Poznaniu robotnicza milicja strzela do robotników. Robotniczy protest jest wynikiem drożyzny i komunistycznego ucisku, ale „Trybuna Ludu" cierpliwie wyjaśnia rolę w tym wydarzeniu niemieckich odwetowców i imperializmu amerykańskiego. Imperializm niebawem zostanie ukarany, cukier kubański będzie słodził napoje nad Newą, w Charkowie i Magnitogorsku. W górach Sierra Maestra brodacze szykują rewolucję. Cuba Libre pozostanie libre głównie w szklance, jako coca-cola z rumem. Na Kubie, z libre będzie się kojarzyć libreta – tak Kubańczycy nazywają kartkę na towary reglamentowane. Trzymać ich będzie Comandante za mordę – na początku jeszcze wesołą, a potem coraz smutniejszą. Przydomek Comandante coraz częściej będzie zastępowany przydomkiem Wariat. A najbliżsi towarzysze Lidera Maximo przepadną, przystojny Cienfuegos z samolotem, dystyngowany Matos w więzieniu, a rewolucyjny piękniś Che w Boliwii. Przy nim blisko ciągle Raul – brat, i garść dyspozycyjnych aparatczyków, jak to u dyktatorów niepewnych niczego i lękających się nawzajem. W czasie świąt, chwilę rewolucyjnego zniewolenia tancerze celebrować będą na scenie rządowej baletem „Nasze wojny wyzwoleńcze" .

Codzienne mozoły i zakazany seks

Odrabianie lekcji kojarzyło mu się z odrabianiem pańszczyzny. Jedną z niewielu szkolnych przyjemności było oglądanie kształtów koleżanek w strojach gimnastycznych. Z powodów moralnych i higienicznych lekcje wychowania fizycznego odbywały się osobno, aby libido nie rozpraszało uwagi. Uwaga mimo to była skierowana na tyłeczki i cycuszki koleżanek, niestety mało wyeksponowane.

Seks był zakazany jako temat i problem. Narządom płciowym pozostawiono przyzwolenie na służbę wydalania z organizmu szkodliwych substancji i niestrawionych resztek w przybytkach brudnych i śmierdzących. Sfera westchnień, muśnięć sfer erogennych i niepokoje erekcyjne były zakazane pod karą obniżenia stopnia z zachowania. Socjalistyczne państwo kwalifikowało filmy, jako b.o (bez ograniczenia wieku) – zazwyczaj nudne dyrdymały, od lat 14 gdzie ktoś na kogoś spojrzał, od 16 gdzie z jakiegoś niejasnego powodu trzymano się za ręce, no i od 18 najciekawsze kawałek damskiej nogi czasem z podwiązką, wyzywający rowek w dekolcie, wystoperczone prowokacjnie biusty, namiętne usta i zionące pożądaniem męskie spojrzenia, czasem było leżenie w łóżku we dwoje. Te obrazy dla licealistów były zakazane podobnie jak picie kawy na siedząco i w dymie. W filmach radzieckich i enerdowskich była zwiewność, poświęcenie, wierność i ideały, a w filmach amerykańskich strzelanina, cygara, whisky. Dominowało tam wyuzdanie, połączone z cynizmem. No i była oczywiście pogoń za pieniądzem, ganiali ci bogatsi – a biedacy marli z głodu na ulicy.

Rozstanie z udręką

Maturę napisał chińskim piórem pożyczonym od Felusia, marki Wingsung, ze złoconą stalówką i skuwką. Mimo poważnych obaw zdał maturę, ale świadectwo nie było olśniewające.

Był wolny od szkolnej niewoli. Aby nie łupać kamieni na prowincjonalnej drodze, udał się w świat, do Warszawy. Aula Politechniki Warszawskiej olśniła go. Do tej pory myślał, że nie ma nic piękniejszego od kazimierskiej fary. Teraz ujrzał świątynię z białymi tralkami balkonów, wysokie drzwi dziekanatów, piękne studentki i biblioteczny szum nauki wokół. Miał pewną protekcję rodzinną na wydziale inżynierii sanitarnej, zdał egzamin, ale zbyt słabo, by się dostać. Formularz wypełnił zręcznie, tak aby dopisano mu punkty za robotnicze pochodzenie, które mu się nie należały i przynależność do Związku Młodzieży Socjalistycznej, czego nie sprawdzano. Jego atutami było także półsieroctwo, małomiasteczkowe pochodzenie i udokumentowana bieda. Czynnik polityczny w komisji brał to pod uwagę,więc szanse zamożnego aroganckiego inteligenta były małe. To małomiasteczkowe zalęknienie i niepewność pozostały z nim na zawsze. Nawet wtedy, gdy w europejskich stolicach odbierał na scenie nagrody festiwalowe.

W 1960 roku zbyt wielu pragnęło studiować inżynierię klozetów i oczyszczalni ścieków. Były wolne miejsca na wydziale komunikacji. Z braku laku został przyjęty. Specjalność – budowa dróg i lotnisk. Marzył w dzieciństwie o lotnictwie, ale miał dziurawe zęby, więc lotniska były dla ambicji pewnym wyjściem. We wrześniu 1960 roku wyjechał z miasteczka autobusem PKS marki Leyland do Warszawy. Każdy powrót na Wielkanoc, Boże Narodzenie, Święto zmarłych, na wakacje był radością powrotu pod kopułę nieba, nad taflą Wisły. Wtedy jeszcze nie wiedział, że często będzie wracał, dzielić się radościami i pocieszać po upadkach przez całe życie, aż do momentu kiedy pozostanie na zawsze.

Jak wyjeżdżał z domu matka go pytała o dwie rzeczy, czy tam w świecie nie głoduje, i czy ma na pewno chusteczkę.

[...]

Leszek Długosz

DAWNO NIE BYŁO MNIE W KAZIMIERZU...

– I w Kazimierzu pewnie też się musiał zmienić świat ?
Choć wąwóz pewnie zbiega jak i kiedyś
I Wisła od Janowca zmierza
I latem płyną białe żagle ponad Rynkiem
I Rynek stoi, tak jak stał ?

Szum gwar przy stołach niezmieniony
– Lecz wokół blatów inne twarze
I nad szklankami obcy śmiech...
Ktoś Bliski, po imieniu szepnął obok
– Z daleka ?
– Z głębokiej studni ktoś zawołał nas ?

Druhowie, kompanioni moi
Pod powiekami ze mną jeszcze dziś -
Panny madonny kazimierskie, legendy tamtych lat
Z sezonów do albumów odłożonych
W rozbłysku szkła poznaję
– Znów słyszę was ?
– Ze śniegiem niegdysiejszym
– Z wiosną niejedną stąd, szaloną
– Z dawnym refrenem, w sepię was poniósł
Niegdysiejszy wiatr ...

Ach w Kazimierzu, w Kazimierzu
– Wszędzie...
– W wielkim, czy gdzieś tam w małym świecie
Na ten sam sposób, w tych samych ramach
Odmienia malowidło czas

I tylko – w mniejszej skali
(Więc w miniaturze kazimierskiej jest inaczej ?)
Mocniej się uwyraźnia zmiana
I utrata każda ...
Po latach znów na Rynku w Kazimierzu
Siedzimy uśmiechnięci
Smutnie świadomi dziś
- Do innej wersji płótna, do dawnego kadru
Przeznaczył nas tu widać kiedyś
Mistrz – ów Malarz...
Ćmi serce żal – jak blaty stołów, kornik
– W niewielkim Kazimierzu, nie mniejszy przez to wcale ...

(Kraków, w czerwcu 2014)

Ze wspomnieniem Jurka Gnatowskiego, Stefana Kurzawińskiego
i wszystkich Bliskich w Kazimierzu
- Kiedyś tam ze wspólnego kadru...

Ryszard Chojecki

POJADĘ DO KAZIMIERZA

Tam będzie można
poskarżyć się na cyklofrenię,
która bezkarnie pustoszy
dusze i ciało.

I niech poleją się łzy czyste:
na piękną młodość w pięknej scenerii,
na utraconą miłość,
na wszystkie utraty,
na przemijanie.

Tu każdy widok
wart wszystkiego
i jak uśmiech bezcenny.

I wiem, co utraciłem.
nie wiem ile pozostało
z tych lat darowanych?

Pojadę do Kazimierza na wiosnę.
Na wielkie szczęście jest – i czeka.

(14.05.2012)

KAZIMIERZ W NOSTALGICZNYM, KOLOROWYM ŚNIE

Śnię pejzaż kolorowy
z marzeń i tęsknoty
i widzę mgłę nad Farą
biel, zieleń i błękit
roślinny raj wąwozów
dróg lessowych popiół
i pszeniczne królestwo
przez słońce rządzone.

I znowu widzę rzekę
i piasek poranny
gdy w koronkach zielonych wiklin różowieje
lipcowego południa dostąpię ołtarza
i zobaczę Janowiec na wysokim brzegu.

Jak mogłem żyć tak długo z dala od tych cudów
darowanych mym oczom i sercu na zawsze
tak radość swą spopielić
młodości się zaprzeć
i wiary nie dochować tym wzgórzom zielonym?

JEZIORSZCZYZNA

Mamie

Bądź ze mną do końca
wiosno strojna w tamte kwiaty,
szumie dębu nad studnią,
sadzie jesiennych owoców,
lipo młodsza od czarnoleskiej,
słoneczny promieniu wędrujący po pokojach,
chłodzie cienistych wąwozów,
pyle dróg dookolnych,
południe urodzaju, ziół, szlaku do szkoły w Kazimierzu.

Tak mówię czule po latach, jakbym wciąż jeszcze tam był:
bądź ze mną kraino z tamtych tysiąca dni i nocy.

Bo tylko tak – bogaty nostalgią -
potrafię odnieść triumf nad wiarołomstwem czasu
i w złej godzinie przywołać najlepszy ze snów
długim i szeleszczącym zaklęciem: Jeziorszczyzna

DEDYKACJA

Dziewiętnastoletniej J.S.

Dedykuję ci noc bezsenną
jedną z wielu
i sen o kolorowym Kazimierzu,
i tamto młode szczęście
od samego patrzenia
w ciemne oczy Klary,
w jasne oczy Marii
(twoich rówieśnych)
z mojej klasy.

Dedykuję ci szczodrze
kwitnące lipowe wąwozy,
Wisłę w porannej mgle,
białe kamienie, czerwone dachy,
błękitne niebo i słońce.

Szkolną 17,
gdzie przedwojenna primadonna
operetki
boleśnie uczyła mnie życia.

Wszystkie noce bez sensu,
bo bez miłości,
w których ugrzęzłem w bagnie cyklofrenii.

Nie wiem czy jeszcze wypłynę
na jasną łąkę życia,
czy powiem: życie jest darem?

(15.10.1912)

WARUNEK

Będziesz jak Beatrycze
zatopiona w bursztynie wiersza.

Zabiorę cię do Kazimierza
szukać świadków młodości.

Pokażę ci piękno,
do którego tęsknię od pół wieku.

Tylko mi siebie nie wzbraniaj.

(02.09.2012)

ZA WCZEŚNIE

Zaczekaj czasie
jeszcze nie jestem gotów.

Chcę zobaczyć pole kwitnącego rzepaku
i żeby wiatr przywiał mi zapach ziół z Kazimierza.

Poczuć na twarzy dotyk ust,
by jeszcze raz uwierzyć w miłość.

Jeszcze za wcześnie – czasie.

(29.01.2010)

Ryszard Chojecki urodził się 24 września 1939 roku we wsi Jeziorszczyzna k. Kazimierza Dolnego. Tam również spędził dzieciństwo i młodość. Studiował historię na KUL-u oraz Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. W 1963 roku przeniósł się na stałe do Łosic, gdzie pracował jako nauczyciel i bibliotekarz szkolny. Zajmował się też grafiką (linorytem), popularyzacją wiedzy o regionie oraz krytyką literacką.

Wiersze R. Chojeckiego były drukowane m.in. w „Kamenie", „Kurierze lubelskim", „Słowie Podlasia", „Radarze", „Kresach Literackich", „Podlaskim Kwartalniku Kulturalnym", „Akcencie". Ponadto w wielu antologiach. Wydane zostały dotychczas cztery tomiki poetyckie: „Aż słowa" (1989), „Nostalgia i święta" (1997), „Paszport na godzinę X" (2003) i „Za dużo tych lat bez lata" (2003), dobrze przyjęte przez krytyków i czytelników.

Ich autor brał udział w Konkursie im. R.III Mikoszewskiego p.h. „Ziemia Najbliższa" zdobywając I i II nagrodę oraz wyróżnienie. Zwyciężył też kilkakrotnie w środowiskowych turniejach jednego wiersza (Biała Podlaska). Jego wiersze były prezentowane na antenie „Radia dla Ciebie" (8-8-1999 r.).

Debiut prasowy R. Chojeckiego miał miejsce w grudniu 1959 roku w dodatku tygodniowym („Kultura i Życie") lubelskiego „Sztandaru Ludu". W 2009 roku, w grudniu, minęła 50 rocznica pracy twórczej R. Chojeckiego.

Waldemar Siemiński, Ewa Leszczyńska-Pietrzyk

WSPOMNIENIE O DOKTORZE LESZCZYŃSKIM

Doktor w swoim kazimierskim gabinecie

Stanisław Franciszek Leszczyński urodził się 17 września 1915 r. w Warszawie jako syn Wincentego i Marii z Pawłowiczów.

Ukończył w 1934 roku państwowe gimnazjum miejskie im. Króla Władysława IV w Warszawie zdając egzamin dojrzałości typu humanistycznego.

W okresie od października 1934 do marca 1940 r. studiował na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego Józefa Piłsudskiego. Niemcy, którzy zawiesili działalność polskich uniwersytetów, pozwolili złożyć końcowe egzaminy dyplomowe (do 15 marca 1940 r.) jedynie ostatniemu rocznikowi Wydziału Lekarskiego. Zdało je 7 studentów, wśród nich Stanisław Leszczyński.

Jeszcze jako student, w czasie kampanii wrześniowej, pracuje w Szpitalu Ujazdowskim, jednym z najlepszych szpitali wojskowych. W czasie oblężenia Warszawy szpital, mając przeszło 2 tysiące rannych, musiał pracować w ekstremalnie ciężkich warunkach – bez światła, z przerwami w dopływie wody, pod nieustannym ostrzałem i bombardowaniami.

Niemal od pierwszych dni okupacji w Szpitalu Ujazdowskim zaczyna się działalność konspiracyjna. Na wieść o walkach partyzanckich Wydzielonego Oddziału Wojska Polskiego dowodzonego przez majora Henryka Dobrzańskiego „Hubala" ze szpitala zaczęto wysyłać dla oddziału materiały opatrunkowe, postanowiono też wysłać lekarza. Wybór padł na dr Leszczyńskiego. Wiadomość o rozbiciu Hubalczyków i śmierci Majora dotarła do dr Leszczyńskiego w ostatniej chwili. (Stanisław Leszczyński „Szpital Ujazdowski w okresie wrzesień 1939 – lipiec 1940" (wspomnienia), Archiwum Historii i Filozofii Medycyny 1987, 50, 2)

UNIWERSYTET WARSZAWSKI

WYKAZ WYKŁADÓW I ĆWICZEŃ

Numer albumu 44767

Stud. Wydz. Lekarskiego

Indeks

DYPLOM LEKARZA

LEKARZA,

Dyplom lekarza

W Szpitalu Ujazdowskim pracowała jako wolontariuszka studentka Warszawskiej Szkoły Pielęgniarstwa piękna Anna Niemczyńska. Opiekowała się, między innymi, swoją ciężko chorą matką, ewakuowaną transportem wojskowym z Grodna zajętego już przez Sowietów (przyszły teść dr Leszczyńskiego, major Roman Niemczyński był specjalistą od obrony przeciwlotniczej i organizował takie jednostki w Grodnie, Dęblinie, a w momencie wybuchu wojny – w Katowicach). Młody lekarz Stanisław Leszczyński poznaje Annę. W 1943 r.,16 kwietnia ona kończy Szkołę, 27 kwietnia w Wielkanoc – pobierają się.

Gdy w Warszawie, gdzie Stanisław Leszczyński angażuje się w działalność konspiracyjną, „grunt pali mu się pod nogami" zostaje skierowany do Bobrownik na Lubelszczyźnie.

W okresie od sierpnia 1940 do marca 1941r. pracuje w Szpitalu św. Karola w Puławach, a od lipca 1941 jest lekarzem w Kazimierzu Dolnym. Tu prowadzi praktykę lekarską do września 1944 roku, kiedy to, zatajając swoją przynależność do Armii Krajowej, zostaje wcielony (październik 1944r.) do V Brygady Saperów Wojska Polskiego. W plutonie sanitarnym zostaje ordynatorem izby chorych. W styczniu 1945r. V Brygada Saperów rozminowywała warszawski Żoliborz. Po miesiącu została przerzucona na tzw. Linię Gotów – umocnień niemieckich w okolicach Pułtuska i Łomży, potem do Ełku. Saperzy rozminowywali teren aż po Braniewo, Gołdap, Olecko, Kętrzyn, Gdańsk. 80% składu Brygady zginęło. Było mnóstwo rannych. Lekarze brygady pracowali niezwykle ciężko, a jednocześnie udzielali pomocy miejscowej ludności Mazur, wśród której wybuchła epidemia duru brzusznego.

Dopiero w 1946 roku żołnierze zaczęli wracać do domu. W kwietniu 1946r. roku Stanisław Leszczyński pojawia się w Kazimierzu i rozpoczyna okres swojej pracy medycznej, który śmiało można nazwać pracą od podstaw, pracą, która stworzyła fundament nowoczesnej służby zdrowia w mieście.

W tym okresie często udziela pomocy rannym w wyniku walk między niepodległościowym podziemiem a komunistyczną władzą.

Jest wielokrotnie przesłuchiwany przez funkcjonariuszy urzędu bezpieczeństwa.

Ten drugi kazimierski okres działalności Pana Doktora trwał do końca 1962 r., kiedy to rodzina Leszczyńskich przenosi się do Warszawy.

Kazimierzacy do dziś pamiętają, że na ratunek ze strony doktora Leszczyńskiego można było liczyć w dzień i w nocy, w każdej godzinie całej doby.

Irena Siła-Nowicka w swoich wspomnieniach zamieszczonych w Brulionie Kazimierskim (Jesień 2004) tak charakteryzuje Doktora od tej strony: „Doktor Stanisław Leszczyński znany był z tego, że nigdy nie ruszał się z domu bez walizeczki z podręcznymi lekami, bo ktoś może potrzebować natychmiastowej pomocy. Ileż to razy wzywany do chorego wychodził dyskretnie, bez ostentacji ze spotkań towarzyskich czy imienin po to, by jechać końmi do jakiejś odległej wsi – bez względu na pogodę, czy porę roku. Mieszkańcy wsi właśnie w niedziele i święta najchętniej wzywali lekarza..."

Doktor z żoną i córkami: od lewej Małgosia, Ewa i Hania

Doktor jednocześnie stopniowo tworzył kazimierski system opieki zdrowotnej. Na ulicy Lubelskiej powstała przychodnia zdrowia. Na jej piętrze usytuowano izbę porodową (zaczęła działać od 1948 roku). Izba Porodowa w Kazimierzu była pierwszą na Lubelszczyźnie. Od 1948r. do końca 1960r. odbyło się w niej 3300 porodów. Dzięki Izbie zlikwidowano w okolicy tzw.„babkarstwo" – powód wielu zgonów noworodków.

W przychodni zorganizowano poradnie dziecięce (D i D1). W ciągu 3 lat w okresach letnich działały tzw. salki przeciwbiegunkowe dla niemowląt (mały szpitalik dziecięcy). Ilość zgonów na biegunki letnie niemowląt radykalnie zmalała. Po 3 latach funkcje kazimierskich salek przeciwbiegunkowych przejął oddział dziecięcy zorganizowany w szpitalu w Puławach (Stanisław Leszczyński „Salki przeciwbiegunkowe w walce z biegunkami letnimi u niemowląt na wsi" Pediatria Polska Nr 8/54)

Dzięki izbie porodowej, poradniom dziecięcym oraz salkom przeciwbiegunkowym liczba zgonów noworodków i niemowląt

Legitymacja członkowska Izby Lekarskiej Lubelskiej wydana w 1946r., na pieczęci orzeł w koronie

w widoczny sposób spadła (w 1957 r. na 297 odebranych porodów – 6 zgonów noworodków, w 1958 r. na 254 porody liczba zgonów – 0, w 1959 na 260 porodów 3 zgony i w 1960 r. 214 porodów i 3 zgony).

Po pewnym czasie częścią przychodni stała się założona przez dr Leszczyńskiego poradnia przeciwgruźlicza i gabinet radiologiczny z aparatem rentgenowskim zdobytym przez Doktora z wojska – absolutna nowość w tych stronach. Wówczas gruźlica była plagą społeczną.

Szczególnym zainteresowaniem naukowym oraz codzienną troską dr Leszczyńskiego była gruźlica i jej zapobieganie u dzieci. Zaowocowało to opublikowaną w Pediatrii Polskiej (nr 1/55) pracą „Spostrzeżenia ze szczepień BCG w Izbie Porodowej w Kazimierzu Dolnym" (szczepienia przeciwgruźlicze rozpoczęły się w kazimierskiej Izbie Porodowej już od czerwca 1951 r.), a następnie pracy pod tytułem „Zachorowania na gruźlicę dzieci do lat 14 a szczepienia BCG, źródło zakażenia i chemioprofilaktyka" (Lekarz Wojskowy, 1/1969). Działalność ta spotkała się z zainteresowaniem i życzliwością lubelskiego środowiska ftyzjatrów, Instytutu Medycyny Pracy i Higieny Wsi w Lublinie a także Instytutu Gruźlicy w Warszawie.

Doktor Leszczyński intensywnie działał w dziedzinie profilaktyki zdrowotnej organizując przeglądy stanu zdrowia dzieci w szkołach i edukując je, a także rodziców (szczególnie matki) w zakresie higieny i innych zachowań prozdrowotnych. Praca Stanisława Leszczyńskiego „Opieka nad matką i dzieckiem na wsi" (Polski Tygodnik Lekarski, 1956 R.XI.Nr21) została odznaczona 3-cią nagrodą na konkursie Redakcji P.T.L na pracę „Pomoc Lekarska na wsi".

Dr Leszczyński przed przychodnią na ulicy Lubelskiej

Żeby tak intensywnie działać zawodowo i społecznie Doktor musiał mieć oparcie w swojej rodzinie i w swoim domu. Państwo Leszczyńscy stworzyli gniazdo rodzinne oparte na tradycyjnych wartościach, pozytywnie promieniujące na otoczenie.

Po okresie zamieszkiwania na ul. Puławskiej przenieśli się do drewnianego domu na końcu ulicy Senatorskiej. Bliskość Wisły i Grodarza powodowała okresowe podtopienia. Kazimierz dopiero z czasem doczekał się wody z wodociągów i kanalizacji – życie nie było tutaj łatwe. W tych warunkach ustalił się w małżeństwie Państwa Leszczyńskich swoisty podział ról – na głowie Pani Leszczyńskiej było prowadzenie domu, edukacja dzieci i zapewnienie mężowi spokoju. Dzięki temu mógł on bez reszty poświęcić się swojej pasji – medycynie i pracy lekarskiej.

Doktorostwo przyjaźnili się z działaczami podziemia – ks. Zygmuntem Adamczewskim z Puław i ks. Pilcherem, kapelanem

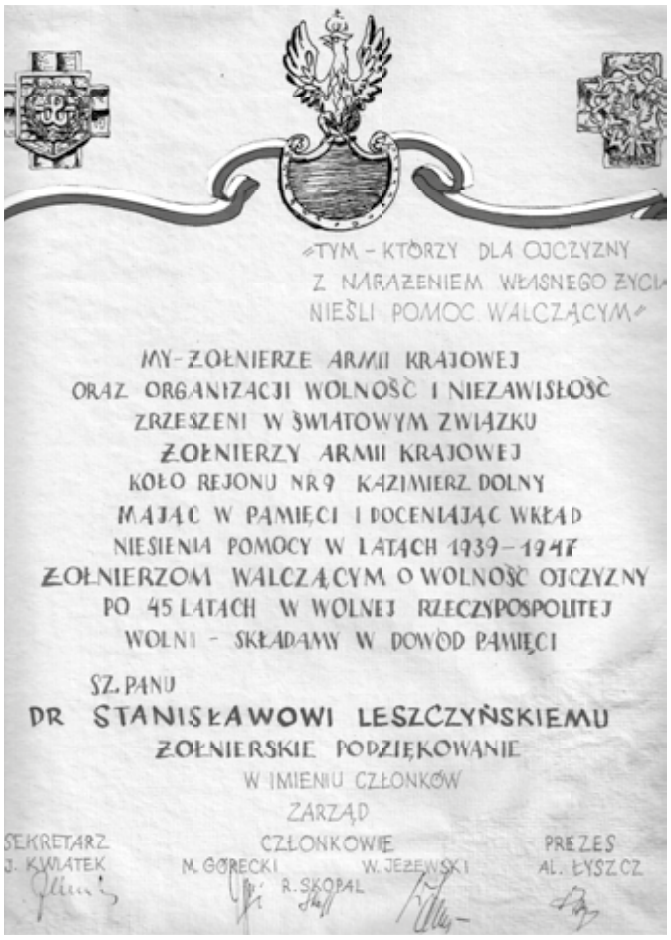

Żołnierskie podziękowanie

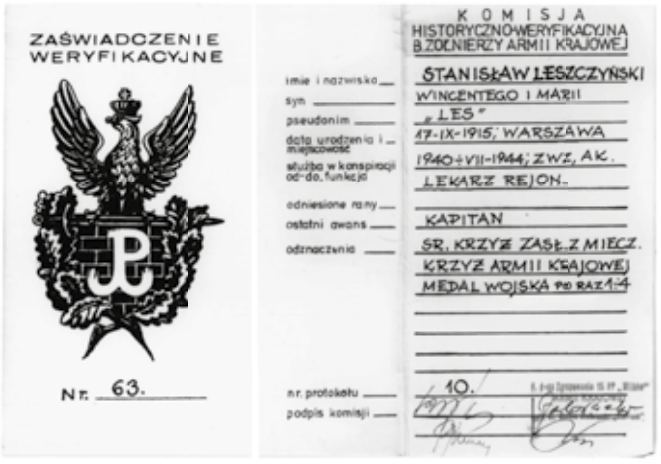

Zaświadczenie komisji historyczno-weryfikacyjnej b. Żołnierzy Armii Krajowej

ss. Betanek w Kazimierzu. Wspierali i przyjaźnili się z Panią Ireną Siła-Nowicką z Wyląg, której mąż, mecenas Władysław Siła-Nowicki siedział w więzieniu skazany za działalność niepodległościową na karę śmierci zamienioną potem na dożywocie.

Państwo Leszczyńscy czynnie uczestniczyli w organizowaniu pobytu i opieki medycznej węgierskim dzieciom przebywającym okresowo w Polsce po rewolucji węgierskiej w 1956 r.

Powojenny Kazimierz to wielki plac odbudowy, której głównym architektem był Karol Siciński. Doktor Leszczyński przyjaźnił się i współdziałał z Sicińskim walcząc o historyczną rekonstrukcję miasta. Do dziś w pamiątkach rodzinnych przechowywany jest obraz namalowany przez Karola Sicińskiego, dedykowany dr Leszczyńskiemu.

Leszczyńscy przyjaźnili się i wspierali kazimierskich malarzy. Zenon Kononowicz namalował portret Doktora i jego córki Ewy, Kmita namalował portret Pani Leszczyńskiej. Obrazy Karmańskiego i Kononowicza były i są ozdobą domów potomków rodziny.

W domu Leszczyńskich kultywowano życie towarzyskie, w którym brała udział elita miasta. Irena Siła-Nowicka tak wspomina spotkania u Państwa Leszczyńskich: „Doktorostwo Leszczyńscy byli ludźmi o otwartych sercach, niezwykle gościnnymi i towarzyskimi. Imieniny Doktora – przypadające 8 maja i imieniny jego żony – pięknej, oddanej rodzinie i życzliwej ludziom pani Hanki, obchodzone uroczyście 26 lipca, były ważnymi wydarzeniami kazimierskiego życia towarzyskiego. Wbrew wszystkiemu zawsze było doskonałe jedzenie i zawsze jakiś wspaniały tort – doktorowa umiała i lubiła organizować przyjęcia... Podobnie jak za okupacji takie spotkania towarzyskie były wtedy niezwykle potrzebne. Tworzyły więzi, umacniały przyjaźnie i przynosiły chwile radości i zabawy, a przede wszystkim pokazywały, że człowiek nie jest sam. Poczucie osamotnienia było wtedy naszym strasznym wrogiem...”

Mało kto w Kazimierzu, nawet wśród osób zaprzyjaźnionych z Doktorem, zdawało sobie sprawę, że Stanisław Leszczyński był nie tylko doświadczonym lekarzem i społecznikiem, ale prowadził w bardzo trudnych warunkach lubelskiej prowincji systematyczną działalność naukową. W 1956r. Instytut Medycyny Pracy i Higieny Wsi nadaje Mu w uznaniu dorobku badawczo-naukowego tytuł Korespondenta Naukowego tego Instytutu. Zwieńczeniem działalności naukowej było uzyskanie w 1964 r., już po wyjeździe z Kazimierza, tytułu doktora medycyny. Rozprawa doktorska obroniona w Wojskowej Akademii Medycznej nosi tytuł: ”Nawracające bóle brzucha pochodzenia neurowegetatywnego u dzieci w wieku 3-14 lat.” Promotorem tej rozprawy był wybitny polski pediatra prof. Jan Bogdanowicz, którego imię nosi dziś Kliniczny Szpital Pediatryczny Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Spojrzenie naukowe na otaczającą rzeczywistość nie dawało wiedzy łatwej ani przyjemnej. To co, ze swoim temperamentem badacza-analityka, wiedział dr Leszczyński o rzeczywistości kazimierskiej było w latach 40., 50. i 60. mało komu tutaj znane. W opracowaniu: „Analiza niektórych czynników upośledzających rozwój fizyczny i psychiczny dziecka szkolnego z terenu wiejskiego z uwzględnieniem

Dr Leszczyński w gabinecie przychodni w Kazimierzu

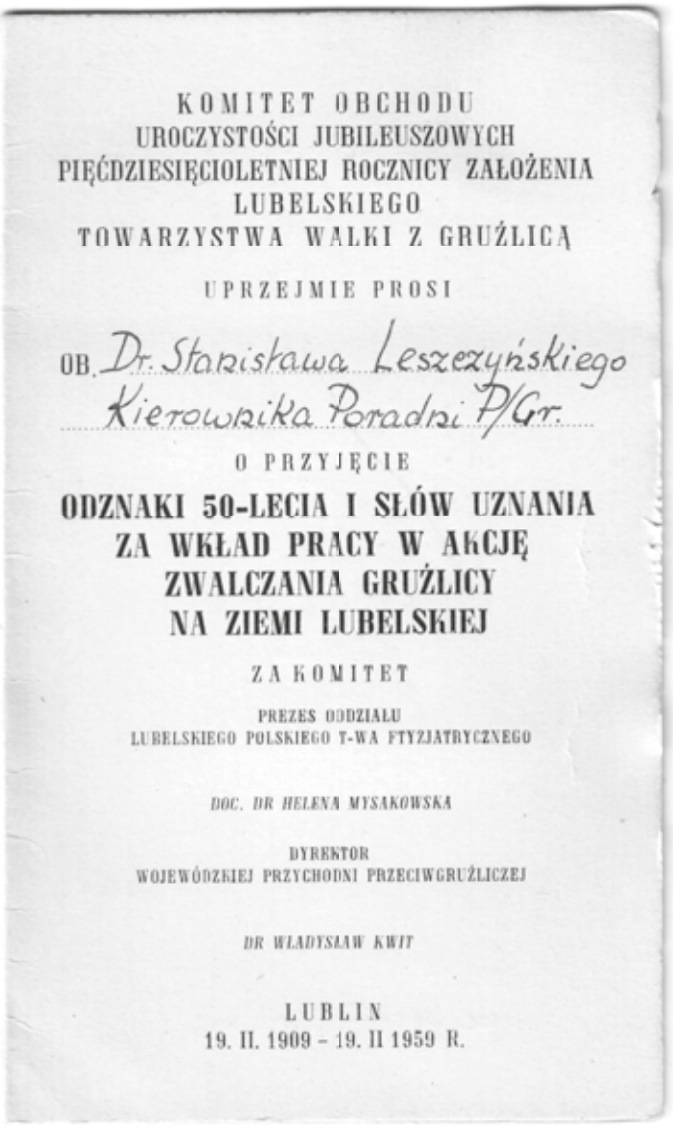

KOMITET OBCHODU
UROCZYSTOŚCI JUBILEUSZOWYCH
PIĘĆDZIESIĘCIOLETNIEJ ROCZNICY ZAŁOŻENIA
LUBELSKIEGO
TOWARZYSTWA WALKI Z GRUŹLICĄ

UPRZEJMIE PROSI

OB. Dr. Stanisława Leszczyńskiego
Kierownika Poradni P/Gr.

O PRZYJĘCIE

ODZNAKI 50-LECIA I SŁÓW UZNANIA
ZA WKŁAD PRACY W AKCJĘ
ZWALCZANIA GRUŹLICY
NA ZIEMI LUBELSKIEJ

ZA KOMITET

PREZES ODDZIAŁU
LUBELSKIEGO POLSKIEGO T-WA FTYZJATRYCZNEGO

DOC. DR HELENA MYSAKOWSKA

DYREKTOR
WOJEWÓDZKIEJ PRZYCHODNI PRZECIWGRUŹLICZEJ

DR WŁADYSŁAW KWIT

LUBLIN
19. II. 1909 - 19. II 1959 R.

Dowód uznania wkładu pracy dr Leszczyńskiego w akcję zwalczania gruźlicy na Ziemi Lubelskiej

wpływu na postępy w nauce" Doktor zestawił liczby zachorowań w I półroczu 1962 r. młodzieży szkolnej w Kazimierzu Dolnym w wieku 6-18 lat. Oto dane z tego zestawienia:

Nazwa choroby	Liczba przypadków
gruźlica	21
choroby ostre zakaźne (odra, krztusiec, inne)	105
choroby pasożytnicze	11
choroby alergiczne	5
niedokrwistość	5
choroby psychonerwowe	55
zapalne choroby oka	56
choroby ucha	25
gorączka reumatyczna	4
ostre choroby dróg oddechowych	54
zapalenie płuc	10
zapalenie wyrostka robaczkowego	3
choroby skóry	92
urazy	112

Doktor Leszczyński prowadził nie tylko statystyki, ale dochodził przyczyn zachorowań. Swoją wiedzą na ten temat dzielił się ze wszystkimi zainteresowanymi. Zwracał uwagę, apelował do władz, nauczycieli i rodziców.

W czasie pracy w Kazimierzu wyspecjalizował się w internie, ftyzjatrii (leczenie gruźlicy) i w pediatrii. Po przeprowadzce w 1962 r. do Warszawy chciał pracować w Instytucie Gruźlicy. Niestety, nie udało mu się zrealizować tego zamierzenia i zaczął pracę w Centrum Kształcenia Podyplomowego Wojskowej Akademii Medycznej jako pediatra. Poza tym pracował w poradni p/gruźliczej na Mokotowie oraz prowadził wykłady z zakresu chorób dziecięcych i higieny w Szkole Medycznej Pielęgniarstwa.

Powód wyprowadzki z Kazimierza był prosty – dzieci dorastały i trzeba je było kształcić na uczelniach wyższych. Najstarsza córka Ewa została lekarzem anestezjologiem i chirurgiem. Małgosia mieszka w Australii, pracowała w australijskiej służbie dyplomatycznej. Hania (mieszka w Niemczech) jest doktorem biologii. Syn Stanisław ukończył konserwatorium muzyczne na wydziale teorii muzyki, kompozycji i dyrygentury. Pełnił i nadal pełni funkcje dyrektorskie w najważniejszych instytucjach muzycznych w Polsce: Filharmonii Narodowej, Teatrze Wielkim Operze Narodowej, Narodowym Instytucie Fryderyka Chopina. Jest pomysłodawcą i organizatorem prestiżowego corocznego festiwalu „Chopin i jego Europa", w którym biorą udział najwybitniejsze orkiestry i soliści z całego świata. Jednocześnie cały czas jest pracownikiem naukowym Uniwersytetu Muzycznego w Warszawie.

Doktor Leszczyński jeszcze przez niemal rok po przeprowadzce do Warszawy co tydzień, na jeden dzień przyjeżdżał do Kazimierza leczyć swych pacjentów.

Jego działalność zawodowa oraz przeszłość konspiracyjna i wojskowa zostały docenione. Świadczą o tym odznaczenia państwowe, jakie otrzymał: srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Krzyż Armii Krajowej, Medal Wojska, trzykrotnie Odznakę Grunwaldzką. W 1976 r. został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski; w 1982 r. medalem „Za Udział w Wojnie Obronnej 1939 r." i wieloma innymi. W 2001 r. Prezes Rady Ministrów nadał mu patent „Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny". Dr Leszczyński, a także jego rodzina, szczególnie jednak cenili sobie ręcznie sporządzone żołnierskie podziękowanie „tym – którzy dla Ojczyzny z narażeniem własnego życia nieśli pomoc walczącym", jakie w 1992 r. otrzymał z Kazimierza od Koła Żołnierzy Armii Krajowej i Organizacji Wolność i Niezawisłość.

Będąc na emeryturze dr Leszczyński nadal pracował. Jednocześnie realizował jeszcze jedną swoją pasję – turystykę.

Zmarł 8 września 2001 r. w Warszawie. Został pochowany w części katolickiej Cmentarza Prawosławnego na Woli, gdzie spoczywa wraz z ukochaną Żoną. Przeżył pracowicie 86 lat.

Gdy wrócił do Warszawy, przez cały podkreślał, że tylko w Kazimierzu czuł się całkowicie spełniony, że był to najszczęśliwszy okres jego życia.

Z żoną i córkami na kazimierskiej plaży.

DANUTA WIERZBICKA

Fot. Adam Michalak

Miasteczko, szkło, akryl

Danuta Wierzbicka, *Wino u Jacka*, pleksi, akryl